OPOZYCJA W ŚLEPYM ZAUŁKU

Więźniowie własnych myśli – Ziemkiewicz o bezradności liderów anty-PiS-u

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 14/419 6–11 KWIETNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Marek Jurek radzi, jak w europarlamencie stworzyć prawicową siłę

CO DZIEŃ ŚWIEŻY PIENIĄDZ – KRZYSZTOF MASŁOŃ O LEGENDZIE BAZARU RÓŻYCKIEGO

Biskup Pindel o kulisach walki z pedofilią w Kościele

Stracone pokolenie COVID-19?

WALKA Z KORONAWIRUSEM UDERZA W NAJMŁODSZYCH

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

aprasa.pl 25fbc9c3e1

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Operacja antypolska – kolejna odsłona

Schemat jest od lat zawsze taki sam. Pewnego dnia zachodni polityk lub publicysta, często o żydowskich korzeniach, ogłasza szkalujący tekst (może też udzielać wywiadu), w którym to przypisuje Polakom i Polsce odpowiedzialność za Holokaust. Następnie podnoszą się protesty, zwykle ze strony polskiego rządu i Polaków, w efekcie czego tenże polityk lub publicysta wycofuje się i przeprasza lub, co równie częste, nie przeprasza, ale twierdzi, że został źle zrozumiany. Wszystko zależy już od osobistego zaangażowania, determinacji i stopnia bezczelności danej osoby. Cel operacji jest jasny. Chodzi o powolne sączenie do podświadomości odbiorców, zwykle niezbyt zorientowanych w sprawach historii, zbitki, stereotypu: kto myśli „Polska" i „Polacy", ten ma od razu skojarzyć z tymi pojęciami winę za mordowanie Żydów. Czasem uczestnicy tej operacji wprost rzucają oskarżenia, czasem poprzestają tylko na półsłówkach i sugestiach.

Dokładnie taki przebieg miała awantura wywołana tekstem Mashy Gessen w „New Yorkerze". Jak wiadomo, napisała ona, że „aby oczyścić naród z zarzutu zamordowania trzech milionów Żydów, polski rząd posuwa się do ścigania za zniesławienie dwojga naukowców". I wymieniła nazwiska rzekomo prześladowanych – prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbary Engelking. Chodzi o sprawę historyków, przypominam, którym warszawski sąd okręgowy nakazał przeprosić za jedną z informacji umieszczonych w książce „Dalej jest noc". Tekst ten był pod wieloma względami osobliwy, a zarazem typowy. Po pierwsze, zacytowane tu zdanie znalazło się także w podtytule tekstu – najwyraźniej redaktorzy uznali je za na tyle frapujące i odważne, że wybili je i podkreślili jego rangę. Nie chodzi zatem o głupotę i hucpę pani Gessen, ale o głupotę i hucpę co najmniej tych, którzy napisane przez nią oskarżenie podtrzymali. Po drugie, nikomu nie przyszło do głowy, że wyrok sądu odnosił się do konkretnego błędu i fałszerstwa popełnionego przez autorów.

Po protestach różnych polskich instytucji, a także – co warto podkreślić – Forum Żydów Polskich pani Gessen nieco zmodyfikowała swoje stanowisko, podobnie jak redakcja „New Yorkera". Obecnie podtytuł brzmi: „Naukowcy mierzą się z pozwami o zniesławienie oraz potencjalnymi zarzutami karnymi w ramach wysiłków polskiego rządu, by oczyścić naród z zarzutów jakiejkolwiek roli w zamordowaniu trzech milionów Żydów podczas okupacji hitlerowskiej". Zmiana ta została uznana przez polskiego ambasadora za dobry znak, podobnie przyjęli ją inni polscy przedstawiciele. Nie bardzo rozumiem, skąd ten optymizm. Zamiast prostego kłamstwa pojawiła się półprawda: skoro „polski rząd" chce oczyścić „naród" od „jakiejkolwiek roli w zamordowaniu trzech milionów Żydów podczas okupacji hitlerowskiej", to najwyraźniej, w domyśle, mamy do czynienia wciąż z próbą przykrycia zbrodni. Bo przecież nikt w „New Yorkerze" nie ma wątpliwości, i taki jest też przekaz zmodyfikowanego tekstu, że „udział narodu [polskiego]" w zamordowaniu trzech milionów Żydów jest oczywisty, pytanie tylko, jak wielki on był.

Takich artykułów na temat Polski ukazuje się całkiem sporo. Nie tak całkiem dawno Shlomo Avineri, o którym mogłem przeczytać, że jest przyjacielem Polski, zastanawiał się nad tym, czy to nie polski antysemityzm był przyczyną, przez którą nie doszło do porozumienia II Rzeczypospolitej ze Związkiem Sowieckim w 1939 r. Niechęć polskiego rządu do rezygnacji z niepodległości i poddania się Stalinowi miała być podyktowana wrogością do Żydów. Podobnie jak wrogością do Żydów podyktowana była rzekomo niechęć AK do pomocy powstańcom w getcie. Trudno w spokoju czytać te brednie, ale cóż, powtórzę: te teksty i tezy, które się w nich pojawiają, nie wynikają z ignorancji. Są one doskonałym zapisem zjawiska, o którym pisałem w książce „Krew na naszych rękach?", czyli religii Holokaustu. Cała ludzka historia zostaje sprowadzona tylko do tego jednego zdarzenia, wszystko zostaje mu podporządkowane. Ludobójstwo Żydów zostaje wyłączone z historii i staje się wydarzeniem metafizycznym. W ten sposób historycy, publicyści i politycy mogą stawiać najbardziej niedorzeczne tezy. A to, że przy okazji przygotowują grunt pod kolejne finansowe roszczenia organizacji żydowskich, domagających się zwrotu tzw. mienia bezspadkowego? Toż to czysty przypadek, a kto uważa inaczej, ten antysemita.

Czy to znaczy, że nie należy protestować? Wręcz przeciwnie. Nie tylko należy protestować, lecz także dodatkowo tak zmienić polskie prawo, żeby oszczercy, na ile to możliwe, wreszcie zaczęli się bać. Chociaż troszkę. Należy także zrozumieć, że nie chodzi tu o ciąg nieszczęśliwych przypadków ignorancji, ale o świadomą, długofalową, skierowaną przeciw Polsce kampanię dyfamacyjną. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 25fbc9c3e1

TEMAT TYGODNIA

14 JACEK PRZYBYLSKI
STRACONE POKOLENIE?
Katastrofalne skutki pandemii dla młodych

17 ROZMOWA Z DR. TOMASZEM GAJDEROWICZEM
PANDEMIA NAJMOCNIEJ UDERZA W DZIECI

KRAJ

20 MAREK JUREK
CZAS PRAWICY W EUROPIE
PiS przed szansą

23 KAMILA BARANOWSKA
LEWY DO PRAWEGO

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MITY LIBERALNEJ LEWICY

28 ROZMOWA Z PROF. ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
POTRZEBNA NAM OBRONA TERYTORIALNA, ALE INNA

31 ROZMOWA Z BP. ROMANEM PINDLEM
KAŻDY PRZYPADEK PRZEŻYWANIA CIERPIENIA JEST INNY

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SYFON Z BAZARU RÓŻYCKIEGO

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
FABRYKI PRAC DYPLOMOWYCH

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
ŚMIERĆ W ŚWINOUJŚCIU
Nowy serial Canal Plus

44 ROZMOWA Z JACKIEM KOWALSKIM
LATARNIE ŚWIECĄCE NAD POLSKĄ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ŁUKASZ WARZECHA
NA PODSŁUCHU
Co o nas wiedzą służby

56 WOJCIECH POLAK
BEZDROŻA REFORM SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

58 POLEMIKA
„DROGIE BAZY" RAZ JESZCZE

HISTORIA

60 ROZMOWA Z PROF. SYLWIĄ GALIJ-SKARBIŃSKĄ
MAŁY OŚWIĘCIM – PIEKŁO UKRYTE PRZED ŚWIATEM
Obóz koncentracyjny dla polskich dzieci

ŚWIAT

64 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
LAICKOŚCIĄ W ISLAMISTÓW?
Miękki totalitaryzm Macrona

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
SZCZEPIONKOWY BIZNES
Masowe szczepienia i wielkie pieniądze

70 KRZYSZTOF TYSZKA-DROZDOWSKI
ZIELONE PAŃSTWO NARODOWE

72 ANDRZEJ SOLECKI
NIEBEZPIECZNE ZAPORY

DODATEK SPECJALNY

77
RAPORT O MOTORSPORCIE

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
MODA (NIE) JEST WAŻNA
Letarg na wybiegu

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z GEN. DYW. PROF. GRZEGORZEM GIELERAKIEM
CZWARTEJ FALI NIE BĘDZIE
Czekają nas trudne cztery–pięć tygodni

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za liczne świąteczne życzenia i wszystkie Wasze listy. Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Seksmisja w US Army", Piotr Włoczyk, „DRz" 12/2021

Dzień dobry,
od dłuższego czasu jestem czytelnikiem waszego tygodnika. Dostarcza on dużo cennych, rzetelnych i obiektywnych informacji. To bardzo istotne cechy dziennikarstwa, o których (niestety) zapominają inne periodyki.

Przeczytałem artykuł „Seksmisja w US Army" i kilka innych na temat kobiet w wojsku amerykańskim. Nie mam nic przeciwko obecności kobiet w wojsku. Szanuję ich osiągnięcia i jestem pełen podziwu, jak sobie dobrze radzą w tym środowisku. Jestem zwolennikiem równości kobiet i mężczyzn. Ale role, jakie natura przypisała obu płciom, są zróżnicowane. [...] Nie trzeba być naukowcem, aby zauważyć, że natura obdarzyła kobiety matczynymi atrybutami, a mężczyzn siłowymi, wojowniczymi. To zróżnicowanie wpływa więc na role, jakie natura standardowo przydzieliła obu płciom. I choć współcześnie potrafimy dzielić się obowiązkami na różnych polach – prywatnych i zawodowych, to jednak zadania wymagające wyjątkowej siły i odporności powinny być kierowane w przeważającej części do mężczyzn.

Prezydent USA i jego poplecznicy szokują mnie propozycją kombinezonów dla kobiet żołnierzy w ciąży. Nie wyobrażam sobie, aby kobieta w ciąży nosiła ciężką amunicję, sprzęt wojenny itp. (W Polsce są przepisy o dopuszczalnej wadze przenoszonych rzeczy przez kobiety, w tym kobiety w ciąży).Tym bardziej nie sądzę, aby mogła pilotować samolot odrzutowy bez szkody dla nienarodzonego dziecka. I tak trochę żartem przytoczę moją wizję kobiety karmiącej w wojsku: „Mówi dowódca do obsługi naziemnego działka przeciwlotniczego – »Zbliżają się nieprzyjacielskie samoloty. Proszę otworzyć ogień«. Odpowiedź działonowej: »Proszę chwilę poczekać. Karmię piersią«". To są oczywiście skrajne przykłady, ale do tego zmierza polityka progenderowa. Nieprawdą jest też, że kobiety wśród mężczyzn łagodzą obyczaje. Osobiście byłem świadkiem agresji kobiet wobec innych ludzi. I to agresji wyjątkowo brutalnej. Łagodność obyczajów wywodzi się z wychowania, a nie z płci.

Rewolucja gender przybiera coraz bardziej groteskowe formy, ale i niebezpieczne. Może się przydarzyć, że kobieta lub mężczyzna posadowieni według klucza gender na nieodpowiednim dla nich stanowisku, popełnią błąd, za który odpowiadać będą inni.

Pozdrawiam Całą Redakcję
Jacek Krzysztof Pęczak

Z lekarskiej perspektywy

Szanowni Państwo,
postaram się w punktach wymienić problemy, z którymi stykam się jako mąż, ojciec i lekarz w związku z obecną pandemią COVID-19.

1) Jestem specjalistą neurologiem dziecięcym, pediatrą. Od roku widzę narastający problem, osobiście i jako specjalista, dzieci w czasie pandemii „skazanych" na nauczanie zdalne – chociażby problemy z motywacją i brak kontaktów społecznych. Zgłaszane problemy neurologiczne: bóle głowy, rozdrażnienie, agresja i autoagresja, zaburzenia ADHD „wywołane" taką właśnie formą nauczania. Jestem oburzony, mało powiedziane: może trzeba by było użyć sformułowania „piorunkowego", postawą ministra zdrowia oraz ministra edukacji – nauczyciele wyszczepieni, a dzieci na zdalnym? [...]

2) Osobiście wraz z całą siedmioosobową rodziną (żona i pięcioro dzieci) przechorowaliśmy zakażenie COVID-19 w listopadzie (zbieżność z marszami SK przypadkowa?), z powodzeniem ja i żona przeleczyliśmy się, tak jak większość kolegów lekarzy, amantadyną. Dlaczego nie ma otwartej dyskusji nt. leku, skoro tak wielu kolegów lekarzy skutecznie leczyło się tym lekiem? [...]

Pozdrawiam
dr Arkadiusz Bieleninik

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk**, **Paweł Żdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż): **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rozkaz gen. Okulickiego

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Dzień 12 stycznia 1945 r., gdy ruszyła zimowa ofensywa Armii Czerwonej, dzieli od daty 19 stycznia, gdy ogłoszono rozwiązanie Armii Krajowej, jedynie tydzień. Ta zbieżność powoduje, że bardzo wielu historyków łączy oba fakty. Ale atak Sowietów był tylko ostatecznym impulsem dla rozkazu gen. Leopolda Okulickiego rozwiązującego największą organizację zbrojnego ruchu oporu w Europie. Ten dokument jest dziś pamiętany z powodu znamiennego zdania: „Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami narodu i realizatorami niepodległego państwa polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą. W przekonaniu, że rozkaz ten spełnicie, że zostaniecie na zawsze wierni tylko Polsce, oraz, by Wam ułatwić dalszą pracę, z upoważnienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zwalniam Was z przysięgi i rozwiązuję szeregi Armii Krajowej".

Na koniec Okulicki pisał: „Wierzę głęboko, że zwycięży nasza święta sprawa, że spotkamy się w prawdziwie wolnej i demokratycznej Polsce". Rozkaz Okulickiego, a szczególnie to zdanie o tym, że każdy z dotychczasowych żołnierzy AK „musi być dla siebie dowódcą", robił największe wrażenie po wielu latach, gdy jasne już było, jak wielu żołnierzy podziemia kontynuowało walkę w najróżniejsze sposoby, najczęściej pokojowe. Ale wtedy, w styczniu 1945 r., rozkaz ten zdumiał i zaskoczył bardzo wielu żołnierzy AK. Trzeba pamiętać, że w tym czasie w lasach schroniło się dziesiątki tysięcy „leśnych". Dla nich informacja o rozwiązaniu AK brzmiała niejednokrotnie jak kapitulacja. Oczywiście z czasem stało się jasne, że formułę AK mają zastąpić nowe struktury „Nie", potem Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a wreszcie WiN-u, ale efekt zamieszania i szoku trwał stosunkowo długo.

Historyk Jan Żaryn wskazuje: „Gen. Leopold Okulicki miał świadomość, że NKWD rozpracowało niemal całą strukturę dawnej AK. Ta gorzka prawda dochodziła do niego po aresztowaniach akowców na kresach i w Polsce Lubelskiej […]". Skąd tak dobra orientacja Rosjan na temat struktur podziemnych AK? Wiedza ta wynikała z działalności wywiadu GL, a potem AL w latach 1942–1944, który rozpracowywał struktury podziemia niepodległościowego. Równie ważne dla czystek NKWD były informacje zbierane przez sowieckie zwiady spadochronowe, zrzucane od wiosny 1944 r. […]. Dowództwu AK, mimo ostrożności i nieufności wobec komunistów, nie mieściło się w głowie, że priorytetem jest rozpracowywanie ich struktur, a nie walka z Niemcami. W tym sensie NSZ, który traktował czerwoną partyzantkę jako śmiertelne zagrożenie dla przyszłości polskiego podziemia, miał rację, a Komenda Główna AK wykazywała wielokrotnie naiwność. ©℗

BISKUPI UKARANI SYMBOLICZNIE. ZA CO?

Nakaz zamieszkania poza diecezją, zakaz uczestniczenia w publicznych celebracjach religijnych oraz nakaz wpłaty z osobistych funduszy „odpowiedniej sumy" na rzecz Fundacji św. Józefa – takie kary Watykan nałożył na emerytowanych hierarchów: bp. Edwarda Janiaka i abp. Sławoja Leszka Głódzia.

Problem jednak w tym, że do wiadomości publicznej nie podano, za jakie konkretnie przewinienia zostali ukarani biskupi. O ile w przypadku byłego biskupa kaliskiego możemy domniemywać z bardzo wysoką dozą prawdopodobieństwa, że chodzi o opisaną w mediach sprawę zamieszania hierarchy w kościelne homolobby, o tyle sprawa się komplikuje, gdy próbujemy komentować karę dla emerytowanego ordynariusza gdańskiego.

Z komunikatu nuncjatury apostolskiej wynika wprost, że abp Głódź (zresztą tak jak i bp Janiak) został ukarany na podstawie motu proprio papieża Franciszka „Vos estis lux mundi", dotyczącego nadużyć w sferze seksualnej. Ale czy arcybiskup został ukarany za nieodpowiednie potraktowanie wyznaczonej mu przez Stolicę Apostolską sprawy ks. Dymera? A może chodzi o jakąś sprawę z diecezji gdańskiej? Czy może hierarcha osobiście dopuścił się jakichś bezeceństw? Tego nie wiemy, a komunikaty władz kościelnych zmuszają nas do snucia domysłów.

Na razie wśród osób, które ufały, że papież Franciszek oczyści Kościół z pedofilów i osób ich ukrywających (a komentatorów pokładających w tej kwestii nadzieję w Ojcu Świętym nie brakowało szczególnie wśród przedstawicieli lewicowych i liberalnych mediów), zapanował szok i rozczarowanie spowodowane delikatnym i symbolicznym wymiarem zakomunikowanych kar. Do grupy osób zawiedzionych procesem samooczyszczenia się Kościoła za pontyfikatu papieża z Argentyny dołączają więc – obok konserwatystów utyskujących na niechęć do nazwania po imieniu lawendowej mafii (stanowiącej jedno z ognisk problemu) – najbardziej dotychczas zaciekli apologeci Franciszka. Choć warto zwrócić uwagę, że w kpiących publikacjach komentujących kary dla bp. Janiaka i abp. Głódzia nie pada imię papieża, ale przewijają się za to sformułowania „Watykan ukarał", „Kościół ukarał", „Stolica Apostolska ukarała". ©℗

Krystian Kratiuk

eprasa.pl 25fbc9c3e1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zero ciekawości

Polska trendsetterem narodów" – zażartowałem sobie przed laty i ten żart na każdym kroku okazuje się wcale żartem nie być. Oto najnowsza ciekawostka: niech Państwo spróbują znaleźć przez internetową wyszukiwarkę informacje o zamknięciu dziennikarzom dostępu do granicy z Meksykiem przez administrację Bidena. Nawet wprawnym w przeszukiwaniu sieci chwilę to zajmie. CNN odnotowało ten fakt jakby półgębkiem i takoż, słabo, zaznaczyło swój sprzeciw, podobnie jak NBC. Alarmowali w mediach społecznościowych niedopuszczeni do granicy dziennikarze – wśród nich znany fotograf, laureat Pulitzera (notabene za zdjęcie właśnie z tej granicy) John Moore, ale nawet jego apeli nie podchwycono. Powiedziała wam władza, żeby się tam nie kręcić, to się nie kręćcie – zdaje się mówić większość amerykańskich dziennikarzy swoim nielicznym oburzonym kolegom.

Do niedawna – do wyborów prezydenckich konkretnie – granica z Meksykiem była oczkiem w głowie mediów, bo zły Trump chciał tam postawić mur, wysyłał przeciwko imigrantom siepaczy i trzymał złapane meksykańskie dzieci w klatkach. Ale teraz zamiast złego Trumpa jest „nasz", a więc dobry, Biden. A ponieważ jego wyborcze zwycięstwo rozzuchwaliło Meksów i napór nielegalnych imigrantów gwałtownie wzrósł, i trzeba było wysłać tam więcej siepaczy, i postawić więcej klatek… To nagle ciekawe być przestało. Proszę sobie wyobrazić, co by media wyprawiały, gdyby to Trump ustanowił taką strefę no-go dla reporterów. Ale skoro zrobił to Biden, to słusznie. Po co ma świat oglądać dantejskie sceny?

Dziennikarze nieciekawi świata – kiedyś wydawali mi się oni specyficznie polskim produktem. Nie ciekawiło ich, co jest w esbeckich archiwach, nie obchodziły ich rodzinne korzenie polityka, nawet prezydenta, ani skąd się wzięły fortuny, ani co się z nimi dzieje. A tych, których ciekawiło, znieważali i deprecjonowali. A dziś, patrzcie, identyczny brak ciekawości – i tak samo wybiórczy, dodajmy – stał się cnotą wolnych, demokratycznych mediów w samym ich mateczniku. I co na to powiecie? Czy to my gonimy Zachód, czy to on goni nas? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nieliberalna demokracja

W Unii Europejskiej proste stwierdzenie Viktora Orbána, że „żyjemy w czasach nieliberalnej demokracji", stało się nie tylko przysłowiowe, lecz także nabrało rangi jednego z najbardziej dramatycznych wydarzeń współczesnej Europy. Jakiegoś dziwnego i strasznego znaku, co to ukazawszy się nad mrocznym niebem madziarskiej puszty, widziany był w Berlinie, w Paryżu i w Brukseli!

Tymczasem w Parlamencie Europejskim wielokrotnie kolegom z „głównego nurtu" powtarzałem, żeby tak nie straszyli, bo „nieliberalna demokracja" to nie postulat, a jedynie konstatacja tego, co właśnie w Unii Europejskiej się dzieje. Nie tylko zresztą tam. Jak działa u nas, widzieliśmy niedawno, w czasie debaty bez debaty na temat konwencji stambulskiej.

Zamiast anachronicznej dyskusji (bo „nie żyjemy w XIX w."), określającej różnice, przyjmującej zasadne argumenty, wyjaśniającej rozbieżności – zwolennicy genderowej konwencji ograniczyli się do rozbudzania irracjonalnych lęków, agresji i odczłowieczania przeciwników („chcą zalegalizować przemoc"), do wykorzystywania niewiedzy swoich zwolenników (którym wmawiali, że genderowa konwencja to nie zbiór ideologicznych dyspozycji i postulatów, ale normy karne działające bezpośrednio), do całkowitej odmowy współpracy w walce z domową przemocą (przez wspólne włączenie do Kodeksu karnego wszystkich dodatkowych instrumentów, które okażą się potrzebne), do zastępujących debatę wiecowych demonstracji w Sejmie.

Nie piszę tego, żeby stawiać banalny zarzut (liderzy opozycji jacy są – każdy widzi), ale żeby raz jeszcze skonstatować fakt. Tak właśnie wygląda demokracja, z której „własne prawa" przegoniły dobro wspólne, i będzie wyglądać jeszcze bardziej, jeśli jej praktycy dojdą do władzy. Stary trener Górski mówił, że tak się gra, jak przeciwnik pozwala. Ja ich stylu przyjmować nie będę, ale nie będę też potępiał tych, którzy – aby nas przed nimi obronić – poczują się do tego zmuszeni. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dante wodzem rewolucji

Obchodzimy Rok Dantego. Od chwili śmierci poety w Rawennie minęło 700 lat. Z tego też powodu Dzień Dantego, 25 marca, w którym miał rozpocząć swoją podróż w zaświaty opisaną w „Boskiej komedii", obchodzony był w Italii wyjątkowo hucznie.

Naturalnie poetą zajmowano się też w szkołach, na uniwersytetach i w mediach. Z lekcji, dyskusji, artykułów i programów telewizyjnych można się było dowiedzieć bardzo wiele ciekawych rzeczy. Generalnie tego, że Dante był prekursorem wszystkich bitew, które teraz toczy włoska i światowa lewica w wojnie o lepszy, inkluzywny świat.

Po pierwsze, dowiedzieliśmy się, że Dante był pacyfistą. A jako że stawiał kobietę na piedestale, dał ideowy początek, może nie do końca tego świadom, ruchom feministycznym i walce o emancypację pań. Poeta został wygnany z Florencji, do której nigdy nie powrócił, więc – jak piszą – nie były mu obce problemy dzisiejszych migrantów i uchodźców. Gdyby mógł, to z pewnością stanąłby w ich obronie, pomagał i integrował. Był rzecznikiem świata bez granic i zwolennikiem dialogu międzyreligijnego. Umieszczając papieży w piekle, dał początek reformie Kościoła, o którą tak żarliwie walczy papież Franciszek. Mniejszości seksualne? Jak najbardziej, choć pośrednio, walczył o ich prawa. Być może nawet sam był gejem. Uważał, że grzechy ciała są mniej ważne niż moralne. Umieścił biseksualnego Cezara w czyśćcu, czyli z szansą na dostanie się do raju.

To oczywiście nie do końca prawda. Ale i na to postępowcy znaleźli sposób. Co prawda nie w Italii, lecz w Belgii. Bo trzeba z pewnym zażenowaniem przyznać, że Dante nie najlepiej wyrażał się o Mahomecie, a i przedstawił go niezbyt estetycznie. W Belgii ten fragment ocenzurowano, żeby nie urazić muzułmanów.

Tak więc siły postępu przykroiły giganta literatury na własną miarę i do własnych potrzeb. Oczywiście w czasach terroru poprawności politycznej nikt nie protestował. Może ze strachu, że zideologizowani idioci wciągną „Boską komedię" na indeks ksiąg zakazanych. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Krzywdzą nam mecenasa

Jednak mecenas Giertych jest ofiarą. Dowiedziałem się tego, oglądając na Twitterze fragment wywiadu z Szymonem Hołownią, bo pan Hołownia to powiedział. Chodziło oczywiście o opublikowane przez tvp.info rozmowy adwokata Giertycha z Mariuszem Kozakiem-Zagozdą, twórcą i administratorem wyjątkowo kłamliwego ścieku „Sok z Buraka". Nie wiem, czy rozmowy są legalne, ale są troszeczkę ciekawe. Oczywiście od tego jest adwokat, żeby pomagać nawet przestępcom, ale przy okazji tych rozmów pojawiły się pytania, czy aby Giertych nie pomagał w mataczeniu. Akcja na TT rozwijała się dość dynamicznie. Giertych do pewnego momentu żartował sobie, ale kiedy pojawiła się wypowiedź Anny Marii-Żukowskiej z Lewicy, jakby popadł w leciutką nerwowość, gdyż komentowała następujące słowa Giertycha o znanym lewicowym geju Robercie Biedroniu do „Soku z Buraka": „Jestem przekonany, że internauci szydzą z Biedronia za jego umizgi do PO i uważają, że lepiej iść z PSL niż z Wiosną". Na co pani Anna: „Dla mnie nie ma za dużo sensacji w tym odkryciu dotyczącym »Soku z Buraka«. Od kilku lat wiem, że ściśle współpracuje z Lisem i Szubartowiczem, ale Giertych to novum. Spotkałam się z właścicielem, który przedstawił mi ofertę. Nie nawiązaliśmy jako Lewica współpracy". Czy to nie dziwne? Lewica brzydzi się ściekiem „Sok z Buraka", a mecenas tenże ściek wspiera nie tylko finansowo? Chyba trzeba się zgodzić, że mecenas jest ofiarą.

Z TT dowiedziałem się, że Polska 2050 rośnie w sondażach. Michał Kobosko podał na TT odnośnik do tegoż sondażu z następującym wpisem: „Psy szczekają, karawana jedzie dalej". Sondaż Kantaru pokazuje, że Polska 2050 jest drugą siłą po PiS. Pewien sceptycyzm co do wyników wyraził dziennikarz Wojciech Biedroń: „Mam nadzieję, że Kantar dał jakiś rabacik, bo pewnie tanio nie było ;)".

Z ciekawostek na TT z ubiegłego tygodnia odnotować należy ożywione dysputy o naszym meczu z Anglią. Okazało się, że przed meczem najważniejsze było, czy nasi piłkarze uklękną w ramach – nazwijmy to – kontrowersyjnej i wydumanej akcyjki, czy też nie. Mecz co prawda przegraliśmy (oszukali nas, banda decydentów), bo sędzia nie podyktował dla nas rzutu karnego po ewidentnej ręce, ale świat i TT obiegła katastrofalna fotka z tego lewackiego klękania: otóż angielski czarnoskóry zawodnik klęczy przed jak najbardziej białym Polakiem o nazwisku Piątek. Chyba nie o to w tej akcji chodziło… ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

dwaj panowie g

W cieniu decyzji o rozszerzeniu i przyspieszeniu szczepień siedzi sobie smuteczek. Napięcie między małym a dużym pałacem. Wszystko przez to, że najpierw rząd prosił prezydenta Andrzeja Sebastiana, żeby pilnie załatwiał szczepionki w Chinach. Prezydent załatwił, a wtedy minister zdrowia zaczął marudzić i ostatecznie rząd się od pomysłu odciął. No i Andrzej Sebastian został z chińskimi szczepionkami jak Himilsbach z angielskim.

To w sumie pikuś w porównaniu z chryją unijną. Ze 165 mln dawek szczepionek wyprodukowanych w Unii tylko 88 mln zostało w Europie. Resztę wyeksportowano poza UE. Nic więc dziwnego, że Ursula von der Leyen i cała Komisja Europejska cieszą się dziś jeszcze większą sympatią niż zazwyczaj. Żeby było śmieszniej, z 30 mln szczepionek podanych w Wielkiej Brytanii 21 mln kupiono w Unii. Wynika z tego, że żeby z unijnych dobrodziejstw najbardziej korzystać, najlepiej pozostawać poza nią.

Nowe wieści zakulisowe z negocjacji w sprawie nowej frakcji w europarlamencie, czyli budowy osi Rzym-Warszawa-Budapeszt. Największy problem to w tej chwili wewnętrzne problemy włoskie. Bo Bracia Włosi, którzy są teraz z PiS w EKR, na włoskim podwórku są w ostrej opozycji do rządu wspieranego przez Salviniego, czyli Ligę. Więc uwierałaby ich bardzo wspólna frakcja w PE. Jak widać, każdy kraj ma swoją Eine Totalopposition.

Tymczasem zdziwienie: Skąd nagle w niemieckich mediach teksty o tym, jak ważnym krajem jest Polska, jaki to tygrys ekonomiczny i siódmy cud świata? Wyjaśniamy. Faza beształnia przeszła w fazę głaskania po tym, jak premier Mateusz w Paryżu podpisał z Francuzami memorandum w sprawie energetyki atomowej. Niemcy w szoku, bo gdy domagali się, byśmy przeszli z węgla na coś innego, to mieli na myśli niemieckie coś innego. I nie atomowe, tylko np. wiatrowe. Więc próbują odkręcać. Jak pisał Wergiliusz, boję się Niemców przynoszących dary. A Wergiliusz to Włoch. Pewnie od Salviniego.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

À propos Niemców. Ziobryści dostali od nich niespodziewany prezent. Już przymierzali się do głosowania przeciw ratyfikacji tzw. Funduszu Odbudowy, kiedy nagle ratyfikację w Niemczech zablokował na razie tamtejszy Trybunał Konstytucyjny. Ma wątpliwości, czy Niemcy nie zrzekają się swojej suwerenności. Trzeba jednak pamiętać, że na czele tamtejszego Trybunału nie stoi żaden niezależny sędzia, tylko totumfacki kanclerz Angeli. Nikt tego oczywiście głośno nie powie, ale są tacy politycy w Niemczech, którzy uważają, że Niemcy sobie bez funduszu poradzą. A inni nie. I może o to właśnie chodzi

Wracając do Polski. Wywiad Żelaznego Mariana Banasia wywołał panikę. Szef NIK dał do zrozumienia, że odpali wkrótce nie jedną bombę bijącą w PiS, lecz kilka. I zaczął się wyścig. Jak powiedziała nam pewna wiewiórka z partii rządzącej: „Wiemy, że i wśród nas są tacy, co kradną, teraz chodzi o to, żebyśmy ich zamknęli, zanim odpalą to inni".

Faktem jest, że opozycja jest coraz bardziej zdeterminowana. Zasypuje wszelkie możliwe instytucje państwowe wnioskami o informacje publiczne w nadziei, że coś jej się trafi. Nas bardzo ubawił pewien poseł lewicy, który dostał białej gorączki na widok zdjęcia dziecka nienarodzonego wpisanego w kształt serca na billbordach. I chce ustalić, czy po kryjomu nie finansowała tego jakaś instytucja państwowa. Niestety, organizator płacił z własnej kieszeni. Wiemy – dla lewicy to może być szok.

Zachęcamy do udziału w naszej nowej akcji obywatelskiej „List do Rafcia Trzaskowskiego". Jak się przyłączyć? Drukujecie nasz list, podpisujecie i wysyłacie do Rafcia. Oto treść. „My, niżej podpisani, z satysfakcją odnotowujemy czterokrotne zwiększenie opłat za śmieci w Warszawie. Jednocześnie zwracamy się z uprzejmą prośbą o podniesienie cen biletów, opłat parkingowych i hipotecznych, a także wprowadzenie bykowego dla singli. Chcemy bowiem dzięki tym bodźcom jeszcze bardziej nienawidzić PiS. Z uszanowaniem" (tu podpis).

Jednocześnie przypominamy, że w Polsce jest dużo więcej miast rządzonych przez Peło, każdy więc może taką akcję obywatelską zorganizować na własnym terenie. Zachęćmy w ten sposób Platformę do okazania odwagi w myśl jej niepisanego credo: „Jak Peło mówi, że podniesie, to podniesie. Jak Peło mówi, że obniży, to mówi".

Z listów. Pozdrawiamy pana Emila z woj. łódzkiego, który napisał do nas z propozycjami nowych ksywek dla częstych bohaterów naszej rubryki. Oto niektóre: Hołownia – Szymon Płaczliwy albo Prorok Hołowniasz (to à propos jego katolickiej przeszłości). Borysław Budka miałby natomiast dostać bardziej opisowy przydomek. Borys „Egon, masz plan?" Budka.

Hołownię kupujemy od razu. Co do Borysława, obawiamy się, że coraz mniej czytelników pamięta, jak wyglądały wyczyny gangu Olsena.

Na zakończenie tradycyjny element humorystyczny. Jak myślicie, kto jest największym bohaterem krajów postsowieckich? Zdawać by się mogło, że Lenin. Otóż nie. Richard Henry Czarnecki. Zebrał on w ostatnim czasie serię najwyższych odznaczeń od Armenii, Azerbejdżanu, Gruzji, Kazachstanu i Ukrainy. Czekamy z niecierpliwością, aż Richard zdobędzie koronę ZSRS, to znaczy ordery od każdej byłej republiki związkowej. Podejrzewamy, że może być kłopot z Białorusią. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. PAWEŁ GROMADA

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

DECYDUJĄCE IMPULSY

Celebrytka Barbara Kurdej-Szatan wybrała się do programu Kuby Wojewódzkiego, by trochę ponarzekać, trochę pogwiazdorzyć, trochę opowiedzieć o swoim niedawnym porodzie. Jak to celebrytka. W pewnym momencie jednak zrobiło się nieciekawie, bo Kurdej-Szatan na uwagę prowadzącego, że jest ulubienicą Polski, zaprzeczyła. – Byłam – odpowiedziała. A dlaczego jej zdaniem już nie jest? – Zawsze byłam dość impulsywna. Czasem po prostu, niestety, nie panuję nad sobą – wytłumaczyła. No to chyba powinna z tym do lekarza iść, a nie do Wojewódzkiego. Ale pewnie znów impuls zdecydował.

ŻYCIE NIE DO KOŃCA PRYWATNE

Aktor Zbigniew Zamachowski postanowił odnieść się do szerzących się w mediach plotkarskich informacji o jego rozstaniu z żoną Moniką Richardson (teraz Zamachowską). W mediach pojawiły się bowiem zdjęcia z wyprowadzki aktora z ich wspólnego mieszkania. Zamachowski nie jest zadowolony z tego, że ten fakt wyszedł na jaw. Wydał więc specjalne oświadczenie w tej sprawie. „[...] Niestety owa wirtualna otchłań stała się dla mnie ostatnimi czasy tak dokuczliwa, że postanowiłem, będąc niejako wywołanym do odpowiedzi, odnieść się do tego medialnego hałasu, który rozpętał się wokół mojej osoby. Uprzejmie informuję zatem wszystkich zainteresowanych, że moje życie prywatne jest tylko i wyłącznie moją własnością i informacjami o nim nie zamierzam dzielić się z nikim poza bliskimi mi osobami, zwłaszcza w tzw. przestrzeni publicznej, jakąkolwiek postać ona przyjmuje" – oświadczył znany aktor. Oświadczenie zamiast do mediów powinien skierować raczej do swojej (jeszcze) żony Moniki. I to jakieś parę lat temu.

GŁOWA KAZA

Nic nie przebije jednak newsa o tym, że były premier wystąpi na gali MMA. I to jako zawodnik! Ten były premier to Kaz Marcinkiewicz. Serio. Zgodził się wystąpić na charytatywnej gali organizowanej przez braci Collins. W ringu ma walczyć z Rafałem Collinsem. Walkę zaplanowano na 2 czerwca, trzy rundy po dwie minuty. Dochód z organizacji gali zostanie przeznaczony na projekty skierowane przede wszystkim do dzieci oraz rodzin w trudnej sytuacji materialnej. Przy tej okazji Kazimierz Marcinkiewicz opowiedział, jak przygotowuje się do swojej walki. „Staram się mniej więcej dwa razy w tygodniu jeździć na trenażerze. Biegam – to są 40–60-minutowe odcinki. Trzy razy w tygodniu chodzę też na jogę. To są moje dzisiejsze przygotowania" – opowiadał serwisowi Sport.pl. Uchylił też rąbka tajemnicy na temat stroju. Będzie na nim polityczne przesłanie. „Będę walczył w podkoszulku. Być może przyjmę na niego jakąś reklamę. Natomiast myślę o tym, by na ciele pokazać inne wartości, niereklamowe i nie za pieniądze. Chodzi o przesłanie polityczne. Nie mamy praworządności, natomiast mamy partię Prawo i Sprawiedliwość, która nie ma nic wspólnego ani z prawem, ani ze sprawiedliwością" – zdradził. Dodał też, że dla bezpieczeństwa będzie bił się w kasku, żeby chronić głowę. Nie wiemy w sumie, w jakim celu. Przecież tam już dawno nie ma nic do ratowania.

PRYWATNOŚĆ TYLKO W GAZECIE

Pola Wiśniewska, piąta żona Michała Wiśniewskiego z Ich Troje, opowiedziała na łamach magazynu „Party", że nie chce zostać celebrytką i bardzo ceni sobie prywatność.

„Publikacja mojego pierwszego zdjęcia w Internecie była spontanicznym pomysłem Michała, o którym dowiedziałam się po fakcie. Rozbawiło mnie to i nieco zaskoczyło, ale sam fakt niczego dla mnie nie zmienia. Wciąż cenię sobie prywatność i spokój. Codziennie obserwuję blaski i cienie popularności Michała i to mi w zupełności wystarczy" – wyznała. Tak bardzo jej wystarczy, że wywiad w kolorowym magazynie nie zaszkodzi. A może i pomoże w tym, by chronić prywatność i nie zostać celebrytką. Logiczne przecież. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wiecie, jaki jest największy problem tego kraju w czasie trwającej pandemii? Dobrze się domyślacie – pozostawienie otwartych kościołów (jeśli ktoś się nie domyślał, to oczywiście też OK, to nie egzamin).

Pamiętajmy – nie chodzi o to, iżby wąskie grono wierzących mogło w czasie Spring Holidays uprawiać churching. Chodzi o to, iżby każdy miał tak samo źle.

Skoro więc my, traktując swoje ciała niczem świętość (xD), nie możemy korzystać z naszego multisportu i mamy pozamykane siłownie, to niech gwoli sprawiedliwości starzy i z małych ośrodków mają pozamykane kościoły.

A gdyby ktoś pytał, to pamiętajcie – udajemy, iż wyrażamy troskę o starszy elektorat, iż się zarazi koronawirusoosobą podczas święcenia jajeczka xD

A gdyby ktoś dociekał, to powiecie, że przecież nawet Szymon Hołownia jest za wstępem tylko pięciu osób do kościoła, i to będzie argument ostatecznie zwycięski.

Reprezentanci tego kraju w piłce nożnej nie uklęknęli w ramach akcji Black Lives Matter przed meczem z Anglią na Wembley. Na wszelki wypadek, jeszcze przed meczem, przygotowaliśmy dla Was dwa scenariusze, co należy myśleć:

– jeśli uklęknęli, to mamy przykład pięknej polskiej hipokryzji, iż na pewno nie wiedzieli do końca, w jakiej sprawie klękają; pewnie myśleli, że to jakiś churching i Wielki Tydzień xD, a tak w ogóle to próbują zdobyć popularność, podpinając się pod zachodnie akcje;

– jeśli nie uklęknęli, to oznacza to, co wszyscy wiemy – polski tradycyjny rasizm i ksenofobię, który musiano zaprezentować nawet za granicą, i to w tak tolerancyjnym kraju jak Wielka Brytania.

Teraz śmiało się możecie rzucić do dyskusji w social mediach.

Przez tę całą pandemię zupełnie nie zauważyliśmy, iż przyszedł do nas Wiosen.

Kierując się zasadą #zostanwdomu, zostaliśmy w domu i jakoś umknęło nam odsłonięcie zasłon i zerknięcie, jak wygląda na polu (pozdro z Krakowa).

Może Was to dziwi, ale w ogóle mamy problem z work-life balance: zdarza nam się spać do 16 i dzwonić z ofertą pakietu Internet + telefon o 3 w nocy. Trochę przypał, bo premie spadają.

No a wracając do Wiosena – niestety przyszedł w masce i trzyma dystans, w dodatku nie można pójść na kawę do starbunia ani pić jej z kubka na ulicy. Może nasze ulubione niebinarne Lato będzie lepsze. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Barbados

Adam, czy ja mogę wyjechać?
Nie wiem, Marku. Zależy, dokąd.

Bo po tym twoim oświadczeniu, że wyjazdy zagraniczne są niesolidarne... Rozumiesz, nie chciałbym, żeby się jakieś pismaki przyczepiły. A ja zmęczony jestem, jeszcze tym przewodniczącym rady programowej radia zostałem, muszę odpocząć trochę.
Ja rozumiem. Ale dokąd chcesz jechać? Bo w kraju to niby nie ma problemu, ale znów hotele zamknięte...

Nie, ja chciałem za granicę. Ale niedaleko.
Czechy? Słowacja? Na Węgry może?

No nie, jednak troszkę dalej. Na Barbados.
Że jak?

Na Barbados.
Gdzie to jest?!

Zaraz ci pokażę... O, tu. Widzisz taką kropkę obok Ameryki Południowej? Nie, nie ta, ta to jest Grenada. Nie, ta też nie, to jest Martynika. Tutaj.
Co ci do głowy strzeliło?!

No bo wiesz, wszyscy tylko ten Zanzibar i Zanzibar. Pomyślałem, że coś innego zobaczę, a to taka wiocha ten Barbados, samo Podlaskie wiele razy większe jest, tam to mnie nikt nie wytropi. To jak – mogę, myślisz? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Widzę jeden motyw: taca i pazerność kleru. Taca i potencjalne wpływy z pogrzebów".

WŁODZIMIERZ CZARZASTY, *wicemarszałek Sejmu (Nowa Lewica), o tym, dlaczego kościoły nie zostały zamknięte przed Wielkanocą*

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. DIGITALGLOBE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 25fbc9c3e1

MILIARDOWE STRATY PRZEZ JEDEN STATEK

W marcu przez kilka dni zablokowany był Kanał Sueski łączący Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym (tę jedną z najważniejszych dróg wodnych świata wybudowano w XIX w., pracowali przy tym polscy inżynierowie Stanisław Janicki i Mieczysław Geniusz).
Kanał zablokował kontenerowiec „Ever Given", którego właścicielem jest japoński Shoei Kisen. Statek zszedł z kursu i utknął na mieliźnie. Wstępnie podawano, że przyczyną miał być blackout na jednostce, a do zejścia z kursu przyczynić miały się dodatkowo silne wiatry i burza piaskowa.
W tym czasie na wodach wokół kanału zbierała się potężna kolejka statków, które nie mogły przez niego przepłynąć. Było ich tak wiele, że gdy 29 marca kanał odblokowano, to do 1 kwietnia przepłynęły nim 163 statki, a 292 nadal oczekiwały w kolejce.
Przerwanie łańcucha morskich dostaw wiązało się z ogromnymi kosztami. Wpłynęło to nawet na ceny ropy i transportu morskiego na całym świecie. Prezes zarządu Kanału Sueskiego oszacował, że sam Egipt stracił na tym ok. miliarda dolarów. Firmy ubezpieczające japoński statek będą musiały wypłacić gigantyczne odszkodowania. Japońska firma informowała, że do ubiegłego tygodnia nie wpłynęły jeszcze do niej żadne tego rodzaju roszczenia. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Stracone pokolenie?

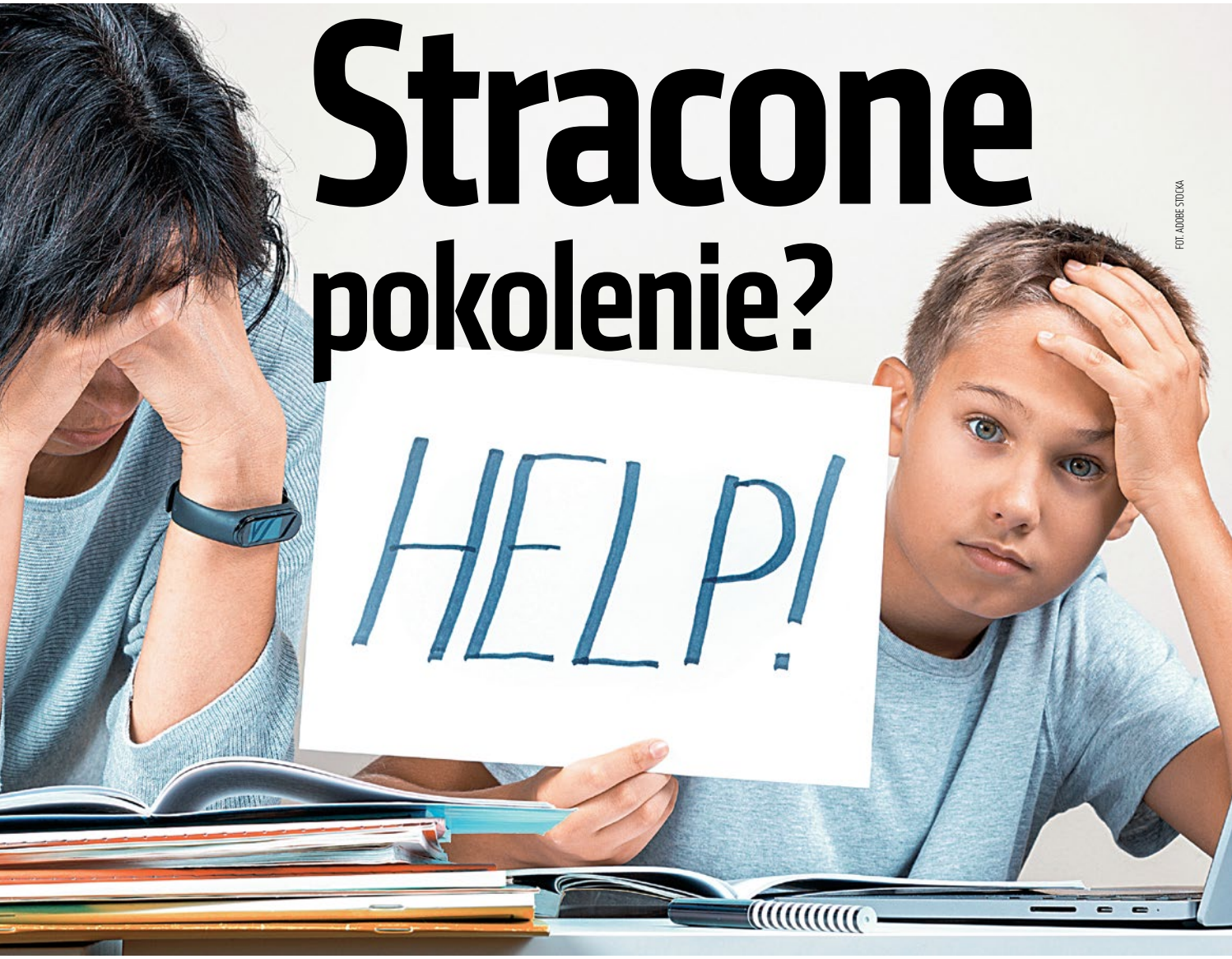

FOT. ADOBE STOCKA

Jacek Przybylski

Młode pokolenie skutki zamknięcia szkół, e-nauczania i kryzysu na rynku pracy będzie boleśnie odczuwać przez całe dorosłe życie – ostrzegają eksperci z różnych stron świata. Pandemia spowoduje bowiem nie tylko braki w edukacji, lecz także problemy psychiczne. Obecna młodzież przez kilkadziesiąt lat ma być też skazana na niższe zarobki

Ponad 1,5 mld uczniów i studentów na całym świecie ucierpiało z powodu zamknięcia szkół i uniwersytetów – wynika z danych ONZ. I chociaż wiele państw rozpoczęło e-lekcje, to eksperci Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) alarmują, że każdy tydzień zdalnego nauczania niesie za sobą straty w rozwoju kapitału ludzkiego, co będzie miało znaczące długoterminowe skutki gospodarcze, społeczne i zdrowotne. Już teraz wielu młodych ludzi potrzebuje pomocy terapeuty lub psychologa. Poważne koszty niosą za sobą także utracone szanse na nabywanie kompetencji społecznych.

Kto za to wszystko zapłaci? Raport „Corona generation. Growing up in a pandemic" – opublikowany w marcu przez Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) – nie pozostawia złudzeń: największe koszty lockdownu poniosą właśnie młodzież szkolna oraz osoby wchodzące obecnie na rynek pracy.

„W 2020 r. całkowite koszty finansowe pandemii dla młodych ludzi sięgnęły 1,3 bln dol., co odpowiada 1,5 proc. światowego PKB" – zauważa w dokumencie PIE. W krótkim terminie skutki dla młodych ludzi eksperci PIE wycenili na 1,7 bln dol. – to koszty związane m.in. z ochroną zdrowia psychicznego oraz konsekwencje dynamicznego wzrostu bezrobocia wśród młodych. Długookresowe konsekwencje kolejnych covidowych ograniczeń

eprasa.pl 25fbc9c3e1

czy też e-nauczania – o wiele mniej efektywnego niż nauczanie tradycyjne – mają zaś sięgnąć w skali globalnej aż 44 bln (!) dol., z czego najważniejszym elementem jest właśnie ograniczenie dostępu do edukacji, a co za tym idzie – spadek przyszłych dochodów obecnych uczniów i studentów.

Według analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego obecna młodzież nawet już po ustaniu pandemii przez następne pół wieku zarobi średnio aż o 6,2 proc. mniej, niż gdyby covidowy kryzys nie wybuchł. Według dokumentu opracowanego przez PIE w wyniku pandemii osoby pracujące w gospodarkach o wysokich dochodach będą tracić 750 dol. rocznie, w gospodarkach o średnich dochodach spadek zarobków wyniesie od 420 do 510 dol., a w krajach o niskich dochodach 400 dol. Najbardziej dotkliwej straty doświadczą absolwenci uczelni wyższych – w przypadku mężczyzn ma ona sięgnąć średnio aż 56 tys. dol., a w przypadku kobiet 43 tys. dol.

W przypadku Polski autor raportu – biorąc pod uwagę zamknięcie szkół w 2020 r. – oszacował średni spadek dochodów w czasie całej kariery zawodowej obecnych uczniów i studentów o 5,8 proc. Ta liczba jest już niestety nieaktualna, ponieważ okres zdalnego nauczania przedłużył się o kolejnych kilka miesięcy. Co to oznacza dla młodych?

– Wyniki badań, którymi dysponujemy, jednoznacznie pokazują, że zdalne nauczanie nie jest tak efektywne jak tradycyjne. Każdy miesiąc z zamkniętymi szkołami zwiększa więc zaległości, co bezpośrednio przekłada się na wysokość zarobków w przyszłości. W naszym raporcie braliśmy pod uwagę tylko rok 2020. Skoro mamy już kwiecień, to szacunki dotyczące utraconych dochodów powinny być jeszcze wyższe – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" autor raportu PIE Krzysztof Kutwa. Jeżeli więc lockdown szkół potrwa do końca czerwca 2021 r., to spodziewane dochody będą mniejsze nie o wspomniane 5,8 proc., a już o 8,8 proc. Jeżeli zaś nauczenie zdalne potrwałoby do końca 2021 r., to szacowane przyszłe dochody młodych będą niższe aż o 11,8 proc., niż gdyby pandemia koronawirusa nigdy nie wybuchła.

MAŁE SZANSE NA AWANS

To nie koniec złych wiadomości dla młodych ludzi i ich rodziców, którzy chcieliby wierzyć, że analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego mogą być zbytnimi pesymistami. Dokumenty o podobnej wymowie przez ostatnie 12 miesięcy opublikowało niestety wiele instytucji z różnych zakątków świata. Niektórzy eksperci widzą przyszłość covidowej młodzieży w jeszcze czarniejszych barwach niż polscy.

Eksperci OECD w dokumencie „Youth and COVID-19: Response, recovery and resilience" z połowy 2020 r. szacują, że strata jednego roku nauki oznacza utratę od 7 do 10 proc. dochodu podczas całej kariery zawodowej. Według raportu opublikowanego jesienią 2020 r. przez The Sutton Trust – brytyjską organizację charytatywną, której celem jest zwiększenie mobilności społecznej poprzez poprawę niekorzystnej sytuacji edukacyjnej – zamknięte szkoły i zdalne nauczanie przekładają się na ogromne zaległości w przyswojonym materiale niezależnie od stanu zamożności rodziców uczniów. Zdaniem ekspertów The Sutton Trust przeciętny uczeń pochodzący z bogatego domu będzie umiał o 21 proc. mniej, niż gdyby nauka odbywała się normalnie, a pochodzący ze środowiska o niskim statusie społeczno-ekonomicznym o 34 proc. mniej (m.in. ze względu na brak właściwego sprzętu komputerowego oraz niesprzyjające nauce środowisko domowe). Efekty? Niższe prawdopodobieństwo rozpoczęcia studiów wyższych, mniejsze dochody w przyszłości i zmniejszone szanse na wejście do grupy najlepiej zarabiających.

„Negatywny wpływ zamknięcia szkół na przyszłe zarobki jest ponad trzy razy wyższy u tych, którzy pochodzą ze środowisk o niskim statusie" – podkreślili autorzy raportu, którzy wyliczyli, że spadek przyszłych zarobków ze względu na kolejne lockdowny u mężczyzn pochodzących z gorzej usytuowanych rodzin wyniesie 22,5 tys. funtów (równowartość 122 tys. zł), a w przypadku kobiet 14,6 tys. funtów (niemal 80 tys. zł). Prawdopodobieństwo, że chłopcy z niższych sfer jako dorośli dostaną się do grona najlepiej zarabiających, zmalały przez kolejne lockdowny o 7,5 proc., a w przypadku dziewczynek prawdopodobieństwo to zmalało o 4,5 proc.

Niestety, po kilku kolejnych miesiącach lockdownów te perspektywy są jeszcze gorsze. Autorzy wydanego jesienią 2020 r. dokumentu wyraźnie zastrzegli bowiem, że jeśli zostaną wprowadzone kolejne ograniczenia w normalnym nauczaniu, to prowadzić one będą do większego spadku dochodów covidowego pokolenia w przyszłości.

– Trudno mieć 20 lat w 2020 r. – zauważył przed rokiem prezydent Francji Emmanuel Macron. Niestety, w pierwszych miesiącach roku 2021 równie trudno jest mieć lat 21, i to nie tylko we Francji, w której liczba młodych ludzi stojących codziennie po jedzenie w bankach żywności wzrosła do rozmiarów niewidzianych nigdy dotąd we współczesnej historii.

CIOS W „GENERACJĘ Z"

Starsi reprezentanci tzw. generacji Z, a więc pokolenia osób urodzonych od 1997 do 2012 r., nie muszą wczytywać się w komentarze polityków czy pesymistyczne scenariusze kreślone przez analityków z różnych stron świata. Negatywny wpływ pandemii na karierę zawodową już teraz boleśnie odczuwają bowiem na własnej skórze.

W czasach pandemii koronawirusa wielu młodych absolwentów studiów nie ma szans nie tylko na znalezienie pracy na etat, lecz także trudno jest im nawet o płatne staże. Duża część wielkich korporacji przeszła na tryb zdalny lub hybrydowy i nie ma jak zajmować się praktykantami.

Według najnowszych danych GUS w lutym 2021 r. ogólna stopa bezrobocia utrzymywała się co prawda na poziomie 6,5 proc. i chociaż i tak była o wiele niższa niż w wielu zachodnich krajach, to niepokoić może wyraźna tendencja wzrostowa. Nawet ci Polacy, którzy mają pracę, mocno obawiają się jej rychłej utraty – z opublikowanego pod koniec marca 2021 r. Barometru Rynku Pracy Work Service wynika, że aż 35 proc. zatrudnionych boi się, iż zasili grono bezrobotnych. Dramatycznie spadł również odsetek osób spokojnych o swoje życie zawodowe – jeszcze w lipcu wynosił on 81 proc., a obecnie wynosi zaledwie 43 proc.

Szczególnie mocno w pandemicznych czasach w skórę od życia dostają właśnie młodzi. Na koniec lutego w urzędach pracy zarejestrowanych było już ponad 285 tys. osób poniżej 30. roku życia – to aż o 18 proc. więcej niż rok wcześniej. W najtrudniejszej sytuacji są jednak ci Polacy, którzy nie skończyli jeszcze 25 lat. Według danych GUS w lutym oficjalnie

eprasa.pl 25fbc9c3e1

pracy nie miało niemal 140 tys. z nich, co oznacza wzrost aż o jedną piątą w porównaniu z danymi z lutego roku 2020.

Z danych Work Service wynika, że szybko rośnie więc odsetek Polaków – zwłaszcza młodych – którzy rozważają emigrację zarobkową, zwłaszcza do Niemiec, Holandii lub Wielkiej Brytanii. XV edycja Barometru Rynku Pracy pokazała, że podjęcie pracy poza ojczyzną rozważa niemal 18 proc. pytanych, czyli najwięcej od pięciu lat (dla porównania: we wrześniu 2019 r. było to 8,6 proc., a w lipcu 2020 r. 9,9 proc.). W Niemczech czy Holandii bezrobocie wśród młodych jest rzeczywiście niższe, ale w Polsce i tak jest relatywnie nieźle. Nad Wisłą zatrudnienia nie ma na razie co szósty absolwent. Dużo trudniej mają młodzi w takich krajach jak Włochy czy Grecja, gdzie bez pracy jest niemal co drugi szukający pracy absolwent.

Według unijnych statystyk stopa bezrobocia wśród osób poniżej 25. roku życia wynosi na terenie UE około 17proc. – innymi słowy: ponad 3 mln młodych Europejczyków na początku kariery zawodowej nie może znaleźć żadnej pracy.

W najgorszej sytuacji młodzi są w krajach takich jak Hiszpania, gdzie socjalistyczny rząd zaślepiony ideologiczną walką kompletnie nie radzi sobie z problemami gospodarczymi, przez co bezrobocie wynosi tam ogółem ponad 16 proc., a wśród młodzieży przekroczyło już 40 proc. Dostrzega to nawet nieudolny lewicowy premier Hiszpanii Pedro Sánchez, który podczas odbywającego się zdalnie Światowego Forum Ekonomicznego określił tak wysoki poziom bezrobocia wśród młodych „niedopuszczalnie wysokim". Rząd w Madrycie na początku roku zapowiedział co prawda wprowadzenie zachęt dla firm zatrudniających młodych na płatne praktyki i szkolenia, ale problem wciąż pozostaje nierozwiązany. Ci, którym udało się dostać na płatny staż, często narzekają z kolei, że choć w innych czasach ich praktyki skończyłyby się ofertą pracy, to tym razem wiele firm wstrzymało proces rekrutacji nowych pracowników.

Niestety, kłopoty młodych pracowników widoczne są na całym świecie. W pandemicznym roku 2020 globalne bezrobocie wśród młodych rosło ponad dwa razy szybciej niż ogólnie. O ogromnym pechu mogą mówić absolwenci wyższych uczelni w Stanach Zjednoczonych, którzy jeszcze rok temu szykowali się do rozpoczęcia kariery w czasach, gdy rynek pracy był wyjątkowo korzystny, a po wybuchu pandemii trafili nagle na jeden z najgorszych okresów na rynku pracy od czasu wielkiego kryzysu lat 30. XX w.

Wielu z nich ostatecznie nie otrzymało umówionych wcześniej posad ani nawet staży. Według portalu rekrutacyjnego Handshake ok. 30 proc. studentów po wybuchu pandemii usłyszało, że ich letnie staże zostały anulowane. Wielu innym koncerny zaproponowały przełożenie praktyk lub próbnego zatrudnienia na późniejszy okres. Raty kredytów za studia zamiast pokrywać z pierwszych pensji, muszą więc spłacać z pieniędzy od rodziców. W okresie pandemicznych restrykcji jest szczególnie ciężko, ponieważ trudno jest nawet o typowe dla młodych ludzi zajęcia, takie jak praca w charakterze kelnerki, barmana etc. Branże, które zazwyczaj najchętniej zatrudniają młodych – sektor usług, a zwłaszcza turystyka czy gastronomia – zostały bowiem najsilniej dotknięte surowymi restrykcjami epidemicznymi.

WIĘCEJ SAMOBÓJSTW I UZALEŻNIEŃ

Właśnie dlatego – według międzynarodowego badania „AI@Work Study 2020" opublikowanego przez firmę Oracle – w roku 2020 zwiększony stres w pracy odczuwało aż 89 proc. zatrudnionych w wieku 22–25 lat oraz 83 proc. w wieku 26–37 lat. Dla porównania odsetek bardziej zestresowanych w okresie pandemii wśród pracowników w wieku 55–74 lata wyniósł 62 proc. Eksperci taki zwiększony niepokój wśród młodych tłumaczą m.in. tym, że w przeciwieństwie do starszych pracowników rzadziej mają oni np. umowy o pracę na czas nieokreślony czy też bogate doświadczenie pozwalające na spokojniejsze myślenie o zawodowej przyszłości.

Wymarzone życie zawodowe milionów młodych Europejczyków czy Amerykanów uległo więc zawieszeniu, a konsekwencje pandemii, a także towarzyszących jej zawirowań na rynkach finansowym, pracy czy nieruchomości, będą odczuwać jeszcze przez długie lata.

Krzysztof Kutwa, autor omawianego na początku artykułu raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego, zwraca uwagę, że gorsze perspektywy zawodowe przełożyć się mogą na spadek liczby zawieranych małżeństw, wzrost liczby rozwodów, niższą dzietność, a także wzrost przestępczości czy np. uzależnień od alkoholu.

Pesymistyczne wnioski można wyciągnąć także z opracowań dotyczących wpływu poprzedniego kryzysu finansowego na tzw. millennialsów, czyli osoby urodzone między 1980 a 1996 r. Jak zauważył Kevin Rinz, autor opublikowanego w 2019 r. raportu Center for Economic Studies, najstarsi millennialsi jak dotąd nie uporali się zupełnie ze skutkami poprzedniej recesji, która uderzyła zarówno w rynek pracy, jak i rynek nieruchomości i z powodu redukcji zatrudnienia oraz obniżek płac stracili ok. 13 proc. zarobków. Gorzej zarabiający i zadłużeni millennialsi później kupowali domy, później zakładali rodziny, a nawet częściej umierali. Z raportu Stanford Center on Poverty and Inequality wynika, że w latach 2008–2016 współczynniki śmiertelności dla osób w wieku 25–34 lata wzrosły o ponad 20 proc., do czego przyczyniły się głównie samobójstwa oraz przypadki przedawkowania narkotyków.

– Kryzys finansowy odbił się mocno głównie na rynku pracy i utrudnił młodym zdobycie zatrudnienia. Tymczasem pandemia koronawirusa radykalnie wpłynęła zarówno na rynek pracy, jak i na system edukacji oraz zapotrzebowanie na opiekę psychiatryczną i psychologiczną – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" Krzysztof Kutwa z Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Można mieć nadzieję, że członkowie pokolenia Z wyciągnęli wnioski z błędów millennialsów i ostrożniej się zadłużają. Poza tym autor raportu „Corona generation. Growing up in a pandemic" formułuje w nim dziewięć rekomendacji, które miałyby przynajmniej przywrócić stasus quo, ale wskazuje, że to nie wyczerpuje zakresu działań, które mogą podjąć rządy, aby nie dopuścić do realizacji czarnego scenariusza. Czy można więc mówić o straconym pokoleniu? – Zagrożenie jest bardzo duże. Na takie ryzyko wskazuje jednak historia straconego pokolenia lat 20. XX w. Wciąż mam jednak nadzieję, że ostatecznie tak się nie stanie. Podjęcie konkretnych działań przez rządzących daje jednak szansę, by uniknąć tego scenariusza i uchronić przed nim obecną młodzież. Potrzebne są więc wyższe nakłady na edukację, a także opracowanie strategicznego programu nadrabiania zaległości. Bezdyskusyjnie trzeba zapewnić dostęp do kadr, czyli przeznaczyć większe środki na ochronę zdrowia psychicznego. Z kolei skuteczne zapobieganie wzrostowi bezrobocia wśród młodych nie powiedzie się bez antycyklicznej polityki. Pomysłów nie brakuje – tłumaczy „Do Rzeczy" Krzysztof Kutwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Z dr. Tomaszem Gajderowiczem z Evidence Institute i Uniwersytetu Warszawskiego, ekonomistą, ekspertem w zakresie relacji między edukacją a rynkiem pracy
rozmawia Łukasz Zboralski

Pandemia najmocniej uderza w dzieci

ŁUKASZ ZBORALSKI: Zaczęliśmy już drugi rok pandemii. Dzieci – z małymi przerwami dla tych najmłodszych w szkołach podstawowych – uczą się głównie, siedząc w domach. Już wiemy – m.in. z danych telefonu zaufania dla dzieci – że dwukrotnie wzrosła liczba tych młodych ludzi, którzy potrzebują pomocy. Z badań Dolnośląskiej Szkoły Wyższej wynika z kolei, że aż 44 proc. nastolatków ma objawy depresji. Czy najmłodsze pokolenie ponosi psychiczny koszt pandemii? I dlaczego tak reagują?

DR TOMASZ GAJDEROWICZ: Najmłodsze pokolenie jest najbardziej narażone ze względu na bezbronność i samotność w zamknięciu, w którym nie zawsze dobrze się dzieje. Jak wiemy, dla prawidłowego rozwoju młodym osobom potrzebne są interakcja z rówieśnikami i więzi społeczne. Przed pandemią szkoła była miejscem, które te funkcje społeczne zaspokajało – była miejscem interakcji oraz miała pewną funkcję kontrolną, bo to nauczyciel mógł w porę zauważyć problemy dzieci. Obecnie te wszystkie problemy zostały zamknięte w domach. W zamknięciu dzieci się emocjonalnie duszą. Te jednostki, które są odpowiedzialne za wzrost odsetka poszukujących pomocy za pomocą np. telefonów zaufania, to wierzchołek góry lodowej. Większości mnożących się problemów w domowych zamknięciach my nie widzimy.

Czy tego rodzaju problemy psychiczne, z którymi zmagają się dzieci, mogą potem rzutować na ich funkcjonowanie społeczne? Będzie im trudniej tworzyć związki czy pracować w grupie?

Po pandemii zdecydowanie będzie trudniej odnaleźć się w realu. Rozwój społeczny i rozwój umiejętności budowania relacji to jedna z najważniejszych rzeczy, które dzieci i uczniowie na tym etapie rozwoju zdobywają.

Rok takiego zamknięcia w domach to jest bezprecedensowa przerwa w tym rozwoju, której konsekwencji jeszcze nawet nie znamy. Powrót do nowej normalności (jakakolwiek by ona była) może wiązać się z ogromnymi wyzwaniami, lękiem, o którym wcześniej nie było mowy.

Według WHO jeden psychiatra powinien przypadać średnio na 10 tys. osób poniżej 18. roku życia, a w Polsce jeden przypada na razie średnio na 20 tys. Czy nie należy zapewnić należytej pomoc właśnie teraz, gdy młodzież bardzo jej potrzebuje?

Zdecydowanie należy – jest to jedno z większych wyzwań, przed jakimi stoi państwo w zakresie pomocy młodszemu pokoleniu. W Polsce te rosnące potrzeby oczywiście się nakładają na – znany każdemu z mediów – dramatyczny stan psychiatrii dziecięcej. Oddziały są przepełnione, a dziecięcych psychiatrów brakuje. Mamy więc nie tylko problem z samym wzrostem zapotrzebowania na usługi specjalistyczne, lecz także kłopot z brakiem specjalistów, którzy są w stanie udzielić wsparcia.

Co możemy zrobić? Z pewnością waga problemu zasługuje na ogólnokrajowy przemyślany program nakierowany na dobrostan dzieci, na ich problemy psychologiczne, na to, by gdy nastąpi powrót do szkół, jego jakość i komfort dzieci były objęte szczególną troską. Taki program nie może być jednak kolejną inicjatywą polityczną opartą na ideologii. To musi być polityka oparta na naukowych dowodach, doświadczeniu innych krajów, na dobrych praktykach. Jest to jedyna droga, by nie zafundować sobie narastającego przez pandemię w młodym pokoleniu problemu – zarówno edukacyjnego, jak i psychologicznego.

Młodzi Polacy ponoszą nie tylko koszty obciążeń psychicznych. Realnie też tracą na wiedzy i umiejętnościach. Według Banku Światowego utrata przyrostu wiedzy podczas pandemii może sięgać aż 70 proc. Czy grozi nam niedouczone pokolenie? Bo przecież w edukacji bez nabycia pewnych podstaw trudno się dalej rozwijać. To są poważne bariery na kolejnych etapach...

Do tych szacunków trzeba podchodzić z pewną rezerwą. Pan wspomniał pierwsze symulacje z czerwca 2020 r. dotyczące ubytku rocznego przyrostu wiedzy, które są zatrważające. Niedawno w kilku krajach, m.in. Europy Zachodniej, przeprowadzono standaryzowane oceny dzieci – takie, które da się porównać z międzynarodowymi wynikami sprzed pandemii. Rozrzut wyników pomiarów straty edukacyjnej jest dość duży, waha się jednak od kilkunastu do kilkudziesięciu procent utraty rocznego przyrostu wiedzy w roku zamknięcia szkół. Nawet te mniejsze oszacowania to jednak jest ciągle ogromna utrata wiedzy, która rzutuje na kolejne lata nauki i je obciąża.

Jeszcze większym problemem niż sam spadek średniego przyrostu wiedzy jest zróżnicowanie tego efektu w zależności od statusu społecznego, sytuacji materialnej.

No właśnie. Czy najbardziej nie tracą ci, którzy byli najsłabsi w szkole?

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

Pandemia uderza dzieci jednocześnie z kilku stron. Po pierwsze, zwiększają się nierówności dochodowe. Przez galopujący problem w gospodarce, ludzie tracą pracę, zamykają biznesy. We wskaźnikach bezrobocia zobaczymy to z pewnym opóźnieniem. Ci ludzie, którzy tracą pracę, są w efekcie mniej zamożni, co dotyka pośrednio dzieci w takich rodzinach.

Po drugie, w związku z konsekwencjami lockdownu narasta frustracja, co skutkuje piętrzeniem się innych problemów społecznych. Widać to choćby w danych o wzroście spożycia alkoholu w pandemii.

Wyobraźmy sobie teraz dom ucznia lub uczennicy ze środowiska mniej zamożnego, w którym jest nagła utrata zarobków, zwiększa się natężenie problemów i patologii społecznych. Uczeń jest zamknięty w środowisku domowym, słabych warunkach mieszkaniowych, ze słabym sprzętem, łączem internetowym, słabymi umiejętnościami informacyjnymi. Tacy uczniowie pozostawieni są sami sobie – nie mają skąd czerpać pomocy. Pandemia najmocniej uderza właśnie w te dzieci, one są najbardziej bezbronnymi ofiarami – dzieci z biedniejszych rodzin, z trudniejszą sytuacją społeczną, kontaktem z patologią tracą najwięcej. Skala rozwarstwienia społecznego zarówno pod względem luki edukacyjnej, jak i problemów psychologicznych jest dramatyczna i rośnie! Czy to widzimy? Nie, zamknęliśmy te problemy szczelnie w domach.

Czy w Polsce w ogóle monitorujemy ten problem? Czy mierzymy, ile z edukacji traci najmłodsze pokolenie?

Niestety, nie tak, jak powinniśmy. Po pierwsze, faktycznie przy zamkniętych szkołach trudno te zjawiska dobrze zmierzyć. Po drugie, Ministerstwo Edukacji i Nauki dosyć niefrasobliwie podchodzi do problemu pomiaru luki edukacyjnej. Zresztą to ogólniejszy problem – w kraju brakuje nam planowania i prowadzenia polityki opartych na dowodach naukowych. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do prowadzenia reform na podstawie potrzeb politycznych, sentymentów i ideologii. W wielu innych krajach wykonano już diagnozy i zbadano, jaka jest strata edukacyjna i w jakich grupach szczególnie dotkliwa.

Co powinniśmy – po diagnozie i rozeznaniu stanu – zrobić w systemie edukacji, by dzieci nadgoniły tę stratę? Zabrać im np. połowę wakacji i douczyć tych, którzy najwięcej stracili?

To jest jeden z pomysłów, w kilku krajach jest wdrażany. Tymczasem jesteśmy rok po wybuchu pandemii, a takie dyskusje pomysłów powinny się toczyć w lipcu ubiegłego roku, żeby teraz mieć gotowe scenariusze. Od września powinna zostać przeprowadzona rzetelna diagnoza luki edukacyjnej. W oparciu o dowody i analizy z innych krajów powinniśmy mieć już stworzone rozsądne programy.

Z doświadczeń innych krajów mamy już pewne pojęcie, jakie cechy powinny mieć takie programy. Po pierwsze, nie obędzie się bez dodatkowych środków. Po drugie, program powinien szanować autonomię nauczyciela, ale zarazem nauczyciel powinien być wyposażony w odpowiednie narzędzia na miarę wyzwań edukacji mieszanej. Powrót do szkoły prawdopodobnie odbędzie się w formie hybrydowej – nauczyciele i dyrektorzy powinni mieć propozycje gotowych sensownych rozwiązań.

Czy sami nauczyciele jednak nie dołożyli problemów? Przeszli na nauczanie zdalne ze swoim wdrukowanym trybem: naucz, skończ dział, zrób klasówkę. I bombardują uczniów sprawdzianami on-line, z odpowiedziami na czas...

Przestrzegam przed krytyką nauczycieli w tym zakresie. Rok temu, z dnia na dzień, nauczyciele zostali postawieni w zupełnie nowej rzeczywistości. Starali się przenieść swój stary zawód do świata zdalnego. Jakimś nadludzkim wysiłkiem zrobili to tak, jak potrafili.

Oczywiście edukacja zdalna, żeby była sensowna, wymaga zupełnie innego podejścia. Sprawdziany na ocenę? To dziś sprawdzian kombinatorstwa, a nie sprawdzian wiedzy. Rzeczywiście imperatyw wewnętrzny nauczycieli, żeby sprawdzać wiedzę i stawiać za wszystko oceny, w takiej sytuacji zupełnie nie ma sensu. Tymczasem same testy to znacznie lepsze narzędzie do nauki niż do oceniania.

W edukacji zdalnej jest wiele skutecznych technik, które mogą wspomagać proces dydaktyczny. Jednak, żeby nauczyciele ich efektywnie używali, musieliby po miesiącu początkowego chaosu, na który nikt na świecie nie był przygotowany, dostać odpowiednie szkolenia i narzędzia. Tymczasem działania ministerstwa były i są dosyć chaotyczne. Znów dało o sobie znać to, co mnie najbardziej

eprasa.pl 25fbc9c3e1

w dzisiejszej Polsce boli, brak myślenia strategicznego opartego na dowodach, ponad podziałami, grami politycznymi i emocjami.

Rodzice też czasem nie pomagają. Jest wiele doniesień nauczycieli, że potrafią podpowiadać z boku przy odpowiedzi albo wypełniać z dzieckiem sprawdzian. Od początku pokazują, że można osiągać „cel", oszukując...

Kultura ściągania jest w naszym społeczeństwie głęboko zakorzeniona, sięga dekad wstecz. Wyplenienie tego i myślenie o tym w kategoriach kradzieży intelektualnej jest ważnym zadaniem szkoły przyszłości.

W dodatku podczas pandemii rodzice nagle zobaczyli, jak wygląda lekcja, jak pracuje nauczyciel – i każdy miał jakieś przekonanie, dlaczego to jest złe i jak powinno wyglądać lepiej. Komentowanie tego w obecności dzieci nie buduje dobrze pozycji nauczyciela i wpływa demotywująco na uczniów.

Bardzo wielu rodziców zatrzymało się w przekonaniu, że najważniejsze w edukacji jest zdobywanie ocen, i w związku z tym dzieciom „pomaga się" osiągać najwyższe noty. Pomyślmy o tym, że jeśli większość uczniów w klasie podczas sprawdzianu ściąga z sieci albo pomagają im rodzice, to jak poszkodowani są ci uczciwi, którzy polegają na własnej wiedzy i umiejętnościach?

W tej sytuacji mimowolnie robimy z systemem edukacji coś najgorszego – ustawiamy system motywacyjny promujący zachowanie nieuczciwe. Dlatego w zdalnej edukacji ocenianie powinno być zredukowane do minimum. Znacznie lepiej oceniać np. wysiłek ucznia wkładany w naukę.

Luki w wykształceniu będą się przekładać potem na start w karierze zawodowej. Polski Instytut Ekonomiczny dość dokładnie oszacował już nawet, że to „zmarnowane pokolenie" w przyszłości będzie zarabiać średnio 550 dol. mniej rocznie. Najmocniej ucierpieć mają młodzi Europejczycy i Azjaci. Uczący się dziś Polacy jako pracownicy zarobią 5,8 proc. mniej niż pokolenia obecne dziś na rynku pracy. Czy to jakoś da się odwrócić, czy ludzie muszą się z tym już pogodzić?

To zależy od jakości programów na czasy po pandemii. Wspomniane wyniki bazują na pracach naukowców od lat zajmujących się połączeniem wyników edukacyjnych z tym, co się potem dzieje w gospodarce i na rynku pracy. Badacze oszacowali efekty na PKB i płace. Na podstawie tych analiz faktycznie wydaje się, że taki efekt jest wielce prawdopodobny.

Co więcej, z badań psychologii kognitywnej wiemy, że to nie działa tak, że jak nie zrobiłem materiału całej czwartej klasy, to zrobię piątą i to z łatwością nadrobię. Gdy ktoś ma luki we wcześniejszej edukacji, to nowego materiału nie będzie przyswajał w skuteczny sposób – luki edukacyjne ciągną się latami i wpływają negatywnie choćby na motywację do nauki. To pokazuje, że faktycznie po pandemii pozostaną w całym pokoleniu rany na lata! Tym bardziej potrzebny jest przemyślany plan ratunkowy, odpowiadający powadze sytuacji.

A czy to nie jest tak, że ubytek wiedzy będzie miał i tak marginalne znaczenie, bo przy rosnącym bezrobociu – co możemy zakładać po pandemii – wróci rynek pracodawcy, który zapłaci mniej, bo może przebierać w pracownikach? Pamiętamy przecież lata 90., gdy studia nie gwarantowały wcale dobrej płacy...

Odwołanie do lat 90. mogłoby być adekwatne, gdybyśmy po pandemii wracali do „dawnego" życia. Proszę jednak zauważyć, że wraz z pandemią i zamknięciem w sieci niesamowity postęp zrobiła gospodarka cyfrowa. Nastąpiła dynamiczna digitalizacja każdego aspektu naszego życia. Pandemia znacznie przyspieszyła cyfryzację. Te procesy, które normalnie zajęłyby może dekadę, zaszły w ciągu kilku miesięcy. Gospodarka tak mocno się zmieniła, że można się spodziewać, że inne sektory zatrudnienia będą dominowały w kolejnych latach.

Jest możliwość powrotu rynku pracodawcy, ale bezrobocie będzie inne jakościowo niż dotychczasowe. Rynek pracy z dawnych lat, gdy profesorowi opłacało się pracować na taksówce za granicą, raczej już nie wróci. Natomiast zmieni się struktura potrzeb gospodarki i kwalifikacji, które będą wymagane. I na tym też powinniśmy się skupić, myśląc o załataniu luki edukacyjnej i przyszłości gospodarczej po pandemii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

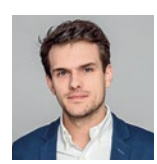

dr Tomasz Gajderowicz
– doktor ekonomii, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, ekspert w zakresie relacji między edukacją a rynkiem pracy, wiceprezes Fundacji Evidence Institute.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Czas prawicy w Europie

Marek Jurek

Na europejskiej scenie politycznej prawica ma szansę na nowe otwarcie. Premier Węgier wykonał pierwszy krok, opuszczając Europejską Partię Ludową. Teraz czas na ruch Kaczyńskiego, bo Polska jest dużym graczem

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Viktora Orbána pierwszy raz słuchałem na żywo wiele lat temu, na Zjeździe Gnieźnieńskim. Mówił o chrześcijańskiej Europie i naiwni mogliby uznać jego przemówienie za naiwne. Dominację chadecji w Parlamencie Europejskim przedstawiał jako szansę na chrześcijańską odnowę Europy. Historyk by się uśmiał, ktoś mógłby powiedzieć. Chrześcijańska demokracja powstawała w opozycji do historycznej konserwatywnej prawicy, zamiast kontrrewolucji – chciała chrześcijaństwo wprowadzić do świata porewolucyjnego. Alcide De Gasperi, lider najsilniejszej chadeckiej partii powojennej Europy, definiował ją jako „ruch centrum idący na lewo". Co więcej, to wszystko nie było teorią, ale utrwaloną przez dziesięciolecia praktyką współpracy z socjalistami. Funkcjonalną alternatywą dla lewicy chadecja bywała tylko tam, gdzie (jak w Niemczech) prawicy nie było. A i tam potrafiła okresowo z lewicą współrządzić…

ORBÁN WYSIADA Z TRAMWAJU

Dla Viktora Orbána chrześcijańska demokracja była jednak czymś w rodzaju sorelowskiego „mitu", ideowego uzasadnienia polityki potrzebnej do budowania węgierskiej polityki europejskiej i bliskich relacji z Niemcami, gdyż CDU, a jeszcze bardziej CSU, odgrywały w polityce Fideszu rolę kluczową. Na forum Europejskiej Partii Ludowej polityka Orbána była w pewien sposób podobna do strategii europejskiej Jana Pawła II. Papież mówił o prawach człowieka, by przeciwstawić się tym, którzy wywiesili je na sztandarach, jednocześnie negując godność natury ludzkiej. Orbán wszedł do EPP, by przypominać chadekom o deklarowanym przez nich chrześcijaństwie, a nie by chwalić ich politykę lub przyjmować chadecką ideologię.

Teraz – gdy ta strategia wyczerpała swoje możliwości, gdy kultura skrajnej lewicy kompletnie skorodowała Europejską Partię Ludową – Fidesz wysiada z chadeckiego tramwaju na ostatnim przystanku, na którym może się jeszcze przesiąść w dobrym kierunku. Bo – jak przypomina Viktor Orbán – cele węgierskiej polityki europejskiej są cały czas te same: cywilizacja chrześcijańska, Europa suwerennych państw, opór wobec imigracjonizmu. Do tej pory obecność Fideszu w EPP uwiarygodniała eurochadecką federację w oczach środkowoeuropejskich konserwatystów, dziś wskazuje im kierunek przeciwny – konieczność wspólnego oporu wobec ideologicznego nacisku na nasze kraje, w której to presji Europejska Partia Ludowa odgrywa istotną i bardzo odczuwalną rolę.

POD JARZMEM IDEOLOGII

Polityka Unii Europejskiej jest dziś całkowicie zdominowana przez ideologię przeciwną zasadom konserwatywnym. Stwierdzenie powyższe należy rozumieć nie tylko dosłownie, lecz także ściśle, z akcentem na sprawczą rolę ideologii. Ideologia bowiem w polityce Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej ma absolutny prymat nad prawem. O ile każda prawicowa krytyka władz UE jest traktowana jako „antyeuropejska", o tyle nawet traktaty europejskie wolno i należy krytykować, jeśli okazują się „niewystarczające" dla poszerzania władzy unijnej. To nie polityka ma wynikać z decyzji prawa, ale prawo ma dostarczać koniecznych instrumentów polityce. W Unii Europejskiej można atakować chroniące zewnętrznych

eprasa.pl 25fbc9c3e1

granic Unii państwa Południa (Węgry, Włochy, Chorwację) właśnie za to, że wykonują zobowiązania europejskie. O ile bowiem schengeńskie otwarcie granic odpowiada unijnej ideologii, o tyle ich ochrona jest tylko „autorytarnym" ozdobnikiem, który należy ignorować, gdy stawia tamę imigracjonistycznej polityce Unii. Parlament Europejski (rzekomo broniący kompetencji Trybunału Konstytucyjnego w Polsce) może wzywać rząd i parlament Bułgarii do ignorowania orzeczenia bułgarskiego Trybunału Konstytucyjnego, który uznał genderową konwencję stambulską za sprzeczną z prawami rodziny. Demokracja „konstytucyjna" ma bowiem otwierać furtki dla ingerencji unijnej w politykę państw, a nie gwarantować ich suwerenność i wartości.

Ten arbitralny, ideologiczny charakter polityki unijnej nie tylko uprawomocnia naruszanie traktatowego prawa, lecz także z jednej strony upoważnia do brutalnych nacisków na kraje Europy Środkowej, do traktowania naszych państw jako „niedojrzałych demokracji", z drugiej – na forum Parlamentu Europejskiego i w debacie europejskiej zaprzecza prawomocności opozycji jako takiej. Kwestionowanie ideologii unijnej jest – przez unijną klasę rządzącą – kwalifikowane jako „antyeuropejski populizm" i traktowane jako działalność w istocie wywrotowa, nieobjęta (nawet gdy wyraża uprawnione stanowisko państw czy wielkich odłamów europejskiej opinii) jakąkolwiek europejską jednością i solidarnością.

Co ciekawe, nie chodzi tu o żadne nieprzezwyciężalne bariery psychologiczne czy ideowe, a jedynie o czysty przymus polityczny. Walka ze „skrajną prawicą" na przykład nie przeszkodziła wprowadzeniu przez Silvio Berlusconiego do Europejskiej Partii Ludowej Sandry Mussolini (jeszcze kilkanaście lat temu „dumnej faszystki", a do końca ostatniej kadencji koleżanki posłanek i posłów z PO w parlamentarnych ławach Europejskiej Partii Ludowej). Czas więc, by te arbitralnie ustawione bariery sforsowała sama prawica.

PRZYJACIELE I PRZECIWNICY

Paradoks współczesnej polityki polega na tym, że politycy bez przerwy sprawdzają sondaże i boją się reakcji opinii publicznej, a jednocześnie nie chcą pracować nad jej korzystną zmianą. Jednak gdy dezerterują z walki o zasady, społeczeństwo – jak zauważa Drew Westen w „Mózgu politycznym" – już „nie słyszy przekonującej kontrnarracji i stopniowo się przesuwa" w stronę przeciwną, bo to tylko strona aktywna zachowuje „wyłączne prawo do sieci, które składają się na opinię publiczną".

Tak właśnie wygląda dziś spór o przyszłość Europy, gdzie monopol na „wartości" i na wyznaczanie kierunku zmian mają zwolennicy wchłaniania suwerenności państw i obalania zasad naszej cywilizacji. Prawica krytykuje ich działania, ale rzadko przeciwstawia im własne, uniwersalne zasady. Niedobrym przykładem takiego podejścia było polskie stanowisko wobec deklaracji rzymskiej z 2017 r., w którym nasz rząd w żaden sposób nie zakwestionował kierunku zmian w Unii, a jedynie domagał się, by zmiany te postępowały w jednolitym, w domyśle wolniejszym, tempie (bez „różnych prędkości").

W życiu politycznym Unii Europejskiej wartości takie jak obowiązek przekazania następnym pokoleniom dziedzic-

eprasa.pl 25fbc9c3e1

twa chrześcijańskiego, wzmacnianie rodziny i jej wychowawczej roli, odpowiedzialność narodowa są praktycznie nieobecne. Mimo że chodzi o zasady ciągle oczywiste dla dziesiątków milionów Europejczyków. Dziś na forum Parlamentu Europejskiego formułują je jeszcze dwie grupy polityczne – Konserwatyści i Reformatorzy (ECR) oraz Tożsamość i Demokracja (ID). Co więcej, dziś są bliżej siebie niż jeszcze kilka lat temu. Do grupy Konserwatystów i Reformatorów po ostatnich wyborach, na miejsce odchodzących po brexicie torysów, zdecydowanie broniących suwerenności Zjednoczonego Królestwa, jednak w wielu kwestiach ulegających liberalnej poprawności, weszły autentycznie prawicowe partie z Włoch (Fratelli d'Italia) i Hiszpanii (Vox).

Tożsamość i Demokracja (ID) to ciągle koalicja zbudowana wokół Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen i włoskiej Ligi Matteo Salviniego. O ile wizerunek Konserwatystów do niedawna poprawiała obecność brytyjskich konserwatystów, o tyle Tożsamość i Demokracja była traktowane jako kolonia trędowatych, wywołująca paniczny lęk u wszystkich, którzy mogliby się do nich zbliżyć. Sam widziałem to z bliska, gdy byłem jedynym posłem ECR, który podpisał wniosek o wotum nieufności dla Jeana-Claude'a Junckera z powodu jego katastrofalnej polityki imigracyjnej. To nie tylko oczywiste, lecz także potrzebne stanowisko spotkało się z bojkotem tylko dlatego, że miała je prezentować Marine Le Pen. A nikt wówczas podobnego nie zgłosił…

GORDYJSKI WĘZEŁ PARTYJNY

Viktor Orbán po wyjściu z EPP zapowiedział rozmowy o zbudowaniu nowej siły politycznej, wspólnie z Prawem i Sprawiedliwością oraz „wielkim przyjacielem Węgier, Matteo Salvinim". Od razu podniosły się sceptyczne głosy na temat wykonalności takiej konstrukcji. PiS związany jest z narodowo-konserwatywnymi Fratelli d'Italia, uważającymi Ligę Salviniego za formację populistyczną, a nawet koniunkturalną, ze względu na udział Ligi w obejmującym lewicę rządzie wielkiej koalicji Mario Draghiego. Giorgia Meloni, liderka Braci Włochów, jest zaś nawet przewodniczącą Przymierza Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do którego Prawo i Sprawiedliwość należy.

Tendencje prawicowe w Europie Zachodniej nie słabną. Włochy mogą mieć prawicowy rząd. Francja – prawicową prezydent

Część polityków Ligi chciałaby wejść do Europejskiej Partii Ludowej i zająć tam dawne miejsce Orbána. To jako wariant, bo Salvini przecież ciągle sprzymierzony jest z ruchem Marine Le Pen i Alternatywą dla Niemiec. Tych parę jedynie włoskich przykładów to obraz raf, które ominąć musi budowanie silnej prawicy na forum europejskim. Oczywiście przykłady te można by dalej mnożyć, ale przecież w polityce – szczególnie na forum Parlamentu Europejskiego, gdzie działają dziesiątki krajowych partii – nawet większe różnice (i to w obrębie grup politycznych) są rzeczą zupełnie naturalną. Polityka z zasady polega przecież, jak uczył Cat-Mackiewicz, na odróżnianiu rzeczy ważnych od mniej ważnych. W poprzedniej kadencji w grupie Konserwatystów i Reformatorów byli również posłowie, którzy głosowali nawet za rezolucjami krytykującymi Polskę, a jednak mieścili się w ogólnych ramach polityki PiS. Trzeba więc patrzeć dalej.

Silnej prawicy na forum Parlamentu Europejskiego nie zbuduje się bez otwartych i bezpośrednich rozmów o połączeniu reprezentacji politycznej obu prawicowych federacji w Parlamencie Europejskim – Konserwatystów i Reformatorów oraz Tożsamości i Demokracji. Razem stanowiłyby jedno z trzech wielkich ugrupowań Parlamentu, o sile całkowicie porównywalnej z EPP i socjalistami. I oczywiście rozwojową alternatywę, ze względu na ogólne tendencje społeczne i jako polityczna propozycja dla innych partii narodowych. Nawet w średnim dystansie, w perspektywie powoływania następnych władz Unii, taka nowa siła byłaby nie do ominięcia, co najmniej jako uprawniona, oficjalna opozycja (której dziś Unii bardzo brakuje). Dlatego właśnie po ostatnich wyborach europejskich postawiłem pytanie:

CZY PIS STANIE NA CZELE EUROPEJSKIEJ PRAWICY?

Często krytykuję PiS, ale przecież to on dziś definiuje stanowisko Rzeczypospolitej i reprezentuje Polskę. A liczba miejsc w Parlamencie, porównywalna z niemiecką CDU-CSU, całkowicie predestynuje Prawo i Sprawiedliwość do znaczącej, znacznie większej niż do tej pory, roli europejskiej.

Żeby zaś węzeł gordyjski przeciąć, trzeba jeszcze Aleksandra. Jarosław Kaczyński, czy dokładniej – Jarosław Aleksander Kaczyński uważał zawsze, że w polityce trzeba mówić drukowanymi literami. Dziś czas wezwać do zjednoczenia obu ugrupowań europejskiej prawicy w Brukseli. Jeśli do tego dojdzie, to będzie to nowy fakt, który będą musiały w swoich analizach, w swojej polityce, uwzględnić poszczególne narodowe partie. A jeśli nawet nie dojdzie do tego od razu – to samo takie wezwanie będzie znaczącym aktem polskiej polityki europejskiej, budującym pozycję Polski, kształtującym opinię europejską. Niczym współpraca Orbán-Salvini, którą do tej pory obaj przywódcy realizowali niezależnie od innych afiliacji europejskich, a na której podniesienie na wyższy poziom najwyraźniej przyszedł już czas.

Połączenie energii prawicowych rządów środkowoeuropejskich i prawicowego ludowego sprzeciwu w zachodniej Europie może zmienić nie tylko debatę, lecz także politykę europejską, w każdym razie wobec Polski. (To zresztą tylko statyczny model. Tendencje prawicowe w zachodniej Europie nie słabną, Włochy mogą mieć wkrótce prawicowy rząd, Francja może mieć prawicową prezydent, a każdy z tych faktów miałby większą wagę niż ideologiczne perory brukselskich mandarynów).

Żeby jednak podjąć ten kierunek, Prawo i Sprawiedliwość musi samo sobie odpowiedzieć na pytanie, jaką politykę chce prowadzić w Europie. I czy w ogóle chce prowadzić politykę europejską, czy chce jedynie kontynuować, w „asertywnej" oprawie, starą „politykę dostosowawczą". Krótko mówiąc, musi się zdecydować, czy nadal chce mówić przywódcom Unii Europejskiej, że „w sprawach wartości nie ma między nami różnic", że „chcemy Polski takiej jak Unia Europejska" – czy jest gotowe w końcu określić, jakiej Polski w jakiej Europie chcemy i co nas różni od tych, którzy nie tylko chcą zdemontować nam państwo, lecz także cywilizację europejską w ogóle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Lewy do prawego

Kamila Baranowska

Dawno w polskiej polityce nie było tak spektakularnego transferu jak ten posłanki Moniki Pawłowskiej, która porzuciła Lewicę na rzecz Zjednoczonej Prawicy

Dziękuję za wspólną pracę i działania w ramach Lewicy. Dzisiaj zaczynamy iść inną drogą, ale mam nadzieję, że wciąż w przyjaźni będziemy pracować na rzecz lepszej Polski dla każdej i każdego. Dziś rozpoczynam współpracę z premierem Jarosławem Gowinem" – ogłosiła na Twitterze Monika Pawłowska, wywołując niemałe zamieszanie po obu stronach politycznej barykady. Po lewej stronie nie kryto oburzenia i gorzkich słów oraz wezwań do złożenia mandatu. Po prawej z kolei satysfakcja z utarcia nosa lewicy mieszała się z niesmakiem, spowodowanym pamięcią o poglądach posłanki, zwłaszcza tych dotyczących spraw fundamentalnych.

Co prawda Monika Pawłowska wraz z poinformowaniem o swoim transferze wyrzuciła ze zdjęć profilowych w mediach społecznościowych błyskawice, czyli swój wyraz poparcia dla Strajku Kobiet, ale Internet natychmiast zalała fala jej zdjęć z protestów, a także licznych wpisów wspierających walkę o liberalizację przepisów aborcyjnych.

Dlatego nie dziwią reakcje tych polityków prawicy, którzy w mniej oficjalnych rozmowach przyznają, że takie transfery to proszenie się o kłopoty w przyszłości i narażanie na szwank własnej wiarygodności. Kiedy jednak większość rządowa jest niepewna, to liczy się każda nowa szabla. Dlatego choć pomruki niezadowolenia w szeregach PiS w sprawie nowego nabytku koalicjanta będą się co jakiś czas pojawiać, to generalnie kierownictwo partii rządzącej wydaje się być z transferu zadowolone.

BĘDĄ NASTĘPNI?

– To przemyślana decyzja, poprzedzona wieloma rozmowami. Cieszę się, że grono osób uprawiających politykę bez ideologicznego zacietrzewienia i zawziętości poszerza się o Panią Poseł. Zdziałamy razem wiele dobrych rzeczy! – takimi słowami powitał Monikę Pawłowską szef Porozumienia Jarosław Gowin.

To on na razie jest głównym wygranym tego transferu. Po pierwsze, pokazał Jarosławowi Kaczyńskiemu, że ma w ręku atut, którego nie ma PiS – jest bardziej akceptowalny dla potencjalnych dezerterów z opozycji. Jeśli koalicja rządząca chce łowić posłów czy senatorów w jej szeregach, to szybciej uda się to gowinowcom niż PiS-owcom. Po drugie, Gowin przytarł nieco nosa Adamowi Bielanowi, który kwestionuje jego przywództwo w partii (aktualnie sprawa trafiła do rozstrzygnięcia sądu, który cofnął wniosek Bielana o wygaszenie kadencji Gowina jako prezesa partii, Bielan zapowiedział złożenie zażalenia na tę decyzję). Dzięki transferowi pokazał Kaczyńskiemu, kto ma więcej do zaoferowania. Zwłaszcza że Porozumienie nie powiedziało jeszcze ostatniego słowa. Przynajmniej tak wynika z wypowiedzi posłów ugrupowania.

– Część nerwowych polityków i publicystów musimy zmartwić, ostatniego słowa nie powiedzieliśmy – zapowiedział Jan Strzeżek, wicerzecznik Porozumienia Jarosława Gowina.

Zresztą o kolejnych transferach mówiła też w „Rzeczpospolitej" Monika Pawłowska. – Wiem też, że kilku innych posłów patrzy na Porozumienie z nadzieją i zainteresowaniem. Mogę im powiedzieć: Odwagi! – zaapelowała.

W CO GRA GOWIN?

Od czasu, gdy Jarosław Gowin podpadł Kaczyńskiemu, nie godząc się na to, by wybory prezydenckie odbyły się w maju ubiegłego roku, wszyscy sądzili, że jego dni w koalicji rządzącej są policzone.

Chwilę później zaczęły pojawiać się plotki o jego rozmowach z opozycją i możliwym przyłączeniu się do niej. Niektórzy zwolennicy opozycji wiązali z tym scenariuszem sporo nadziei i naprawdę w niego uwierzyli. Tym większe musi być dzisiaj ich rozczarowanie. Choć w samym PiS nadal żywe są głosy, że Gowinowi ufać nie wolno i że gdy tylko PiS zacznie dołować w sondażach, Gowin wejdzie w taktyczny sojusz z opozycją, a w najlepszym wypadku zacznie knuć z PSL i Hołownią.

Na razie jednak nic nie wskazuje na to, by Gowin chciał z koalicji wychodzić, bo zwyczajnie mu się to nie kalkuluje. Podobnie jak Kaczyńskiemu nie kalkuluje się pozbywanie się Gowina. Zwłaszcza gdy ten wprowadza do koalicji nowych posłów. A z każdym kolejnym transferem do Porozumienia Gowin będzie zyskiwał mocny argument w rozmowach

eprasa.pl 25fbc9c3e1

koalicyjnych i negocjacjach z prezesem PiS. Gowin pozycjonuje się dziś jako ten z koalicjantów, który – w przeciwieństwie do Zbigniewa Ziobry i Solidarnej Polski – zamiast kłopotów przynosi PiS zyski.

– Trudno mi wyciągać wnioski, o czym ten ruch mógłby świadczyć. Na pewno o daleko posuniętej skuteczności Jarosława Gowina w polityce – tak ten ruch skomentował w Polsat News poseł PiS Marcin Horała. I o taki właśnie odbiór tego, co się wydarzyło, od początku chodziło Gowinowi.

Co ciekawe, podobnie na to patrzą także niektórzy po drugiej stronie politycznej barykady. Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej" pisze o tym, jak niewiele wspólnego z rzeczywistością miały dalekosiężne plany odbicia Gowina rządowi, podczas gdy okazało się, że to on podbiera posłów opozycji. „Komentatorzy ekscytowali się pęknięciami w obozie rządzącym, politycy opozycji snuli scenariusze, w których Kaczyński już za chwilę straci większość, a Gowin przeżywa demokratyczne nawrócenie i wspólnie z Budką, Kosiniakiem-Kamyszem, Zandbergiem i Bosakiem tworzy rząd techniczny, który odbiera Jackowi Kurskiemu TVP, i przygotowuje nowe wybory. Tymczasem na razie liczba sejmowych szabel Zjednoczonej Prawicy – zamiast spadać – rośnie. Pawłowska co prawda nie wstępuje do Klubu Parlamentarnego PiS, a Bielanowska część Porozumienia kontestuje jej transfer, ale ostatecznie wzmacnia ona sejmową większość Kaczyńskiego" – pisze Majmurek.

A POGLĄDY?

Sama Monika Pawłowska, wiedząc, co ją spotka po ogłoszeniu sensacyjnego transferu, postanowiła obudować go wywiadem w „Rzeczpospolitej", gdzie próbowała wytłumaczyć, dlaczego zdecydowała się na taki ruch. Zarzuca tam Lewicy, że straciła całą wrażliwość społeczną, skupiając się na sprawach światopoglądowych. – Przed laty łączyła nas społeczna wrażliwość. Przekonanie, żeby robić coś konkretnego dla ludzi. Niestety dzisiejsza Lewica niemal wyłącznie stawia na sprawy światopoglądowe. To nie jest moja droga, nie po to wchodziłam do polityki. Każdy poseł powinien mieć cywilną odwagę postąpić zgodnie z własnym sumieniem. Ja w tym momencie to robię – powiedziała.

Brzmi to mało przekonująco w ustach polityk, która sama do niedawna

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Przejście Moniki Pawłowskiej do Porozumienia wywołało niemałe zamieszanie po obu stronach politycznej barykady FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

świetnie się w tych sporach odnajdowała, a partię lewicową zamieniła na wolnorynkową. Jeszcze niedawno Monika Pawłowska publikowała zdjęcia w koszulce z napisem: „Legalna aborcja", chciała legalnej aborcji do 12. tygodnia ciąży, opowiadała się za opodatkowaniem Kościoła, wycofaniem finansowania lekcji religii z budżetu oraz za związkami partnerskimi. – To wy stoicie za cywilizacją śmierci. Zmuszacie kobiety do wyjścia na ulice, narażacie je na zakażenie. Jak można skazywać kobietę na taki heroizm? Jak można skazywać kobietę na dziewięć miesięcy ciąży, gdzie dziecko urodzi się martwe lub przeżyje kilka godzin? – zwracała się do PiS w czasie jesiennych protestów. Tego typu wypowiedzi jest pełno i będą jej wypominane przy każdej możliwej okazji. Pawłowska twierdzi, że poglądów na kwestię aborcji nie zmieniła. – Zgadzam się jednak z premierem Gowinem, że obecnie tylko referendum może uspokoić rozpalone po obu stronach emocje. I ja uszanuję wolę obywateli wyrażoną w głosowaniu powszechnym, nawet jeżeli prywatnie miałabym inne zdanie – stwierdziła.

Politycy Porozumienia widzą to trochę inaczej. – Zadeklarowała, że się podpisuje pod programem Porozumienia. My nie zmieniamy zdania w sprawie aborcji, ale też nie łamiemy sumień – podkreślał Jan Strzeżek, wicerzecznik Porozumienia, dziennikarzom w Sejmie. – Chciała dobrej współpracy z samorządami, działania na rzecz przedsiębiorców i rozwijania polskiej gospodarki. Ma wolnościowe spojrzenie na gospodarkę i niewątpliwie ma „DNA" Porozumienia Jarosława Gowina i stąd jej decyzja o przejściu do nas – tłumaczył z kolei w rozmowie z DoRzeczy.pl.

ŻOŁNIERZE I MIESZKANIA

Przy tej okazji Pawłowska odkryła jeszcze, że z prawicą łączy ją spojrzenie na sprawy historyczne. – Skrajności niczego nie budują. Wyłącznie niszczą, nawet jeżeli deklaracje są szlachetne. Podam prosty przykład – niestety trudny do pojęcia dla tych, którzy myślą ideologicznie. Od lat – również jako posłanka Lewicy – uczestniczyłam w uroczystościach poświęconych tzw. żołnierzom wyklętym. Bo wielu było bohaterami. Jednocześnie brałam też udział w uroczystościach ku czci ofiar niektórych żołnierzy wyklętych. Bo byli i tacy, którzy dopuścili się zbrodni na niewinnych. Dlaczego te dwie rzeczy mają się wykluczać? – pyta retorycznie.

Na inny ciekawy aspekt tego zaskakującego transferu zwrócił uwagę Bartosz Brzyski z Klubu Jagiellońskiego w swojej analizie poświęconej polityce mieszkaniowej, opublikowanym w „Plusie Minusie", dodatku do „Rzeczpospolitej". „Jako czołowy argument na rzecz zmiany partyjnych barw była koordynatorka Wiosny Roberta Biedronia wskazała program mieszkaniowy oparty na SIM, czyli społecznych inicjatywach mieszkaniowych, jeden z flagowych projektów wicepremiera Jarosława Gowina. Polityka mieszkaniowa może być tym miejscem, w którym po raz kolejny linia podziału między lewicą a prawicą okaże się nadspodziewanie płynna" – czytamy.

Nawet jeśli powody przejścia Pawłowskiej były motywowane w dużej mierze sprawami programowymi, to i tak pozostanie to raczej bez znaczenia w całej dyskusji. Jej transfer wzbudził i jeszcze długo będzie budził zbyt duże emocje, zwłaszcza po lewej stronie.

– Dla jednych ważne są honor i poglądy, dla innych pieniądze i stanowiska. W Lewicy potrzebujemy tylko tych pierwszych. 12 916 oszukanych wyborców, wstyd" – komentował na gorąco utratę posła lider Wiosny Robert Biedroń. – Będąc w szeregach Lewicy, broniła prawa do aborcji, prawa osób LGBT czy wypowiadała się w obronie wolnych sądów. A teraz co? Będzie mówić, że aborcja to morderstwo, geje to nie ludzie, a sędziowie to kasta? – nie krył irytacji w rozmowie z Interią. I trudno mu się dziwić, bo odejście Pawłowskiej, która była wiceszefową klubu i jedną z twarzy ugrupowania, to jego osobista porażka. Dziś Pawłowska mówi w wywiadach, że to „premier Gowin jest politykiem skutecznym i prawym człowiekiem". – Kto zablokował wybory kopertowe? Kto storpedował bezsensowne weto, które w czasie kryzysu pozbawiłoby Polskę miliardów euro? Kto sprzeciwił się podatkowi od mediów? Odpowiedzi na te pytania też stoją za moją decyzją – deklaruje.

Zapewnia też, że do zmiany barw partyjnych nie została przekonana propozycją objęcia posady w rządzie czy państwowej spółce, co wielokrotnie jej zarzucano. – Jestem w polityce dla ludzi, nie dla stanowisk – podkreśla.

Czy rzeczywiście tak jest, pewnie niebawem się przekonamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Opozycja nie umie wykorzystać trudnej sytuacji rządu podczas pandemii. Na zdjęciu podczas konferencji (od lewej): szef PO Borys Budka, marszałek Senatu Tomasz Grodzki i poseł Jan Grabiec FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Mity liberalnej lewicy

Rafał A. Ziemkiewicz

Liberałowie wierzą, że wystarczy kogoś stawiać pod moralnym pręgierzem, by wahadło władzy bujnęło się na drugą stronę. To dlatego opozycja nie potrafi skorzystać z pandemicznego kryzysu

Komentatorowi politycznemu łezka kręci się w oku, gdy przypomni sobie czasy „Konwentu św. Katarzyny". Ileż to używania miały wtedy środowiska lewicowo-liberalne, szydząc z nieudolności i ze skłócenia centroprawicy! A przecież w porównaniu z dzisiejszą opozycją, lewicowo-liberalną, ówczesna centroprawica wydawać się może wzorem sprawności.

Trudno sobie wyobrazić sytuację bardziej sprzyjającą opozycji niż obecna. Kolejna fala zachorowań i lockdownów wystawia cierpliwość Polaków na cięższą próbę niż poprzednie – choćby dlatego, że we wrześniu obecny minister zdrowia zapewniał, iż jesteśmy już bezpieczni (a i wcześniej, w czasie wakacji, władza ogłaszała to samo już po pierwszej fali). Słusznie czy nie, społeczeństwo nie widzi w lockdownach sensu ani logiki, nie chce przestrzegać obostrzeń, a pohukiwanie na ludzi, że to wszystko wina ich nieodpowiedzialności, tylko pogłębia irytację. Coraz słabiej też działa argument: zobaczcie na inne kraje, nikt sobie z tym nie radzi. Po raz pierwszy odsetek niezadowolonych z działań rządu w tej sprawie przerósł odsetek zadowolonych, i to w badaniach CBOS, gdzie z racji odmiennej metodologii wyniki zwykle bardziej sprzyjają rządzącym niż w innych pracowniach.

WIĘŹNIOWIE WŁASNYCH MYŚLI

Rewolucje jednak nie wybuchają wtedy, gdy ludziom jest źle, tylko wtedy, gdy ktoś ich przekona, że wie, co zrobić, żeby było lepiej. Na kłopoty rządu opozycja potrafiła zareagować tylko wygłoszeniem garści banałów z gatunku „nie może tak być, że…". W dodatku do ich wygłoszenia zatrudniła Bartosza Arłukowicza, który kiedyś, jako działacz SLD, nie pozostawiał suchej nitki na polityce zdrowotnej PO i ówczesnej minister Ewie Kopacz, a potem dał się kupić za stołek i zająwszy miejsce po Kopacz, gorliwie jej politykę kontynuował. Nawet wśród starej kadry PO można by znaleźć kogoś bardziej wiarygodnego.

Dlaczego kwestia, która najbardziej organizuje dziś społeczne emocje, w myśleniu opozycji wydaje się nie istnieć? Podobnie jak ekonomiczne i społeczne skutki epidemii – bo trudno uważać za poważną politykę rzucane od czasu do czasu frazesy, że „rząd sobie nie radzi". Ponieważ liberalna lewica pozostaje więźniem kilku politycznych mitów, które stworzyła w reakcji – emocjonalnej, nie rozumowej – na utratę władzy w roku 2015. I nic, co się od tego czasu zdarzyło, nie zdołało liderom szeroko

eprasa.pl 25fbc9c3e1

rozumianego obozu anty-PiS wybić tych mitów z głów.

Mit pierwszy to niezłomna wiara, że PiS wygrywa przez przypadek, przez rozproszenie głosów anty-PiS, bo tak naprawdę nie ma za sobą większości społeczeństwa. Konsekwencją jest przekonanie, że nie trzeba odbierać obecnej władzy wyborców, przekonywać ich do siebie – wystarczy hasłem: „Precz z PiS" zmobilizować tych „swoich" i dać im jedną, antypisowską listę.

Wiara ta – podzielana w „żelaznym elektoracie", bo pozwala mu zachować dobre samopoczucie – każe wytracać energię na projektowanie kolejnych form zjednoczenia wokół hasła: „Odsunąć PiS od władzy". A to jest przeciwskuteczne, bo wyborcy nie są zainteresowani zmianą władzy dla samej zmiany władzy. Są zainteresowani zmianą władzy na lepszą. Zbieranie do kupy środowisk, których poza chęcią odepchnięcia PiS od steru nie łączy nic i w żadnej sprawie poza tą jedną – maskowaną głuchymi dla większości wyborców frazesami o „przywracaniu demokracji" – nie są w stanie przemawiać jednym głosem, daje ten efekt, że jedyną alternatywą dla PiS wydaje się chaos i skłócenie.

Wyśmiewana przed laty centroprawica, poddana analogicznej presji ze strony swojego, patriotyczno-katolickiego elektoratu, potrafiła przynajmniej stworzyć pozory. Stworzyć wspólne forum, właśnie wspomniany „konwent", ogłaszać „integracyjne" inicjatywy różnych prawicowych „porozumień" i przymierzy", czwórek, piątek i jedenastek – kto znał to od kuchni, wiedział, że to wszystko pic i zasłona, za którą każdy z prawicowych liderów czeka na odpowiedni moment, by wszystkich innych wysłać w niebyt i pożreć ich partie (co ostatecznie udało się Jarosławowi Kaczyńskiemu, choć chwilę wcześniej wydawało się już, że to on właśnie został trwale z polityki wyrzucony). Obecna opozycja nie umie nawet udawać.

Ogłoszenie przez liderów PO „koalicji 276" bez żadnej wcześniejszej konsultacji z mającymi ją współtworzyć partnerami po to, by natychmiast się oni od tej „wielkiej koalicji" odcięli, było majstersztykiem politycznego strzału we własną stopę. Tym bardziej że warunkiem sukcesu takiej koalicji byłoby przeciągnięcie do niej posłów obozu rządzącego. Pomysł sam w sobie wątpliwy, bo wyborcy takich manewrów nie akceptują, czego dowodem sposób, w jaki zakończył polityczną karierę Marian Krzaklewski, który na mocy gabinetowego „dealu" dostał „jedynkę" na liście PO, a i tak się nie dostał do europarlamentu, bo jej wyborcy stawiali w tej sytuacji krzyżyk przy „dwójce". A tu na dodatek, zamiast najpierw, w poufnych rozmowach, skusić posłów Zjednoczonej Prawicy jakimiś korzyściami, Budka z Trzaskowskim zaczęli od wystąpienia publicznie z moralnym szantażem: jeśli nie przejdziecie do nas, na „jasną stronę mocy", to będziecie świnie! Nic dziwnego, że skutek był odwrotny: to partia tak stawianego pod ścianą Gowina wzbogaciła się o byłą wiceprzewodniczącą klubu Lewicy, która najwyraźniej uznała, że trzymanie się nieudaczników jest zwykłym marnowaniem życia.

UTRWALONE DELEGITYMIZOWANIE

Lewicowo-liberalne elity uwierzyły w założycielski mit tego, co pozwoliłem sobie nazwać „michnikowszczyzną": że to nie strajki „roboli" obaliły PRL (trzeba było im to odebrać, skoro mieli stać się głównymi ofiarami „transformacji ustrojowej"), ale „odmowa, niezgoda i upór" inteligencji, czyli ich. I nie tylko nadal widzą w sobie zbiorowego depozytariusza i arbitra „przyzwoitości", lecz także sądzą, że tak też postrzega ich społeczeństwo. Stąd zachowania obliczone na piętnowanie, delegitymizowanie i stawianie pod pręgierzem „kolaborantów", czyli każdego, kto nie podporządkowuje się histerii antypisu. Inteligenckie pretensje opozycji nigdy oczywiście nie przeszkadzały jej w sięganiu po wulgarne bluzgi, tak jak pokazał to entuzjazm dla Marty Lempart czy, ostatnio, kreowanie na bohatera literata Jakuba Żulczyka. Agresja ta nabiera już jednak cech samobójczych. Bo kiedy na człowieka tak przez Polaków kochanego jak Robert Lewandowski za przyjęcie odznaczenia (każdy przyzna, że zasłużonego) z rąk prezydenta, naskakują panie Środa, Gretkowska czy Jachira, z prymitywnymi obelgami: „Odbijanie głową piłki widać mu uszkodziło mózg", to trudno o lepszy prezent opozycji dla formacji rządzącej.

Być może ta właśnie samoidentyfikacja – „my" to inteligenci, elity, w przeciwieństwie do PiS-owskiej „hołoty" – wpuściła opozycję w ślepą ulicę, którą jest założenie, że walka o władzę rozgrywa się w sferze „dystrybucji szacunku", a szacunek zależy od spełniania kryteriów moralnych. Stąd opozycja nie skupia się na tym, że PiS źle rządzi, a tym bardziej na tym, iż ona umiałaby rządzić lepiej – skupia się na wykazaniu, że PiS na władzę „nie zasługuje". Faktycznym skutkiem sześcioletnich wysiłków idących w tym kierunku jest całkowite pozbawienie sensu słowa „afera". Zostało ono już tyle razy powtórzone, w tak nieadekwatnych okolicznościach, że obecnie nawet odkrycie jakichś prawdziwych nadużyć kogoś z obozu władzy nie dałoby skutku poza lewicowo-liberalną „bańką" i tak dyszącą nienawiścią do PiS. Warte odnotowania jest jednak, że broń moralnej delegitymizacji jest też już stosowana w walce wewnątrz obozu anty-PiS. Przykładem awantura między posłankami Kamilą Gasiuk-Pihowicz i Anną Marią Żukowską, w której ta pierwsza oskarżyła Lewicę, że chce głosować za unijnym Funduszem Odbudowy, bo PiS obiecał działaczom intratne stanowiska.

Ta awantura zapowiada większą wojenkę. Oprócz powyższych, Salon wyznaje też mit determinizmu, „co na Zachodzie, to za czas jakiś i u nas", z którego wyciąga wniosek, że tak czy owak ostateczne zwycięstwo należy do obyczajowej lewicy. Politycy dodają do tego żywy od dziesięcioleci mit „politycznego wahadła", zgodnie z którym po rządach prawicy wyborcy muszą pożądać rządów lewicowych. Kierując się tym, PO podjęła strategiczną decyzję: chce do następnych wyborów stać się partią aborcji, LGBT i „osób z macicami".

Możliwe, że na decyzję tę wpłynął też przykład z Zachodu, gdzie bratnie, „chadeckie" czy też „ludowe" partie z międzynarodówki EPP jedna po drugiej tracą popularność na rzecz partii lewicowych. Tak czy owak zrealizować swój cel może PO tylko po trupie Lewicy, ta zaś zapewne nie zechce dobrowolnie podzielić losu Nowoczesnej. Przy całej retoryce „o potrzebie jedności obozu demokratycznego" wojna w nim staje się więc nieunikniona. Zabawne jest obserwowanie niezdecydowania Szymona Hołowni, którego serce kusi, by również włączyć się do walki o wyborców lewicowych, ale rozsądek podpowiada, by zawalczyć raczej o elektorat centrowy osieracany przez PO i nieudolnie kierowane PSL. Na razie nie może się zdecydować i wysyła, zależnie od dnia, sprzeczne sygnały.

Obóz lewicowo-liberalny, poza Hołownią, wydaje się zgodny tylko w jednym: nie chce przyśpieszenia wyborów. Musi najpierw pozałatwiać sprawy między sobą. I to daje władzy nadzieję na przejście przez obecne problemy w miarę sucha stopą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV/ITAR-TASS/PAP

Z prof. Romualdem Szeremietiewem, byłym ministrem obrony narodowej
rozmawia Maciej Pieczyński

Potrzebna nam obrona terytorialna, ale inna

MACIEJ PIECZYŃSKI: Gdyby wybuchła wojna, Rosjanie w cztery dni doszliby do Warszawy, a polska armia praktycznie przestałaby istnieć. Taka prognoza wynika z niedawno przeprowadzonej symulacji w ramach ćwiczeń sztabowych Zima-20...

PROF. ROMUALD SZEREMIETIEW: A skąd ma pan takie informacje?

Z przekazów medialnych. Oficjalnie MON sprawy nie komentuje, bo przebieg ćwiczeń i płynące z nich wnioski to informacje niejawne. Nie wierzy pan w tak pesymistyczne wyniki symulacji?

To nie jest kwestia wiary. Pewności do przekazu mediów oczywiście mieć nie możemy, ale taki przebieg ewentualnej

eprasa.pl 25fbc9c3e1

wojny z Rosją jest według mnie prawdopodobny. Kiedy Rosja rozpętała wojnę na Kaukazie i Polska zaczęła bardzo silnie naciskać, aby w NATO opracowano tzw. plany ewentualnościowe działań sojuszu w razie zagrożenia bezpieczeństwa, wtedy okazało się, że pomoc wojsk sojuszniczych może być problematyczna. Kierujący agencją Stratfor prof. Friedman w jednym z wywiadów powiedział, że pomoc wojskowa może dotrzeć do polski po trzech miesiącach. Mamy dziś flankę wschodnią NATO i są wojska USA, m.in. na terytorium Polski, ale są to przecież siły niewielkie. Rosja ma nad nami przewagę militarną. Nieustannie wzmacnia siły na kierunku zachodnim, w rejonie Smoleńszczyzny rozlokowana została odbudowana silna 1. Armia Pancerna Gwardii. Wojska rosyjskie nie tylko są liczniejsze i mają więcej rakiet, samolotów, czołgów niż stacjonujące na flance wschodniej siły NATO, lecz także cały czas ćwiczą, odbywają nieustanne wielotysięczne manewry. Żołnierze rosyjscy utrzymują stale sprawność bojową, a dowódcy mają spore doświadczenie wojenne zdobywane w konfliktach, w których mniej lub bardziej bezpośrednio uczestniczy Federacja Rosyjska. Pozwolę sobie na ponury żart oddający nasze położenie militarne: w 1939 r. mieliśmy 30 dywizji, broniliśmy się przez 30 dni, obecnie mamy trzy dywizje (czwartą odtwarzamy), więc wytrzymamy trzy–cztery dni…

Jak podają media, w symulacji uwzględniono zamówione przez Polskę nowe systemy uzbrojenia: zestawy przeciwlotnicze Patriot, artylerię rakietową HIMARS i wielozadaniowe samoloty F-35. A jednak przegraliśmy z kretesem. To po co nam ten drogi sprzęt? Po co się zbroić?

O naszym bezpieczeństwie nie decyduje ilość posiadanego uzbrojenia. Rzecz w tym, aby znaleźć taki sposób obrony kraju, by potencjalny agresor doszedł do wniosku, że nie będzie w stanie Polski podporządkować i skutecznie okupować. A co za tym idzie – aby zrezygnował z agresji. Trzeba sprawić, aby była na zewnątrz widoczna wola oporu w społeczeństwie, aby była ona powszechna.

Czyli trzeba rozwinąć obronę terytorialną?

Tak. Chodzi o zdolność do działań nazwanych asymetrycznymi. Tego typu działania spowodowały, że nawet Rosjanie musieli skapitulować i wycofać się z Afganistanu. Niestety, kiedy podnoszę ten argument, zaraz rozlega się krzyk, że chcę, aby Polacy prowadzili wyniszczające nas działania partyzanckie…

Pojawia się zarzut, że Wojska Obrony Terytorialnej to niewykwalifikowane mięso armatnie, nieprzygotowane do nowoczesnej wojny, że nadaje się do walki z epidemią, ale już niekoniecznie z przeciwnikiem ze Wschodu…

Tymczasem chodzi właśnie o to, by żadnej wojny partyzanckiej nie trzeba było prowadzić. Jeżeli przygotujemy terytorium kraju do obrony, jeśli żołnierze WOT w każdym miejscu i w każdym momencie będą gotowi podjąć działania nieregularne, to nieprzyjaciel, wiedząc o tym, będzie wiedział również, że musi użyć ogromnych sił, aby ten opór spacyfikować. Polsce zapewne długo nie uda się uzyskać przewagi militarnej nad Rosją. Dlatego wskazuję na działania nieregularne. W starciu armii regularnych (wojska operacyjne) zwycięstwo zapewnia trzykrotna przewaga, trzy dywizje na ogół rozbiją jedną. Ale już w przypadku działań asymetrycznych, żeby okupować teren i uniemożliwić opór, trzeba mieć 20-krotną przewagę – żeby jeden „partyzant" nie mógł nic zrobić, musi go pilnować 20 okupantów. Tak więc przygotowanie przez Polskę 500 tys. do działań asymetrycznych oznacza, że agresor powinien dla sparaliżowania takiego oporu zgromadzić 10-milionowe siły okupacyjne. Trudno sobie wyobrazić, aby nawet Rosja miała taką zdolność.

No to chyba jesteśmy na to gotowi. Mamy Wojska Obrony Terytorialnej. Czy to oznacza, że agresja już nam nie grozi, bo Putin przestraszy się naszych partyzantów?

Nie jesteśmy gotowi. Obecne wojska WOT nie są formacją stanowiącą główne ogniwo naszego systemu obrony, tak naprawdę to tylko formacja pomocnicza na potrzeby wojsk operacyjnych, tego „prawdziwego" wojska uzbrojonego w czołgi, samoloty. WOT nie może więc spełnić wskazanej przeze mnie funkcji odstraszającej. Wojska WOT trzeba budować inaczej, od dołu i dużo szerzej, to musi być struktura zakorzeniona w społeczeństwie, już na poziomie gminy, powiatu, tworzona z mieszkających tam ludzi. Dobrym przykładem jest system obronny Szwajcarii, sformowany zresztą na podstawie doświadczeń polskiego powstania styczniowego z 1863 r.

Ale powstanie styczniowe zakończyło się klęską. To chyba nie jest najlepszy wzór zwycięskiej walki z armią rosyjską.

Powstanie styczniowe pokazało Szwajcarom, że z największym zaangażowaniem broni się własnego domu i do tego trzeba ludzi przygotować i uzbroić, takie wyciągnęli wnioski. W początkowym okresie drugiej wojny światowej Hitler zamierzał zająć Szwajcarię, jego sztabowcy stwierdzili, że trzeba będzie użyć 50 dywizji i liczyć się z ogromnymi stratami. Hitler zrezygnował. Musimy pokazać Moskalom, że mamy takie właśnie zdolności obronne i oni też powinni zrezygnować. Nasza deklaracja prowadzenia obrony asymetrycznej będzie wiarygodna, musi odstraszać, bo przecież Polacy mają opinię zdolnych na wszystko szaleńców.

Z ostatnim zdaniem zgoda – nawet Stalin wiedział, że uczynienie z Polski republiki sowieckiej może go zbyt drogo kosztować, dlatego pozostawił nam fasadową „niepodległość".

Właśnie, Wanda Wasilewska proponowała włączenie Polski do Sojuza, a Stalin odpowiedział: „Wanda, nikt nie wnosi do domu gniazda os"… Niestety, u nas cały czas panuje przekonanie, że trzeba kupować drogi sprzęt wojskowy od Amerykanów, bo tylko wtedy będziemy mieli z nimi dobre stosunki i oni w razie czego przyjdą z pomocą. A doświadczenie historii mówi, że pomoc sojusznika nigdy nie jest pewna.

Te zakupy sprzętu nie odstraszą Rosjan?

Nie wygramy wyścigu zbrojeń z Rosją. Będzie mieć więcej uzbrojenia od nas. Dlatego ważny jest nasz sposób na obronę i do tego dopiero dobrana broń. Wśród środków obrony najważniejsze jest przygotowanie społeczeństwa tak, aby chciało i było w stanie stawić opór. Po opracowaniu odpowiedniej strategii obronności może się okazać, że niekoniecznie musimy inwestować w F-35 – może potrzebujemy uzbrojenia, które w całości można wyprodukować w kraju.

Zakup F-35 efektowniej wygląda, łatwiej to sprzedać w mediach jako wielki sukces.

W latach 30. sprzymierzona z nami Francja oczekiwała, że Polska będzie zdolna do działań ofensywnych, mieliśmy wspólnie pilnować, aby Niemcy przestrzegały postanowień traktatu pokojowego z 1919 r. Stworzyliśmy taką armię, kupiliśmy np. moździerze

eprasa.pl 25fbc9c3e1

dużego kalibru do burzenia niemieckich fortyfikacji w Prusach Wschodnich – mieliśmy tam atakować. We wrześniu 1939 r. Francja nie wsparła nas, w obronie te moździerze okazały się nieprzydatne. Nie chodzi więc o to, by kupować drogą, zaawansowaną technologicznie broń, tylko o to, aby ta broń była dostosowana do naszych potrzeb i warunków.

No właśnie, wydaje się, że kupujemy głównie sprzęt ofensywny. Szykujemy się tymczasem do obrony. Co więc poza działaniami asymetrycznymi jest pańskim zdaniem kluczowe – artyleria?

Artyleria jest bardzo potrzebna. Dlatego, będąc w MON, forsowałem zakup licencji i uruchomienie produkcji armatohaubicy Krab. W 2001 r. mieliśmy pierwsze dwa prototypy, działo okazało się bardzo udane. Wtedy fałszywie mnie oskarżono, usunięto z MON i... zablokowano uzbrajanie w Kraby. Na szczęście w 2015 r. Zjednoczona Prawica wygrała wybory i Kraby zaczęto wprowadzać do wojska. Zdecydowanie artylerię trzeba rozbudowywać.

Ale czy w ogóle wyobraża pan sobie, by doszło do militarnej agresji Rosji na Polskę?

Rosja w swojej historii bardzo rzadko podejmowała ofensywne operacje militarne. Owszem, Kreml często używa siły zbrojnej, ale tylko wówczas, kiedy jest absolutnie pewien sukcesu. Zanim wkroczy gdzieś wojskowo, najpierw stara się zdezorganizować, zdemoralizować społeczeństwo w tym kraju. Taka jest metoda postępowania Rosji od czasów Iwana Groźnego do dziś. Obecnie mamy działania nazywane wojną hybrydową, ale to cały czas ta sama metoda, tylko z innymi narzędziami, w cyberprzestrzeni.

W Polsce nie ma jednak wpływowych sił prorosyjskich. Jesteśmy impregnowani na agenturę wpływu. „Ruski agent" to najgorsza obelga w języku polskiej debaty. „Zielone ludziki" nie miałyby u nas racji bytu...

Być może, dlatego Rosja najpewniej do pacyfikowania Polski użyłaby Niemiec.

Jak to?

Rosja dąży do utworzenia eurazjatyckiej wspólnoty geopolitycznej „od Lizbony do Władywostoku". To taka współczesna odmiana rosyjskiego władztwa imperialnego.

Dla Rosji zawsze najważniejsze były Ukraina i Białoruś. Bez panowania w Kijowie i Mińsku Moskwa nie może być mocarstwem. Polska nie jest tu niezbędnym elementem układanki.

Jednak w Rosji panuje pogląd, że imperium rosyjskie może powstać wtedy, gdy Warszawa jest pod panowaniem Rosjan. Ale może być i tak, że pieczę nad Polakami będą sprawować zaprzyjaźnione z Rosją Niemcy, jeśli zechcą uczestniczyć w rosyjskim projekcie eurazjatyckim.

To o wiele łatwiejszy do realizacji scenariusz. Opcja proniemiecka jest u nas o wiele bardziej popularna niż opcja prorosyjska.

Właśnie, ciągle przecież słyszymy, jak publicyści „z prawej strony" przekonują, że w 1939 r. trzeba było pójść z Hitlerem. Byłoby więc powtórzenie paktu Ribbentrop-Mołotow, tylko w wariancie, gdy Polska nie stawia oporu. Uzależnienia Polski od Niemiec chce przecież polska opozycja, wystarczy, że wygra wybory, no i skoro jesteśmy razem w UE.

Czyli agresja rosyjska i tak jest bardzo odległą perspektywą. Zresztą Rosja z trudem okupuje kawałek Ukrainy, a co dopiero mówić o inwazji na Polskę...

Na Ukrainie Putin popełnił błąd. Myślał, że jeśli anektuje Krym, to reszta się posypie. Okazało się jednak, że Ukraina nie jest państwem upadłym, a rosyjska agresja tylko wywołała antyrosyjską kontrakcję. Więcej Putin osiągnąłby, pozostawiając mniejszość rosyjską w granicach Ukrainy i za jej pomocą rozsadzając kraj od środka, ale mu się spieszyło.

Wróćmy do ćwiczeń Zima-20. Ciekawe są rosyjskie reakcje na wieść o wynikach symulacji. W prokremlowskich mediach ze świecą było szukać triumfalnych głosów. Sugerowano, że Polska sfałszowała rezultaty ćwiczeń, aby wyłudzić od USA pieniądze na dozbrojenie, a nawet jeśli naprawdę polska armia przegrała symulację z kretesem, to w Moskwie nie ma się z czego cieszyć, bo teraz Warszawa zrobi wszystko, aby lepiej się przygotować.

Na Kremlu nie tylko doceniają Polskę, lecz także się jej boją. Doskonale pamiętają, że przez kilkaset lat to Polacy byli górą w geopolitycznej rywalizacji (jako święto państwowe mają dzień wypędzenia Polaków z Kremla w 1612 r.). Rywalizację tę Rosja wygrała pod koniec XVIII w. nie tyle dzięki przewadze kulturowej, militarnej, ile dzięki agenturalnym sztuczkom, działaniom, rozbijającym polskie społeczeństwo od środka, demoralizując polskie elity. Rosja w XX w. przeprowadziła dwie wojny agresywne – w latach 1919–1921 przeciwko Polsce i 1939–1940 z Finlandią. Za każdym razem poniosła klęskę. Oczywiście, była jeszcze wojna z III Rzeszą, ale to była kontrofensywa wspierana z całych sił przez aliantów, zwłaszcza USA. Dzisiaj Rosjanie mają świadomość, jak niebezpiecznym rywalem są Polacy w walce o wpływy w Kijowie i Mińsku (nawet jeśli tego sami nie dostrzegamy). Dla Ukraińców i Białorusinów Polska jest pod względem cywilizacyjnym, kulturowym o wiele bardziej atrakcyjna niż Rosja. To nad Wisłę przyjeżdżają pracować. Dla Rosji szansą na odbudowę potęgi imperialnej jest rozbicie jedności Zachodu. Do tego potrzebuje wsparcia ze strony Niemiec. Jeśli ktoś może się obecnie czuć militarnie zagrożony przez Rosję, to państwa bałtyckie. Szczególnie Łotwa i Estonia, gdzie istnieje duża mniejszość rosyjska...

To jest właśnie ta potencjalnie prorosyjska siła, której, na szczęście, nad Wisłą nie ma. Dzięki temu, że nie byliśmy sowiecką republiką.

To prawda. Można natomiast sobie wyobrazić, że Putin będzie chciał przetestować jedność Zachodu. Może np. tylko zająć Estonię. Jeśli nie będzie natychmiastowej reakcji NATO, tylko jakieś mdłe sankcje, próby rokowań, to trudno sobie wyobrazić, byśmy sami byli w stanie pomóc Estonii. Szczególnie że nad naszymi głowami wisi obwód kaliningradzki, uzbrojony po zęby w rakiety...

Polska i Litwa mogą wówczas podjąć próbę likwidacji obwodu kaliningradzkiego. Byłoby to możliwe?

To mogłoby doprowadzić do wybuchu kolejnej wojny światowej. Zresztą w tej chwili nie ma bezpośredniego zagrożenia dla Polski. Na wszelki wypadek trzeba jednak – powtarzam! – budować system obrony, o jakim mówię, aby Rosjanie wiedzieli, że wojna z Polską będzie dla nich nieopłacalna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Romuald Szeremietiew *– były minister obrony narodowej, poseł i profesor nadzwyczajny Akademii Obrony Narodowej i Akademii Sztuki Wojennej.*

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. KS. PIOTR GÓRA

Z bp. Romanem Pindlem, ordynariuszem diecezji bielsko-żywieckiej
rozmawia Tomasz Rowiński

Każdy przypadek przeżywania cierpienia jest inny

eprasa.pl 25fbc9c3e1

TOMASZ ROWIŃSKI: Pan Janusz Szymik, ofiara księdza, po tym, jak Państwowa Komisja ds. Pedofilii złożyła w prokuratorze wniosek o przeprowadzenie postępowania w sprawie podejrzenia popełnienia przestępstwa przez biskupów: Tadeusza Rakoczego, Stanisława Dziwisza, Romana Pindla i Piotra Gregera, powiedział, że we wniosku są wymienione wszystkie osoby, „co do których mam żal, że we właściwym czasie nie zachowały się jak ludzie sumienia i nie wdrożyli odpowiednich procedur".

BP ROMAN PINDEL: Ze swojej strony mogę powiedzieć, że osobiście spotkałem się z panem Januszem kilkakrotnie, dokładnie sześć razy. Dla mnie była to okazja, by poznać jego sytuację, lepiej ją zrozumieć i zetknąć się z jego cierpieniem. Moi współpracownicy byli również do dyspozycji pana Janusza i wiem również, że się z nim wielokrotnie spotykali. Oferowaliśmy panu Januszowi pomoc duchową oraz psychologiczną.

Natomiast od strony proceduralnej sprawa została podjęta w 2014 r., krótko po tym, jak otrzymałem zgłoszenie, i zakończyła się dekretem karnym dla ks. Jana W. zatwierdzonym przez Kongregację Nauki Wiary w Watykanie.

Jak ksiądz biskup odbiera to, że znalazł się na tej liście z wniosku?

Dowiedziałem się o nim z doniesień medialnych. Nikt z przedstawicieli komisji nie kontaktował się w tej sprawie ze mną ani z moimi współpracownikami. Mogę jedynie powtórzyć, że nasza diecezja ściśle współpracuje z państwowymi organami ścigania, jesteśmy również otwarci na współpracę z komisją państwową. Zgodnie z prawem obowiązującym od 13 lipca 2017 r. wszystkie wymagane przez prawo przypadki zgłaszamy do prokuratury. Do niej także przekazaliśmy informacje o wszystkich wcześniej prowadzonych sprawach, w tym sprawę krzywdy, jaką panu Januszowi wyrządził ks. Jan W. Miało to miejsce podczas spotkania kanclerza naszej kurii z przedstawicielem organów ścigania.

Jak ten proces przebiegał po stronie kościelnej?

Jak już wspomniałem, to był rok 2014. Otrzymałem zgłoszenie kilka tygodni po tym, jak zostałem biskupem w Bielsku. W tamtym czasie moja wiedza, a tym bardziej praktyka związana z wyjaśnianiem nadużyć, była bardzo mała. Ale dzięki wiedzy oraz pomocy o. Żaka SJ mogłem zrobić pierwsze kroki i uruchomiliśmy procedury wynikające z prawa kanonicznego.

Najpierw miało miejsce dochodzenie wstępne, które jest obowiązkowe. Po wstępnym zbadaniu sprawy i określeniu jej wiarygodności jako diecezja zgłosiliśmy ją do Kongregacji Nauki Wiary (KNW), przesyłając całość dokumentacji z tego dochodzenia. Na tym etapie nastąpiło odwołanie księdza z parafii w związku z uwiarygodnieniem, że czyn został przez podejrzanego popełniony. Potem czekaliśmy na decyzję KNW.

Jak przebiega dalsza procedura?

Zgłasza się sprawy uwiarygodnione, ale Kongregację powiadamia się też o sprawach wątpliwych. Wtedy czekamy na decyzję KNW co do dalszych procedur. KNW może na przykład zauważyć jakieś inne aspekty przeoczone w diecezji.

Kongregacja może też podjąć różne decyzje, najczęściej poleca przeprowadzenie jednej z dwóch procedur: proces administracyjny karny lub proces sądowy karny. KNW zwykle zaleca ten pierwszy, ponieważ sprawniej się go przeprowadza, a prowadzi on do tego samego skutku co proces sądowy.

Jak wygląda uwiarygodnienie oskarżeń?

Poprzez świadków, często poprzez wizję lokalną, która nieraz rzeczywiście daje jak na dłoni potwierdzenie zeznań. Badania psychologiczne pomagają stwierdzić rozmiar szkód natury psychicznej u osoby poszkodowanej, które są skutkiem wykorzystania, i to też należy do materiału dowodowego w procesie kościelnym. Niestety, bywają też procesy, w których nie ma świadków poza ofiarą, szczególnie dotyczy to dawnych spraw, z punktu widzenia prawa kościelnego i państwowego przedawnionych. Jednak my i przedawnione sprawy zgłaszamy do KNW i zwykle Kongregacja poleca wszczęcie procedury. Czasem mamy do czynienia z sytuacją, kiedy słowo występuje przeciwko słowu. Może dotyczyć to bardzo istotnych spraw, np. samego faktu przestępstwa, jego kwalifikacji czy liczby aktów, których dopuścił się sprawca. W trudniejszych punktach spraw korzystamy z pomocy karnistów czy ekspertów z sądu rodzinnego, by prowadzący proces miał dobre rozeznanie, jak działać.

Co następuje po dochodzeniu?

Formułuje się dekret karny, czyli dokument orzekający o winie lub niewinności wraz z określeniem wymierzonej kary. Dekret przedstawia się skazanemu księdzu i przesyła się go do KNW. Kongregacja albo aprobuje to, co jest ustalone w diecezji, albo daje uwagi i wskazania. Wykaz dostępnych środków karnych wymienia Kodeks prawa kanonicznego.

Dzisiaj nie ma więzień kościelnych, choć w dawniejszych wiekach istniały tzw. domy księży demerytów, czyli księży przestępców. Współczesna forma prawa kanonicznego nie przewiduje takich środków ani innych środków przymusu, jakie ma do dyspozycji sędzia sądu państwowego. Duchowny otrzymuje nakaz przebywania we wskazanym miejscu. Najczęściej miejscami odosobnienia są domy zakonne lub inne instytucje kościelne. Charakter tych miejsc umożliwia sprawowanie nadzoru nad wykonywaniem kary i podejmowanie czynów pokutnych.

Oczywiście zawsze też zaraz po przyjęciu sprawę zgłasza się do prokuratury. Zdarza się, że z punktu widzenia prawa państwowego sprawa zostaje umorzona, np. ze względu na przedawnienie.

A jeśli nie ma przedawnienia?

Procedury podejmowane są równolegle, a więc prokuratura zajmuje się sprawcą w zakresie swoich kompetencji, a Kościół w swoim zakresie. Zdarza się też, że postępowanie kościelne rozpoczyna się, a następnie zawiesza do czasu rozstrzygnięcia prokuratury. Po wyroku kościelnym oskarżony ma się do wyroku ustosunkować. Ma też obrońcę. Jeśli chce, to może się też dwukrotnie odwoływać – do KNW, a za drugim razem do Kolegium do spraw Rekursów w Sprawach Zarezerwowanych Kongregacji Nauki Wiary.

Przy notyfikacji dekretu karnego, czyli zapoznaniu się z nim przez sprawcę, rozmawiam z takim księdzem.

Jak to wygląda?

Sprawca jest członkiem Kościoła, jest duchownym, który powinien ponieść słuszną karę za popełnione przestępstwo, podjąć pokutę, przeżyć żal i nawrócenie. Dlatego staram się mieć podejście całościowe. W czasie dłuższej rozmowy wykraczam poza obowiązek zakomunikowania wyroku.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Potem następuje przyjęcie wyroku i poddanie się karze. Osądzony ksiądz otrzymuje nakaz pobytu we wskazanym miejscu, gdzie realizuje wymierzone kary.

Czy tak wyglądał proces księdza, który skrzywdził pana Janusza Szymika?

Od strony proceduralnej dokładaliśmy wszelkich starań, by tak było. Wina ks. Jana W. jest niewątpliwa. Procedury zostały doprowadzone do końca i wydano dekret skazujący. Na drodze świeckiej sprawa była przedawniona już wtedy, gdy do mnie trafiła w roku 2014. Mimo że także w świetle prawa kościelnego sprawa była przedawniona, Kongregacja Nauki Wiary zawsze może uchylić przedawnienie, o czym mówiłem wcześniej, i w tym przypadku tak zrobiła.

Czasami w ludziach coś pęka i dopiero po latach zgłaszają się i pod wpływem najrozmaitszych czynników ujawniają swój ból i krzywdę

Jest ksiądz biskup spokojny o przebieg postępowania w prokuraturze, które niewątpliwie się zacznie?

Jestem spokojny, działałem wraz z moimi współpracownikami w dobrej wierze, wypełniając wszystkie obowiązki wynikające z prawa państwowego oraz kościelnego. Jeśli zaś chodzi o bp. Tadeusza Rakoczego, to nie mogę nic powiedzieć, dlatego że sprawa jego ewentualnych zaniedbań, niedopełnienia obowiązków jest badana przez Stolicę Apostolską. Z komunikatu, który zamieściła na swojej stronie internetowej archidiecezja krakowska, wiemy, że zakończył się etap diecezjalny, który prowadził metropolita krakowski.

Dokumenty tej sprawy nie są zatem w Bielsku, ale w Krakowie?

To wynika z postępowania kościelnego. Jeśli pojawi się doniesienie, że któryś z biskupów diecezjalnych mógł dopuścić się zaniedbań, to Stolica Apostolska zleca najczęściej metropolicie przeprowadzenia dochodzenia na tzw. etapie diecezjalnym.

A co z ks. bp. Piotrem Gregerem?

Tak jak już wspomniałem, o wniosku dowiedziałem się z doniesień medialnych. Nie znam szczegółowych powodów takiej decyzji komisji.

Jest opinia, że to ksiądz biskup rozpoczął proces oczyszczania diecezji po swoim przyjściu.

Nie wiem, czy jestem jakimś wyjątkiem. Moje wrażenie jest takie, że w roku 2014 w ogóle wiele spraw ruszyło w Polsce. Natomiast ta sprawa w naszej diecezji została podjęta jako pierwsza. Zaczęły się jednak do mnie zgłaszać osoby, które z różnych powodów nie uczyniły tego wcześniej. Mam taką obserwację, że czasami w ludziach coś pęka i dopiero po latach zgłaszają się i pod wpływem najrozmaitszych czynników ujawniają swój ból i krzywdę. Losy tych osób są bardzo indywidualne. Czasem są to osoby, które przeszły terapię i nauczyły się żyć ze swoim cierpieniem. Są to niezwykle budujące rozmowy. Niekiedy osoba mówi, że przebaczyła sprawcy i modli się za niego, ale uważa, że trzeba sprawę zgłosić. Są również osoby, którym z trudnością przychodzi przebaczyć swojemu sprawcy. Taką postawę jak najbardziej przyjmuję i rozumiem.

Chcę również jasno podkreślić, że ja oraz moi współpracownicy cały czas staramy się reagować adekwatnie do każdej sytuacji, stosując się zarówno do procedur przewidzianych prawem, jak i doskonaląc empatyczne podejście do pokrzywdzonych.

Jak wyglądały relacje księdza biskupa z panem Januszem Szymikiem?

Myślę, że były to dobre relacje, rozmawialiśmy indywidualnie na stopie duszpasterskiej. Odwiedzał naszą kurię, miał również dobry kontakt z pracownikami, którzy prowadzili postępowanie.

Czy utrzymujecie kontakt z innymi ofiarami?

Są pokrzywdzeni, którzy bardzo chętnie przychodzą do nas, szukają kontaktu, ale zdarzają się też osoby, które zgłaszają skargę, a potem z różnych powodów nie wyrażają potrzeby, a czasami wręcz nie życzą sobie, by w rozmowie z nimi powracać do bolesnych wspomnień. Każdy przypadek przeżywania cierpienia jest naprawdę inny.

Proponujemy kontakt z księdzem, który pełni w naszej diecezji rolę duszpasterza osób pokrzywdzonych. Dodam, że jego misja dotyczy nie tylko ofiar księży. Mogą się do niego zgłaszać również pokrzywdzeni przez inne osoby, np. te, które doznały krzywdy w rodzinie.

Wracając do pokrzywdzonych – te rany tak działają, że na sam widok sprawcy osoby zranione mogą doznać reakcji somatycznych. To jedna z tych sytuacji, które pokazują, jak daleko mogą sięgać zranienia spowodowane przez doznaną krzywdę. Pomocy potrzebują obok osoby pokrzywdzonej, także jej najbliżsi. Pytają, co teraz, jak pomóc ich dziecku, pytają, czy Kościół coś robi w celu prewencji.

A robi?

W diecezji organizujemy spotkania z kanonistami czy policją z działu prewencji, aby każdy ksiądz wiedział, jakie jest prawo, ale przede wszystkim, jak chronić dzieci. Ważna jest też wiedza, jak się zachować, gdy przyjdzie do któregoś z księży osoba pokrzywdzona, jak jej pomóc, aby była w stanie zgłosić swoją krzywdę. Niezależnie od tego, jak postąpi osoba pokrzywdzona, przypominamy księżom o obowiązku przekazania takiej informacji delegatowi ds. ochrony dzieci i młodzieży naszej diecezji oraz do prokuratury. Tego typu szkolenia są konieczne i staramy się, by szczególnie młodzi księża poznawali zasady prewencji. Jest to wpisane w ich formację stałą. Chciałbym dodać, że wiele razy za pośrednictwem mediów przypominaliśmy, i nadal będziemy to czynić, kontakt z delegatem ds. ochrony dzieci i młodzieży naszej diecezji. Informacja ta była przekazywana w komunikatach odczytywanych w parafiach naszej diecezji. Jesteśmy w ciągłym kontakcie z prawnikami, psychologami, seksuologami i duszpasterzami, którzy zajmują się tymi sprawami w celu opracowania zasad prewencji.

Doceniam równocześnie osoby duchowne, które są wierne swojemu powołaniu i dają budujący przykład życia. Wiem, że ich świadectwa potrzebują pokrzywdzeni oraz wszyscy wierni, szczególnie teraz. Cieszę się również z tych przykładów osób duchownych naszej diecezji, które po zetknięciu się z przypadkiem wykorzystania seksualnego, kierując się dobrem osoby pokrzywdzonej, wspierają ją oraz przekazują sprawę do naszej kurii, także do organów ścigania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Krzysztof Masłoń

Syfon z bazaru Różyckiego

Dzieje warszawskiego bazaru pokazują, że warto to miejsce ocalić

Opowieści bazarowe są proste, bezpośrednie i zbytnim sensem nie grzeszą. Jednak według Marka Nowakowskiego, naszego kapitana, sens jakiegoś epizodu nie tkwi w środku jak pestka, lecz otacza z zewnątrz opowieść, która rzuca nań światło” – powiada Marek Miller, autor bezcennej wręcz książki o bazarze Różyckiego, której pierwszy tom ukazał się w 2018 r., a drugi i trzeci (łącznie) w ostatnich dniach. Miller nieprzypadkowo używa liczby mnogiej, dopuszczając do współautorstwa całą masę osób, głównie studentów z Laboratorium Reportażu Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego, współtwórców dzieła, nad którym Laboratorium pracuje od ponad 10 lat. Marek Miller, jak pisze, jest dyrygentem i reżyserem tej powieści (bo tak nazywa „Co dzień świeży pieniądz, czyli dzieje bazaru Różyckiego”), jego imiennik, śp. Marek Nowakowski, był jej patronem.

O tym, że lektura tych wspaniale zilustrowanych tomów jest smakowita, nie trzeba przekonywać żadnego warszawiaka (nie warszawianina, bo tak się w stolicy nie mówiło). Oczywiście jest smakowita nie tylko ze względu na kuchnię Różyca, choć niepodobna od niej nie zacząć. Najważniejsze w kuchni tej były niepowtarzalne pyzy, ale i – na co zwróciłem uwagę – pączki od Gajewskiego. Sam oczywiście mieszkając na Woli – choć pierwsze lata życia spędziłem na Jagiellońskiej, pięć minut od bazaru – przedkładałem nad inne pączki – od Zagoździńskiego, absolutnie bezkonkurencyjne dzisiaj, ale w swoim czasie rzeczywiście rywalizujące, a może i przegrywające jeszcze z tymi od Gajewskiego czy Bliklego. W sumie bazarowe smaki jak najbardziej dosłownie wpisują się w tę wyjątkową opowieść.

Hanna Suska, ważna postać tej oralnej powieści, podaje przepis: „Robię tak. Obieram kartofle, ze dwa kilo, jak na cztery osoby, potem gotuję i część mielę przez maszynkę. Do starych dodaję całe kartofle rękami, broń Boże łyżką, wyra-

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Bazar Różyckiego przed wojną. Wejście od strony ul. Targowej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

biam. Na samym końcu dodaję ćwierć kilo mąki. Musi być ziemniaczana, bo inaczej pyzy gumowy smak mają. Potem ciasto trzeba znowu wyrobić.

– Ale pyzy są okrągłe…

– A bo w rękach ciasto na okrągłe kulki kręcę. Dokładnie, żeby grudek nie było, bo pyzy z grudkami to rzecz najgorsza. Wrzucam je na gotującą, osoloną wodę, a jak gotowe, to okrasę dodaję – cebulkę czy słoninę. I tyle. Gotuję w domu, a pyzy przynoszę na bazar, bo blisko tu mieszkam. Stoję już od 7 rano".

MIĘKKIE GRZYBKI W ŚMIETANIE

Starzy mieszkańcy stolicy zapytani o to, co było najbardziej charakterystyczne, co rzucało się w oczy przy wejściu na bazar, odpowiadali: „Nie w oczy, a w uszy". Legendarnego siedmiometrowego syfonu, niebieskiego ze srebrnym czubem, symbolu tego miejsca od1901 r. do ok. 1935 r., nikt już wprawdzie nie pamięta, nie widział go na własne oczy, jedynie na starych pocztówkach i zdjęciach, ale język Różyca wciąż jeszcze słyszymy.

Sergiusz Grudkowski tak go przywoływał: „Żeby zachęcić kupujących, handlarze wykrzykiwali na bazarze różnorodne hasła:

»Afrykańskie ziele faraona na miłość w księżycową noc!«;

»Na wszystkie ludzkie boleści: maść na wyprostowanie kręgosłupa i szyi!«;

»Na powiększenie soczystych piersi!«;

»Kastet metalowy na prawą rękie!« (takie żelastwo do bicia się);

»Ostrzenie zagranicznych brzytew i widelców do solonych śledzi z dębowej beczki!«;

»Uniwersalny proszek zapachowy na odpędzenie szczurów, złodziei i komarów!«;

»Hiszpańskie muszki dla kawalerów na szybką miłość wieczorową!«;

»Reperacja skarpetek męskich!« (Wyjmował taki skarpetę, a drugi wyciągał łatkę, smarował klejem naokoło, przystawiał, młoteczkiem przybijał i nie trzeba było cerować. Gratisowo dodawał biały proszek do butów, żeby skrzypiały);

»Miękkie grzybki w śmietanie i kwaszone ogórki na ślubną zakąskie!«;

»Horoskop na całe szczęśliwe życie do raju!«…".

Kopalnią wiedzy w tym zakresie okazuje się znany muzyk warszawski, Stanisław Wielanek: „Powiedziałbym, że szczególny był nie tylko język – jak ulyca, stolyca, lyst, ale ta charakterność. Mnie to zawsze interesowały powiedzonka. Ja do dziś mówię, jak wchodzę na Koło – »Cieszcie się kupcy, bo przyszli głupcy«. Ja zacząłem te powiedzonka zbierać, np. spisywać toasty. Najbardziej podoba mi się toast »Piję do ciebie suficie, boś ty nie pił całe życie«. Okupacyjny był toast – »Ile jest w drabinie szczebli, ile Hitler nakradł mebli, ile szkopów leży w grobie, tyle zdrowia życzę tobie». Albo »Co ci życzyć, drogi wuju, czy ci śpiewać, czy ci grać, żyj nam w zdrowiu drogi wujku, k… twoja w dupę mać«. Himilsbach miał takie powiedzenie na temat picia wódki, że wprowadza element baśniowości w szarą rzeczywistość".

Co jeszcze? Na przykład „»Kukurydza źródłem jest radości, daje zdrowie, wzmacnia kości«.

Ciotka mojej żony handlowała na bazarze, ale zmarła niedawno. Ona miała praskie powiedzenie »Co to za chłopy dzisiaj, troki od kaleson. Przed wojną jak chłop pierdnął, to mu się dwa tygodnie jajca bujały«.

»Lody, lody, jedno jajko, kubeł wody«.

I każdy, kto tam coś sprzedawał, to cały czas nawijał tym językiem. Jeszcze w czasie okupacji »Szmaty, krawaty, bomby, miny, karabiny«.

Ta cała gwara jest wymieszana, dużo słów wprowadzili Żydzi – jak ferajna, dintojra.

Jak mój ojciec żył, to śpiewał »Dzisiaj u nas szabes, jutro będą kuczki, wlazł tata na mamę, pokazuje sztuczki«".

SWOI I OBCY

Żydzi to wielki temat bazaru. W swoich początkach był to bazar żydowski. Od końca XIX w. do 1940 r. Praga była drugim co do wielkości – po Dzielnicy Północnej i Nalewkach – skupiskiem warszawskich Żydów. W latach 30. XX w. społeczność ta stanowiła 45–50 proc. ogółu mieszkańców kwartału zabudowy okalającej bazar Różyckiego: Targowej, Brzeskiej i Ząbkowskiej nazywanej „praskimi Nalewkami". Kwitł tu handel, a także żydowskie życie religijne.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Naturalnie najciekawsze jest to, co najdawniejsze. Ale z pamięcią należy uważać, ze świadectwami mówionymi, a i drukowanymi także. Na przykład założycielowi bazaru, Julianowi Różyckiemu (1833–1919), również właścicielowi znanych składów aptecznych, w pierwszym tomie „Co dzień świeży pieniądz” przypisano żydowskie pochodzenie, z rodziny Rozenblumów. Teraz, w zakończeniu tomu drugiego, czytamy list Zdzisława Różyckiego, prawnuka Juliana, który dementuje tę i podobne wiadomości na temat swoich przodków: „[…] nieprawdziwe są informacje o pochodzeniu Juliana podawane w różnych opracowaniach; że był bratankiem gen. Edmunda Różyckiego; pochodził z żydowskiej inteligenckiej lub rzemieślniczej rodziny Rozenblumów, która […] zmieniła wiarę; był rodzinnie powiązany z łódzkimi finansistami Goldfederami; miał bliskie pokrewieństwo z rodziną Różyckich, która posiadała nieruchomości na terenie żoliborskiej Cytadeli. […]

Prawdą jest, że Julian potrafił powiązać swoje interesy z interesami żydowskich mieszkańców Pragi. Swoim szlachetnym postępowaniem potrafił zjednać sobie ich sympatię i uzyskać miano »żydowskiego króla Pragi«. Trzeba przyznać, że jego rzekomo żydowskie pochodzenie dobrze się w atmosferę Pragi wpisywało. Dla niektórych opracowań ujawnienie tej nieprawdy może okazać się teraz niewygodne”.

Może tak, może nie. Julian Różycki aktywnie działał na rzecz społeczności żydowskiej, co podkreślano, ale przecież nie tylko na jej rzecz. Wspomógł budowę praskiego szpitala Najświętszej Marii Panny, zorganizował bezpłatną czytelnię, uzyskał zgodę władz carskich na otwarcie na Pradze gimnazjum (późniejszego Władysława IV). Różyckiemu też zawdzięczała Praga pierwszą fabrykę wód mineralnych, udział w budowie kolei Mareckiej, no i, najważniejsze – założenie bazaru.

A bazar żydowski? Jego definitywny koniec nastąpił w 1940 r., gdy hitlerowcy utworzyli getto. Wtedy Żydzi zniknęli z Targowej, Ząbkowskiej i Brzeskiej. Wcześniej mieli w tym miejscu dobre lata, nawet takie, gdy goje mogli handlować tylko „z ręki”, bo stragany były wyłącznie żydowskie.

Znakomity śpiewak, Wiesław Ochman, opowiadał: „Pochodzę z ulicy Ząbkowskiej na wprost Nieporęckiej, gdzie urodziłem się w roku 1937. Żydzi mieszkali obok mnie, na Korsaka. Pamiętam, że kiedy szli Ząbkowską w kolumnie prowadzonej przez Niemców, to myśmy rzucali im jedzenie, choć żandarmi krzyczeli, że nie wolno. Mama z sąsiadkami ubolewały nad tym, co się z Żydami stało, bo to byli nasi sąsiedzi. To nie byli bogaci Żydzi, to była biedota.

Podział Żydzi – Polacy w tamtych stronach w ogóle był problematyczny. Złodzieje, na przykład, dzielili się na swoich i obcych. »Swoi – wiadomo, ci, co tam mieszkali, nieswoi – to cała reszta«. Tadeusz Szurek opowiadał: »Panie tramwajarz, poczekaj pan« – mówił Żyd do mojego ojca. »Ja mam dla pana garniturek. Specjalnie on tu czekał na pańskiego syna«.

Więc przymiarka wyglądała w ten sposób, że Żyd stawiał delikwenta przed lustrem. Z tyłu pociągał za marynarkę, tu pogłaskał, tam pogłaskał. »Widzisz pan, jak pasuje?«.

Potem odwracał klienta i ta sama historia z tyłem. A że był za długi? To na wyrost, bo zwykle chłopak rośnie. Jak sprzedawca zaproponował ojcu cenę, to tata dawał połowę. Oczywiście wybuchały krzyki, zaklinanie się na żonę, na dzieci. Kończyło się tak na 60 procentach ceny wywoławczej i towar sprzedawano. Zresztą, jakby przyszedł kupujący i gdyby zapłacił tyle, ile kupiec chciał, to byłaby to podejrzana transakcja”.

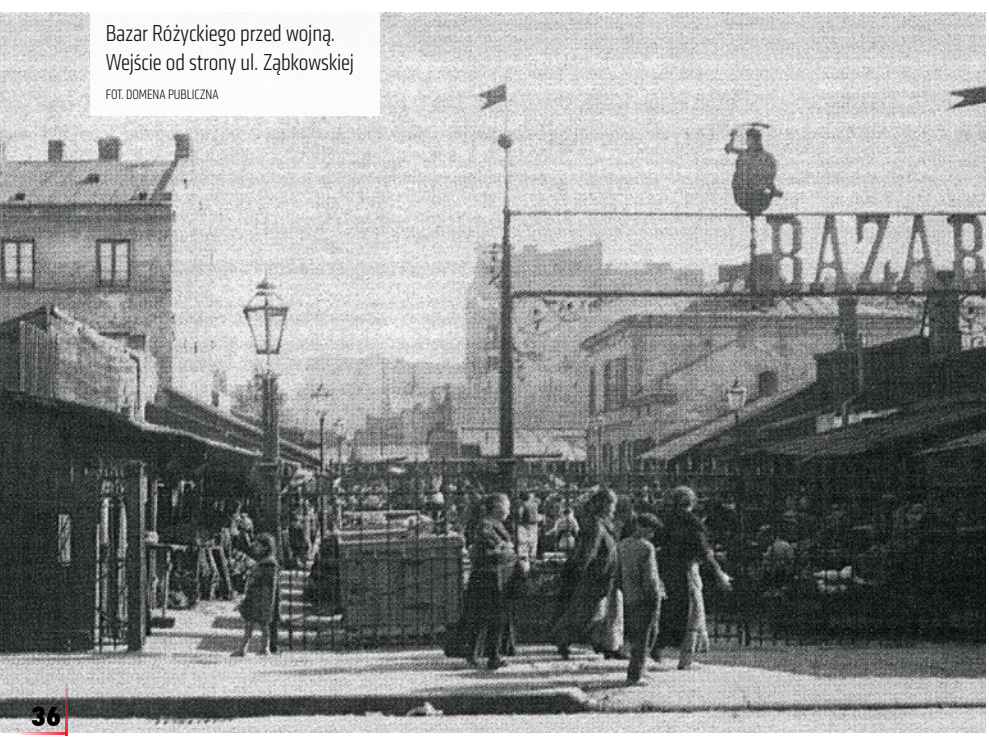

Bazar Różyckiego przed wojną. Wejście od strony ul. Ząbkowskiej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

WARSZAWA PATRZY!

Ta bazarowa opowieść ma swoich bohaterów, niektórych sprzed wojny, innych z pierwszych lat powojennych. Czasem jest z nimi kłopot, jak z osławionym Wickiem Andruszkiewiczem prowadzącym knajpę Schron u Marynarza. Bo też niemal każdy, kto go raz widział, musiał choć kilka słów mu poświęcić. I tu zaczynają się schody. Bo jak orzec, czy ważył on 120, 200, a może i więcej kilogramów? Wagę niewątpliwie miał słuszną, co potwierdzają fotografie. Ale jaki był pomiar wagi, gdy na niej stawał? A może nie stawał nigdy, grunt, że opowiadał jak nikt, a tatara przyrządzał tak, że jak ktoś go posmakował, gdzie indziej już tej zakąski nie zamawiał.

„Ludzie” Marka Millera pozwalali wspomnieniom snutym przez swoich rozmówców płynąć swobodnie. W przeciwnym razie musieliby weryfikować wszystko, drobiazgi także. Znalazłem, na przykład, taką opinię pana Bogusia, kupca, który rozwinął się na temat Janusza Laskowskiego – cytuję – „»Kolorowe jarmarki« to tylko jedna jego piosenka. Reszta utworów to warszawskie szlagiery, które zostały przez niego wylansowane tu, na bazarze”. To nieprawda, Laskowski był chłopakiem z Białostocczyzny, a wła-

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Bazar Różyckiego współcześnie. Wejście od strony ul. Ząbkowskiej

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

ściwie z Białorusi, śpiewał o Augustowie „Beatę”, „Żółty jesienny liść” robiący furorę głównie w zakładach karnych, a nie piosenki warszawskie. Owszem, stylistycznie był z bazaru, ale bardziej z tego z Jurowieckiej w Białymstoku niż z Targowej. A o zetknięciu z piosenkami Laskowskiego ciekawie opowiada Zbigniew Hołdys: „Można powiedzieć, że tamtego dnia »spadłem z krzesła«. Dotarło do mnie, że istnieje inna kultura, której w ogóle nie znam. I to kultura dominująca tak naprawdę. Po dziś dzień ewoluuje i jej odmiany funkcjonują. Nadal mamy takie swego rodzaju »dwa światy«. Tamto odkrycie było dla mnie fascynujące. Kupiłem wtedy chyba z 10 tych pocztówek, żeby posłuchać, co to jest, o co w tym chodzi. Wśród nagrań znalazłem m.in. piosenki więzienne. »Przyleciał do mnie na kraty, biały gołąbek skrzydlaty, spojrzał na nędzne me szaty i odleciał w siną dal«. Zostałem sprowadzony do parteru! To doznanie otworzyło mi oczy. Początkowo nie mogłem »dogadać się« z tą sytuacją. Wcześniej sądziłem, że muzyka, jakiej słucham ja i znajomi z mojego szkolnego środowiska, była najważniejsza na świecie. Tymczasem okazało się, że są ludzie, którzy nie mają takich aspiracji. Chcą wyglądać tak, jak wyglądają – po prasku (a to też jest do dziś trochę różniąca się od reszty świata moda) i chcą mówić swoim językiem”.

Prawdziwym dzieckiem Warszawy i ulubieńcem bazaru był za to z pewnością Antoni Kolczyński, świetny bokser, przedwojenny mistrz Europy, zwycięzca (przez nokaut!) sławnego Jamesa O’Malleya w Chicago, w meczu pięściarskim Ameryka – Europa, którego był największą gwiazdą. Po wojnie nie wrócił już do dawnej formy, choć czterokrotnie zdobył jeszcze mistrzostwo Polski. A najsławniejszą walkę, ze znakomitym Węgrem László Pappem, stoczył w 1950 r. Tak wspominał ją Bohdan Tomaszewski:

„Przy szóstym czy siódmym upadku Polaka raptem pojedynczy, rozdzierający okrzyk z Sali: – »Kolka«! Warszawa patrzy! Za Warszawę! »Kolka«!

Biedna, wynędzniała Warszawa schyłku lat czterdziestych. Dlaczego za Warszawę? Przecież z Węgrem, a nie z Niemcem walczy? Bije się z bratankiem, a nie z wrogiem.

Dosłyszał. Trzecia, niezapomniana runda »Kolki«! Jest w bezustannym ataku. Zasypuje gradem ciosów zaskoczonego Pappa. Triumfalny ryk warszawskiej widowni. Ostatnie sekundy. Finisz Polaka przybiera na sile. Ryk, lawina ciosów. Mistrz olimpijski słania się, chroni w narożniku za podwójną gardą. Tak zastaje go ostatni gong.

Jeszcze kilka sekund, a przegrałby przez nokaut. A tak wygrał na punkty.

Huragan braw po ogłoszeniu werdyktu. Werdykt dla widowni tym razem był nieważny. Zobaczyła po raz ostatni, jak umie walczyć »Kolka«”.

Przeżył tylko 47 lat, powaliła go gorzała. Na bazarze i w jego okolicach spędził pół życia. Na grze w trzy karty także. W jego ostatniej drodze na Bródnie towarzyszyło mu, bez przesady, całe miasto.

SADYZM I OKUPACJA

Nie wszystko, co wyczytałem w „Co dzień świeży pieniądz”, budziło moje wzruszenie, a jeśli poruszało emocje, to może niekoniecznie takie, jakich bym sobie życzył. Boleśnie odczułem, na przykład, prześliźnięcie się w książce nad powstaniem warszawskim i jego skutkami. Na Pradze, wbrew utrzymującym się długo opiniom, w sierpniu 1944 r. także walczono. A po wejściu Sowietów na Pragę AK-owców wybrano i wywieziono, tak jak dziadka mojej żony, do Kazachstanu, Nie wiem, czy wchodząc do wagonu, śpiewał „Bogurodzicę”, jak w „Pierścionku z orłem w koronie” Wajdy, nie podejrzewam, ale z obozu wrócił nieprędko i schorowany. Jedna jego córka zginęła w powstaniu na lewym brzegu Wisły, druga przepłynęła rzekę, by dostać się w łapy Sowietów i trafić na zamek w Lublinie, skąd szczęśliwie udało się ją wydobyć. Ba, ojca żony, który był w „Szarych Szeregach”, też szukano, chłopak wcześniej jednak ukrył się na wsi. No więc takich historii brakuje, bo opowiadania, z których wynika, że konspiracja była śladowa, a najbardziej zasłużył się Wicuś handlujący z Niemcami i kupujący od nich broń, są mało przekonujące.

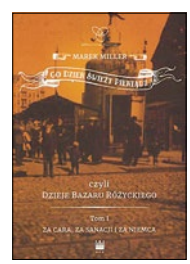

MAREK MILLER „CO DZIEŃ ŚWIEŻY PIENIĄDZ, CZYLI DZIEJE BAZARU RÓŻYCKIEGO” NARODOWE CENTRUM KULTURY 2018/2021

Ale perspektywa bazaru była jedyną w swoim rodzaju. Specyfikę swoją zachował i po wojnie, w zupełnie zmienionych warunkach. Barbara Borysiuk cofa się w czasie: „Chodziły specjalne komisje i prześladowały ludzi, wysyłali do obozu do Mielęcina. O tym nikt nie mówi, ile tam osób życie zakończyło. Jak złapali kogoś w dzień bezmięsny,

eprasa.pl 25fbc9c3e1

to otwierali jatkę, mięso wyprzedawali po cenie, a właściciela do obozu”.

Zygmunt Pągowski, kupiec: „Dwa obozy przeżyłem. Raz mnie złapali Niemcy i wywieźli do Mauthausen, a potem Polacy. Nie chcę tego opowiadać”.

Mieczysław Przyjemski: „Przyjeżdżamy [do Mielęcina], a tu klawiszy więcej jak nas. Szum, krzyk. A to już nie były żarty. Poniemieckie baraki obozu dla młodocianych i terror faszystowski. Sadyzm i okupacja”.

Marek Nowakowski, który w swoich opowiadaniach uwiecznił bazar (podobnie jak na swój sposób Hłasko i Tyrmand), dokonał jakże ważnego porównania: „W czasach stalinowskich na bazarze obowiązywały jeszcze przedwojenne zasady. Istniał silny obóz przedwojennych ludzi. Między nimi istniała głęboka solidarność, bardziej podporządkowywali się zasadom. Panowało większe poczucie antykomunizmu, oni widzieli, co się święci, jak rzeczywistość się zmienia po 1945 roku na ich niekorzyść. Panowało rozeznanie polityczne większe niż wśród inteligencji. Ludzie bazaru to byli ludzie prości, elementarni, osadzeni na korzeniach. Inteligencja zaczęła tłumaczyć sobie socjalizm, zaczęła go sobie przyswajać. Bardziej dała dupy niż ludzie z przedmieścia. Ten świat inteligencji pozostał światem z kreacji. Krył się za nim specyficzny rodzaj niepewności i fałszu. Marzec 1953. Umiera Stalin. Na bazarze Różyckiego nie ma ani żałoby, ani radości z powodu jego śmierci”.

Marek Miller, autor książki o bazarze Różyckiego
FOT. WPOLSCE.PL

Anna Filipowicz, kupcowa: „Po październiku 56 roku następują kolejne gromkie pomruki Urzędu Skarbowego. Wszystko po raz kolejny wraca do tak zwanej normy. Zaczynają się domiary, brak przydziałów na podstawowe surowce. Znowu trzeba zdobywać wiele rzeczy »na lewo«. Zaczynają się naloty milicji”.

26 września 1957 r.: Warszawski Zespół do spraw Zwalczania Spekulacji i Nadużyć Gospodarczych organizuje wielką obławę na „spekulantów” na bazarze Różyckiego. Bierze w niej udział ok. 700 milicjantów i pracowników instytucji kontrolnych.

CIĄGŁOŚĆ DUCHA

I znów oddajmy głos Markowi Nowakowskiemu: „Zawsze ciekawili mnie ludzie, którzy nie zostali tak do końca podporządkowani. Którzy byli na swój sposób wolni, suwerenni. Bazar wydawał mi się krainą ludzkiej suwerenności. Każdy miał tu swój interes, niepodporządkowany żadnemu innemu interesowi”.

Ludzie tu handlowali, obchodzili prawo, dorabiali się fortun i spadali na dno. Ale byli niepowtarzalni, we wszystkim, co robili. Opowiada ksiądz Bogusław Kowalski: „Kłaniają się z daleka. Dzisiaj ludzie idą na skróty, zwykle mówią »Szczęść Boże«, a na Brzeskiej mówią często »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«.

Ksiądz Mikulski pewnie by opowiadał o tym, jak organizowaliśmy procesje na Brzeskiej, jak całowali krzyż. Pamiętam, że ktoś z nich zadał takie pytanie – »Przepraszam, czy mogę ucałować relikwie?«.

Na ogół nie daję tym pijaczkom, menelom, ale raz musiałem dać. Wiedziałem, że daję na piwo wbrew sobie, ale tekst, jaki usłyszałem pod swoim adresem, po prostu mnie rozbroił. Profesor Polskiej Akademii Nauk by tego nie wymyślił. »Szlachetna duszo o potężnym umyśle, nie wsparłbyś potrzebującego?«.

Kiedyś szedłem Brzeską bez sutanny. I zbliża się do mnie jeden taki, który kojarzył mnie z kościoła. I tak patrzy na twarz – zgadza się, ale widzę, że czegoś mu brakuje, nie ma sutanny. I tak zawahał się i w pewnym momencie »Aaaaa, witaj mistrzu kropidła«. To są poeci, ja opowiedziałem to księdzu arcybiskupowi, to i on mnie poczęstował historią, jak szedł tu z kurii do siebie. Praga, Floriańska. Ale styl bazaru. Arcybiskup mówi tak – Idę w sutannie, naprzeciwko mnie pijany, bałem się, że coś mi przykrego powie. Bujnął się na nogach, zrobił znak victorii i do mnie: »Kaaaaaróluj nam Chryste!«”.

Marek Nowakowski wspominał: „W dzieciństwie chętnie podążałem na Pragę: biedną, szemraną, pełną starych kamienic, ruder, zaułków, przechodnich bram. Byłem ciekawy świata. Chciałem poczuć życie. Na lewym brzegu Wisły wszystko było zniszczone. Stare Miasto leżało w gruzach, ale na Pradze ocalały stare kamienice. Wojna zniszczyła miasto, ale nie zniszczyła ludzi, ludzie byli i bazar funkcjonował. Stał się i moim światem. Poznawanie Różyckiego było ważnym etapem w moim życiu. To było wspaniałe uczucie – bazar promieniował w tym szarym warszawskim świecie. Rozlewał się na ulice Targową, Ząbkowską, Brzeską, ludźmi, ich działaniami, rozmowami, interesami w bramach. Spotykałem tam przedstawicieli wielu różnych zawodów, grup społecznych, środowisk i to powodowało u mnie ferment. Dziś powstały na Pradze wielkie centra handlowe, hipermarkety, ale są jeszcze ludzie, którzy cenią bezpośredni kontakt człowieka z człowiekiem. Są jeszcze ludzie tęskniący za bazarem, tęskniący za życiem”.

Puentę znalazłem w słowach Karola Bulskiego: „Oczywiście, że chodzi o to, żeby ten bazar ocalić. I też nie jest prawdą, że ludzie dzisiaj nie potrzebują bazaru, że wolą centra handlowe, a bazar jest czymś przestarzałym. Bazar Różyckiego ma potencjał, żeby istnieć i żeby mógł się tu folklor praski sprzęgać z handlem. To może współistnieć i wzmacniać się wzajemnie. Teraz to wszystko jest w śpiączce. Wiadomo, że kupcy, którzy dzisiaj sprzedają na bazarze, to nie są rekiny biznesu, którzy by nagle wymyślili coś wielkiego. Jednak jest ciągłość pewnego ducha, pewnego sposobu bycia, pewnych tradycji handlowania. I to jest wartością. Potrzebni są sensowni ludzie, którzy będą to rozumieli i pomogą to wszystko podtrzymać bez wyrywania z korzeniami, w imię modernizacji i przemiany tego, co zostało. Bazar jako bazar jest wartością samą w sobie”.

PS Jeśli kogoś z Czytelników tego tekstu zainteresuje albumowa edycja pracy „Co dzień świeży pieniądz, czyli dzieje bazaru Różyckiego”, proszę wstukać w komputer adres: bazar-rozyckiego.pl. Wizytę w księgarni można sobie darować, tam się tej naprawdę wyjątkowej dwutomowej książki nie znajdzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

DUSZE OFIARNE

Najnowsza książka włoskiego watykanisty Saverio Gaety

– TO ONE OSTRZEGAJĄ NAS PRZED NADCHODZĄCĄ ZAGŁADĄ!

~~37,90 zł~~
22,70 zł

–5%
Odbierz dodatkowy rabat*. Przy zamówieniu podaj hasło:
DR2

Kim są dusze ofiarne? Jaką odgrywają rolę w dziejach ludzkości? Czy wypowiedziane przez nie proroctwa wypełniają się na naszych oczach? I dlaczego współczesny Kościół stara się ignorować ich słowa?

Saverio Gaeta uważnie przygląda się takim postaciom jak Luiza Piccarreta, Aleksandrina Maria da Costa czy Teresa Neumann i zauważa, że ich wizje oraz proroctwa są ściśle ze sobą powiązane. Zebrane razem, tworzą konkretny obraz i ostrzeżenie dla całej ludzkości!

Iluż ludzi uważających się za katolików nie wierzy w istnienie nieśmiertelnej duszy, czyśćca czy piekła; nie jest w stanie pojąć, że Bóg przemawia do nas również w dzisiejszym świecie poprzez wybrane przez siebie osoby. Ta książka może pomóc w umocnieniu wiary i w pełniejszym zaakceptowaniu katolickich dogmatów, które w naszych czasach są tak często kontestowane.

Włodzimierz Rędzioch,
watykański korespondent tygodnika „Niedziela"

Zamówienia telefoniczne: **12 264 37 09**, **12 395 70 72**
(poniedziałek–piątek 8:00–16:30)
Przez internet: **www.esprit.com.pl**.
Zamówienie na kwotę 99 zł lub więcej – przesyłka gratis.

* Kod rabatowy jest ważny **do 19 kwietnia 2021 r**.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Fabryki prac dyplomowych

Agnieszka Niewińska

Policja zatrzymała radcę prawnego i informatyka działających w branży pisania licencjatów czy magisterek na zamówienie. Grupa przestępcza zarobiła na tym 7 mln zł. A to tylko jedna z wielu takich „firm"

Ślęczenie nad źródłami, odwiedziny bibliotek i archiwów, własne badania… Z tym wielu absolwentom wyższych uczelni kojarzy się pisanie pracy dyplomowej. Okazuje się jednak, że wielu studentów skraca sobie drogę do uzyskania dyplomu i w myśl modnego w wielu branżach outsourcingu przygotowanie pracy zleca innym. Gotowy materiał przedkłada na uczelni jako własny.

W połowie marca funkcjonariusze małopolskiej policji na zlecenie Prokuratury Okręgowej w Krakowie zatrzymali dwie osoby – radcę prawnego i informatyka, członków zorganizowanej grupy przestępczej zajmującej się praniem brudnych pieniędzy pochodzących z pisania „na zamówienie" prac dyplomowych i rozpraw doktorskich. Proceder funkcjonował w latach 2016–2020. Śledczy ustalili, że grupa przez ten czas wyprowadziła do spółek w rajach podatkowych 7 mln zł pochodzących z opłat za zamówione prace. Jak dotąd zidentyfikowanych zostało 11 tys. elektronicznych wpłat od kilku tysięcy osób, które zapłaciły za prace inżynierskie, licencjackie, magisterskie, a nawet doktorskie.

2 MLN ZŁ PORĘCZENIA

Do pierwszych zatrzymań doszło w sierpniu ubiegłego roku. Śledczy przesłuchali redaktorów prac, którzy wyjawili, jak wyglądał przestępczy proceder, a także 42-latka, który odpowiadał za organizację – przyjmował zlecenia, wyznaczał zadania redaktorom, rozliczał się z nimi. Twórcy prac na zamówienie otrzymywali jedynie 10 proc. kwoty, którą wpłacał żądny dyplomu student. Reszta szła do kieszeni kierujących grupą.

Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Krakowie prokurator Janusz Hnatko poinformował, że do przestępczego procederu wykorzystywany był specjalnie do tego stworzony system informatyczny. Za jego pomocą członkowie grupy przyjmowali zlecenia i przydzielali je konkretnym redaktorom.

Zatrzymany informatyk usłyszał zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej oraz pomocnictwa w wyłudzeniu poświadczenia nieprawdy. Nie przyznał się do winy, zastosowano wobec niego dozór policyjny. Radcy prawnemu postawiono zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i prania brudnych pieniędzy. On również się nie przyznał. Sąd zastosował wobec niego tymczasowy areszt, ale zgodził się na uchylenie go za poręczeniem majątkowym w wysokości, bagatela, 2 mln zł. Radca tę kwotę wpłacił.

Rozbicie tej konkretnej grupy nie oznacza jednak, że szukający dróg na skróty studenci będą mieli problem ze zleceniem komuś innemu napisania pracy. W Internecie można znaleźć dziesiątki stron z ofertami „pomocy" przy pisaniu prac dyplomowych. 7 mln zł wyprane przez przestępców w rajach podatkowych może być jedynie wierzchołkiem góry lodowej, a pisanie prac na zamówienie całkiem sporą gałęzią gospodarki.

ROZDZIAŁ JUŻ PO PIĘCIU DNIACH

Zwykle na stronie głównej jest informacja, że pracownicy serwisu proponują „pomoc", „wsparcie" w pisaniu prac dyplomowych, „redakcję" albo „korektę" tekstu. Wystarczy jednak przejść do kolejnych zakładek, by przekonać się, że w ofercie chodzi raczej o napisanie pracy za studenta. „Piszemy całe prace dyplomowe (oczywiście, piszemy je etapami – począwszy od planu)" – czytam w ofercie jednego z serwisów. Zakres cen? Od 20 do 30 zł za stronę. Inny chwali się siedzibą: „Nasza przewaga nad innymi serwisami polega na tym, że wszystkie nasze prace magisterskie czy licencjackie są pisane na miejscu, w naszej siedzibie". Na stronie jest nawet zakładka „nasza kadra". W jej skład wchodzą m.in. Artur, obecnie doktorant prawa na Uniwersytecie Warszawskim, i Anita, która ukończyła zarządzanie na Politechnice Radomskiej.

Firmy piszące prace studenci poddają nawet swego rodzaju testom satysfak-

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

cji konsumenckiej. Rezultat takiego sprawdzianu co do jednej z piszących firm znajduję na studenckim forum pisanie.prac.com.pl. „Zasady rozliczeń – płatność po otrzymaniu 10 stron tekstu. Terminy – rozdział można otrzymać już po 5 dniach" – czytam opinię o zamówieniu na tekst pracy z pedagogiki i prawa. Studenci przesłane prace sprawdzili nawet w systemie antyplagiatowym. „Tekst z pedagogiki wykazał maksymalny PRP (Procentowy Rozmiar Podobieństwa – przyp. red.) 12 proc., tekst z prawa 31 proc. Czyli jeśli chodzi o pedagogikę, jest super, jeśli chodzi o prawo, już jest gorzej, ale tutaj cytuje się akty prawne" – wyjaśniają na forum.

– W Polsce jest ogromna presja na zdobycie dyplomu wyższej uczelni – komentuje prof. Mariusz Jędrzejko z Centrum Profilaktyki Społecznej, wykładowca akademicki, promotor prac dyplomowych. – To nie tylko patologia edukacji, lecz także całego systemu – za dużo ludzi studiuje, a wykształcenie wyższe jest wymagane na stanowiskach, gdzie wystarczy być dobrym technikiem lub mieć maturę, np. na poziomie urzędu gminy, miasta, w urzędach branżowych. W efekcie spośród absolwentów szkół średnich 80 proc. idzie na studia, podczas gdy w Szwajcarii to tylko 25 proc. Wielu studentów nie szuka na wyższych uczelniach wykształcenia i intelektualnego awansu, tylko chce po prostu zdobyć dyplom. System wymagający wyższego wykształcenia zmusza ich do szukania nienormatywnej innowacji. Zgodnie z tym, co pisał socjolog Robert Merton, społecznie akceptowalne cele osiągają społecznie nieakceptowanymi, przestępczymi metodami – tłumaczy prof. Jędrzejko.

Szacuje, że nawet od kilkunastu do 20 proc. licencjatów to prace „wspomagane", a wśród prac magisterskich ok. 10 proc. – Ale ta patologia sięga już doktoratów, szczególnie osób funkcyjnych, dla których tytuł „dr" to rodzaj prestiżu. Jest to nierzadko swoisty układ ludzi nauki z lokalną polityką, szefami instytucji, a nawet osobami mundurowymi. Dyrektor departamentu doktor brzmi inaczej niż dyrektor departamentu, tak samo jak pułkownik doktor to więcej niż pułkownik. Niestety w Polsce ujawnili się ludzie wyspecjalizowani w takim „wspomaganiu". Tak powstają nieformalne sieci. Grupy piszące prace za pieniądze korzystają z zaawansowanych narzędzi informatycznych, które pozwalają kompilować kolejne prace z tysięcy już powstałych – opisuje proceder prof. Jędrzejko.

ŹRÓDŁO: WIKIPEDIA

Uczelnie podkreślają, że do walki z nieuczciwymi studentami mają system antyplagiatowy. – Uniwersytet Warszawski, zgodnie z obowiązującymi przepisami, wdrożył procedurę badania każdej pracy dyplomowej przed obroną pod kątem jej ewentualnych zbieżności z wcześniejszymi pracami i innymi materiałami. Badanie jest wykonywane poprzez Jednolity System Antyplagiatowy, administrowany przez Ministerstwo Edukacji i Nauki, zgodnie z wymogami ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce – tłumaczy dr Anna Modzelewska, rzecznik prasowy Uniwersytetu Warszawskiego. I dodaje: – Funkcje Jednolitego Systemu Antyplagiatowego nie umożliwiają stwierdzenia, czy dana praca została napisana przez kogoś innego, mogą jedynie wskazać podobieństwa do innych prac i materiałów.

Adrian Ochalik, rzecznik Uniwersytetu Jagiellońskiego, podkreśla jednak, że system antyplagiatowy nie jest bez szans w starciu z pracą napisaną nie przez studenta. – Niejednokrotnie prace przygotowywane na zamówienie stanowią kalki. W całości lub fragmentarycznie pojawiają się w nich treści wykorzystane podczas przygotowywania prac dla innych klientów. Z detekcją takich zwielokrotnionych treści systemy nie mają kłopotów, szczególnie jeżeli wszystkie prace są deponowane w ich bazach – wskazuje.

Profesor Jędrzejko w skuteczność programów jednak powątpiewa. – W procederze pisania prac na zamówienie uczestniczą osoby z tytułami naukowymi, i to nie tylko magistrzy. Doskonale wiedzą, jak trzeba przeredagować tekst, by nie wykrył tego program antyplagiatowy – mówi. I dodaje, że jest w stanie rozpoznać pracę, która nie jest przygotowana samodzielnie przez jego studenta. – Widać to po używanym w niej języku, nieadekwatnym do tego, którym posługują się współcześni młodzi ludzie, lub po wykorzystywanych źródłach wiedzy. W dzisiejszych czasach studenci posługują się wąskim zakresem publikacji, często jako źródło podają Wikipedię lub mało znaczące prace, nie korzystają z artykułów w czasopismach naukowych. Nasza praca polega na sugerowaniu źródeł wartościowych, empirycznie weryfikowalnych – mówi wykładowca.

Adrian Ochalik przyznaje, że kadra naukowa ma ważne zadanie do wykonania. – Wykorzystanie systemów antyplagiatowych do weryfikacji oryginalności prac dyplomowych zawsze ma charakter wspomagający osąd osoby sprawdzającej, czyli promotora – podkreśla. – Aby uniknąć niepożądanych sytuacji w postaci przedkładania prac, których oryginalność i samodzielność są kwestionowane, muszą być stworzone warunki pracy, a raczej współpracy między promotorem a autorem, pozwalające na bliską i systematyczną oraz dającą pole na kreatywność kooperację – dodaje.

To, jak wiele „firm" piszących prace oferuje studentom swoje usługi, pokazuje jednak, że w dobie masowego studiowania wielu promotorów nie umie albo nie chce zmierzyć się z tematem przedkładania cudzych prac jako własnych. Prace autorstwa rozbitej przez śledczych grupy były bronione na uczelniach w całej Polsce. Ci, którzy je zakupili i obronili, nie mogą spać spokojnie. Muszą się liczyć z tym, że rektor w drodze decyzji administracyjnej unieważni ich dyplom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Śmierć w Świnoujściu

Piotr Gociek

„Klangor" to kryminał, który łączy wady i zalety polskich produkcji tego typu. Chciałoby się czegoś więcej

Kłopot z polskim kryminałem na ekranie (dużym i małym) podobny jest do naszych kłopotów z reprezentacją piłkarską: z jakiegoś powodu suma dobrych elementów nie składa się na dobry wynik końcowy. Piłkarzy mamy dobrych albo bardzo dobrych, ale drużynę taką sobie. Z kryminałem jest podobnie: mamy świetnych operatorów, bardzo dobrych aktorów, niezłych reżyserów i dobrych pisarzy. A na końcu jest, jak jest: Jak ma zachwycać, kiedy nie zachwyca?

Paradoks: przecież żyjemy w czasach nadmiaru, inflacji popkultury, serwisy ścigają się ze starymi kablówkami, do kin wchodzi (teraz na VOD, bo pandemia) rekordowa liczba premier, tradycyjne telewizje nie zostają w tyle. Powstają więc kolejne kryminalne opowieści, bo jest popyt. A efekt? Zastanawialiśmy się niedawno z Łukaszem Adamskim, kiedy ostatnio widzieliśmy naprawdę dobry polski kryminał. – „Fotograf" Waldemara Krzystka – rzekł Łukasz. Cóż, to rok 2015. Ja odparłem: – Serial „Rojst" Jana Holoubka. Czyli rok 2018. Przy czym dodać trzeba, że serial dobry, ale koniec skopany.

O wszystkim tym myślę po obejrzeniu pierwszych odcinków nowego serialu Canal Plus „Klangor". Nie jest to serial zły. Ale bardzo dobry też nie jest. Klasyczny przykład polskiego kłopotu z kryminałem. Teoretycznie wszystko jest OK, więcej niż OK, po prostu skazani na sukces. Wychodzi, jak wychodzi.

Za reżyserię zabrał się Łukasz Kośmicki. Ćwierć wieku temu obiecujący autor zdjęć (m.in. wyśmienitej roboty w filmie „Gry uliczne"), potem po prostu ceniony autor zdjęć, obecnie także reżyser. Dużo roboty telewizyjnej i debiut kinowy „Ukryta gra" (2019) – nagroda na festiwalu w Gdyni za montaż oraz Nagroda Specjalna Jury za „propozycję doskonale zrealizowanego kina gatunkowego". W rolach głównych znani, cenieni i utalentowani: Arkadiusz Jakubik, Maja Ostaszewska, Wojciech Mecwaldowski, Aleksandra Popławska. Piękne zdjęcia Witolda Płóciennika. Muzyka Mikołaja Trzaski, którego trudno nie podziwiać za dokonania w filmach Wojciecha Smarzowskiego.

TRUP W MROCZNYM MIEŚCIE

Trafiamy w „Klangorze" do Świnoujścia. Miejsce piękne, miejsce malownicze, ale tym razem wykorzystane w sposób charakterystyczny raczej dla skandynaw-

eprasa.pl 25fbc9c3e1

REŻ. ŁUKASZ KOŚMICKI
„KLANGOR"
POLSKA 2021

skich kryminałów: szare, by nie rzec mroczne, nad burzliwym morzem, o niebie zaciągniętym chmurami. W tym świetle także i dusze ludzkie nie mogą wydawać się czyste. No i nie są. Trup unosi się na wodzie – to młody chłopak, którego rówieśnicy znają jako sprawnego sprzedawcę dopalaczy. Jednocześnie z miejscowego więzienia ucieka niebezpieczny, niezrównoważony osobnik, pozostawiając straszliwą jatkę w celi oraz pełnego wyrzutów sumienia więziennego psychologa Rafała Wejmana (Arkadiusz Jakubik) – źle ocenił niebezpieczeństwo, nie sądził, że zabójca jest tak niebezpieczny, jego wina, jego bardzo wielka wina.

Jednocześnie w tajemniczych okolicznościach znika córka Wejmana. Ponieważ dobrze znała młodego denata, szalejący z rozpaczy rodzice (żonę Jakubika, Magdę Wejman, gra Maja Ostaszewska) postanawiają ukryć ten fakt przed policją. Boją się, że nastoletnia Gabi (Matylda Giegżno) może być zamieszana w śmierć kolegi. Jeśli tak, to chcieliby najpierw sami z nią porozmawiać, sami ją odnaleźć i pierwsi usłyszeć prawdę. A potem razem, jako rodzina, stawić czoła temu, co nieuniknione.

Są i inne tropy: ktoś w więzieniu handluje dopalaczami, wśród osadzonych dzieją się dziwne rzeczy, można podejrzewać, że strażnicy są zamieszani i w narkobiznes, i w ucieczkę Emila Knapika (Konrad Eleryk). Ciekawa jest także dynamika między młodymi bohaterami „Klangoru", prócz zaginionej Gabi jest i jej siostra Hania (Katarzyna Gałązka), są i inne postacie. A w tyglu nastoletnich emocji kipią miłość, zazdrość, pożądanie.

Wiele rzeczy podobało mi się w „Klangorze". Arkadiusz Jakubik jest znakomity, tradycyjnie potrafi wydobyć z granych przez siebie postaci stroskanych everymanów więcej, niż zapisano mu na kartce. Świetna jest cała młoda obsada, zwłaszcza dziewczęca. Zdjęcia, jak wspomniałem, na poziomie. Atmosfera ponura, a jakże: „Świnoujście noir" napisał ktoś w internetowej recenzji. Dobrze też, że trafiamy między zwykłych ludzi, z dala od tefauenowsko kolorowej Warszawy i papierowych ludzików. Rodzina Wejmanów to taka nasza średnioniższa klasa średnia, on na państwowej posadzie, ona pracuje w Niemczech jako opiekunka osób starszych.

A jednak wszystko to nie składa się w całość wychodzącą ponad przeciętność. Tak, wiem, nie można oceniać kryminalnej fabuły dopóty, dopóki nie doczekamy końca, dopóki wszystkie przewrotki i puenty nie znajdą się na swoim miejscu i nie zostaną ujawnione. Możemy jednak już wcześniej oceniać, jak rzecz jest opowiadana, jak zagrana, jak prowadzona. A tu zaczyna się już lista grzechów.

Co było dla mnie wielkim zaskoczeniem, choć Jakubik świetny, to słabo wypadają doświadczone aktorki: Maja Ostaszewska i Aleksandra Popławska. Inna sprawa, że nie mają za bardzo z czego budować, bo dialogi czasem zanadto przypominają telenowelę – wsłuchajcie się w domowe rozmowy państwa Wejmanów. Z drugiej strony klątwa Pasikowskiego i Vegi unosi się nad serialowym Świnoujściem, to znaczy inne dialogi – te między facetami – nie mogą się obejść bez najpopularniejszego zdania w dziejach popkultury III RP, czyli „Co ty mi tu k…. będziesz p.....ć".

BEZ RYZYKA

Wielką karierę zrobiło ostatnio sformułowanie „slow burn", znaczy opowieści, które rozwijają się pomału, grają nastrojem i tajemnicą, pracowitym budowaniem postaci bohaterów, hipnotycznym, wolnym prowadzeniem widza w mroczne pułapki zastawione w dalszej części opowieści. Chwytu tego zaczęto moim zdaniem mocno nadużywać, bo taka jest obecnie natura telewizyjnego biznesu. Wszyscy chcą mieć serie albo miniserie, zatem to, co mogłoby być pasjonującym dwugodzinnym thrillerem, staje się naraz czteroczęściowym serialem, a to, co mogłoby być świetnym czteroczęściowym serialem, staje się nagle 10-odcinkowym sezonem – najlepiej pierwszym sezonem, bo w następnych latach też trzeba zarobić. Także „Klangor" cierpi na tę chorobę. Akcję pierwszych dwóch odcinków dałoby się opowiedzieć w jednym i byłby wtedy naprawdę pasjonujący. Ale nie, trzeba napawać się robotą operatorską, która zdaje się mocno odklejona od reszty. Cenię ładnie skomponowane kadry i nastrojowe ujęcia, ale powinny fabułę opowiadać, a nie rozciągać (pamiętacie „W głębi lasu", czyli serial Netflixa sprzed roku? Ależ to był gumiś, znaczy guma rozciągnięta niemożebnie – materiału na trzy godziny, ale odcinków sześć).

Kusi mnie, by winić reżysera Łukasza Kośmickiego, bo ciągnie wilka do lasu: kto spędził ćwierć wieku jako operator, dopieszczając obrazki, ten reżyserując, może ulec pokusie nadmiernego zwracania uwagi na ten akurat element. Ale nie, przecież w „Ukrytej grze" opowiadał wartko i obraz z tekstem współgrał lepiej (może dlatego, że Kośmicki sam sobie napisał scenariusz?). „Klangor" zaś zbyt często zamienia się w „snuj noir" – przynajmniej na razie.

Skoro już padło słowo scenariusz. Czytam w materiałach promocyjnych, że powstał dzięki warsztatom prowadzonym przez producenta i nadawcę, znaczy Canal Plus. Debiutuje nim absolwent łódzkiej filmówki (wydział scenariopisarstwa) Kacper Wysocki. Może tu tkwi problem? Nie w tym, że debiut, bo obciachu nie ma, ale w tym, że jak długo nadawcy będą produkować takie rzeczy, jakie już inni kiedyś (albo oni sami wcześniej) wyprodukowali, tak długo nic świeżego, przełomowego się na małym ekranie nie pojawi? A przecież chciałoby się, żeby debiutanci wchodzili do biznesu z kopa, wywalając drzwi z futryną, z zaskakującymi oryginalnymi pomysłami, ze świeżym spojrzeniem.

Tymczasem w „Klangorze" za dużo rzeczy wygląda na pożyczone z innych niewyrastających ponad elegancką przeciętność produkcji. Znając kulisy polskiego szołbiznesu, szybciej winiłbym za to nie debiutanta scenarzystę, lecz tych, którzy w imieniu producenta przekazywali mu oczekiwania i wskazówki. Świętą zasadą telewizyjnej rozrywki nad Wisłą jest bowiem „robić tak, jak już było, broń Boże nie ryzykować". Nie doczekamy się więc swojej „Rodziny Soprano", „Breaking Bad" czy „Broadchurch" albo „Bodyguarda". Jest „Klangor", który wstydu nie przynosi, ale na symbol międzynarodowej kampanii „patrzcie, jak dobrze robimy to w Polsce!" też się nie nadaje. Bo na przykład Czesi albo Rumuni robią lepiej – obejrzyjcie seriale HBO „Pustkowie" oraz „W cieniu".

Żeby litania mych narzekań była pełna, oczywiście dołożę do tego pieniądze. Mamy świetnych autorów kryminałów, ale pech w tym, że najlepsi robią w bardzo drogim podgatunku: kryminale retro. Dawno już powinniśmy mieć seriale wedle powieści Marka Krajewskiego, Marcina Wrońskiego czy Marcina Ciszewskiego, ale za dużo trzeba na te zabawy wydać. Na pomysł, by po prostu porządnie zapłacić tym specom za dobre współczesne scenariusze, nikt jakoś dotąd nie wpadł. Ciekawe dlaczego – ale to już temat na całkiem inne rozważania. Na razie muszą wystarczyć budżety na wycieczkę do Świnoujścia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Latarnie świecące nad Polską

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Spośród wszystkich maryjnych miejsc kultu w Polsce najważniejszym jest obecnie klasztor na Jasnej Górze

FOT. ADOBE STOCK

Z Jackiem Kowalskim, historykiem sztuki, poetą i pieśniarzem

rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Polska pobożność trwa mimo gwałtownej sekularyzacji?

JACEK KOWALSKI: Paradoksalnie właśnie teraz rozrasta się i rozbudza. Teraz, kiedy część polskiej wspólnoty zdaje się zwracać przeciwko wierze i szeroko rozumianej tradycji, reszta Polaków tym intensywniej szuka Boga i znaków Jego obecności. Tak więc niektóre formy tradycyjnej pobożności zdają się obumierać (nad czym boleję), a zarazem odradzają się z zastanawiającą siłą. I powstają nowe. I tak nasza narodowa pielgrzymka ku Bogu trwa, a nawet jest coraz intensywniejsza. Zmienia się jedynie liczba ludzi, którzy ją podejmują...

Polską pobożność można też mierzyć pielgrzymkami, które dzieją się w czasie i przestrzeni – pielgrzymkami do świętych miejsc. Konkretnych. Czy ich obfitość nie jest szczególnym wyróżnikiem naszego katolicyzmu?

Tak i nie. Chrześcijańskie sanktuaria są bowiem, albo raczej były, właściwie wszędzie tam, gdzie dotarła Ewangelia. Nie ma jednak wątpliwości, że wyróżnia nas mnogość sanktuariów poświęconych Matce Bożej, które w naszej ojczyźnie przewyższają liczbą wszystkie inne. Nie traci więc aktualności sławne zdanie Piotra Hiacynta Pruszcza, zapisane w połowie XVII w.: „Zaprawdę w Polsce naszej nie masz miasta, rzadka wieś z kościołem, w którymby się obraz Najświętszej Maryi Panny nie znalazł cudowny". Nie mogę tu nie zaświadczyć, że i w mojej miejscowości rodzinnej, Kórniku pod Poznaniem, mamy w naszej kolegiacie sanktuarium Matki Boskiej Kórnickiej Różańcowej. Wokół Jej obrazu wiszą wota świadczące o kulcie trwającym nieprzerwanie od prawie 400 lat.

Pan wspomniał o sanktuarium w Kórniku, ale przecież w nieodległych Tulcach jest inne sanktuarium maryjne będące celem dorocznej pielgrzymki we wrześniu. A zatem – rys maryjny to cecha szczególna naszych sanktuariów?

Nie brakuje wprawdzie sanktuariów Pana Jezusa, są też sanktuaria świętych – ale, powtórzę, mnogość miejsc kultu Matki Bożej to wyróżnik ziemi polskiej. Mimo że na całym świecie sanktuariów maryjnych jest bardzo wiele. Wyróżnia nas też Jasna Góra. Jej status. To, co dzieje się na Jasnej Górze, każe wierzyć, że tam rzeczywiście bije serce narodu. Słowa padające z wałów częstochowskiego klasztoru często mają wyjątkową wagę.

Tutaj zawsze byliśmy wolni – mawiał papież Jan Paweł II.

I tak jest do dziś, choć na pewno nie dla wszystkich, bo przecież są między nami odstępcy. Coraz liczniejsi i coraz śmielsi, i mający coraz mniej skrupułów. Jeśli jednak za cel swoich ataków obierają właśnie Matkę Boską Częstochowską, królową naszej wolności, to uderzając w Nią, tym samym potwierdzają wagę Jej Osoby i tego konkretnego Jej wizerunku dla naszej ojczyzny, rangę miejsca, w którym Ona wciąż jest.

Dlaczego właśnie Jasna Góra zyskała taki szczególny status, prymat przed innymi sanktuariami?

Na takie pytanie nigdy nie da się odpowiedzieć definitywnie. Są w duchowym życiu narodu tajemnice, których nie jesteśmy w stanie zgłębić. Można sobie oczywiście dywagować. Jak wiadomo, rola i popularność poszczególnych sanktuariów zmieniała się przez wieki, a u ich początku stały zwykle objawienia albo niezwykłe wydarzenia – cuda, albo przedmiot – obraz, figura, albo też relikwie. Niekiedy sprawa popularności tego czy innego sanktuarium wydaje się oczywista, skoro uzyskało w swoim czasie wsparcie osób wpływowych, monarchów, magnatów, łożących na budowę albo przekazujących szczególnie czczone relikwie. Wiele jednak było w naszych dziejach cudownych wydarzeń, wiele dobrodziejów, a tylko niektóre sanktuaria zyskały szerszy i dłuższy rozgłos. Za najstarsze i początkowo najważniejsze

eprasa.pl 25fbc9c3e1

w Polsce trzeba oczywiście uznać katedrę gnieźnieńską z grobem św. Wojciecha, głównego patrona Polski. Potem dopiero wzrosły inne, a pomiędzy nimi wawelskie sanktuarium św. Stanisława, drugiego z naszych patronów pryncypalnych. W końcu średniowiecza za jedno z najważniejszych i najstarszych sanktuariów uznawano kościół i klasztor Benedyktynów na Łysej Górze – Świętym Krzyżu – z relikwiami Krzyża Świętego. Stąd król Jagiełło wyruszał na swoje wyprawy, tam poświęcał swoje przedsięwzięcia Panu Bogu. Od początku XV w. wielkim szacunkiem darzono poznańskie sanktuarium Bożego Ciała, przechowujące Najświętszy Sakrament odnaleziony na ówczesnych błoniach podmiejskich w roku 1399, w miejscu, w którym stanęły i stoją do dziś kościół oraz klasztor. A wreszcie Jasna Góra. Od samego początku cieszyła się sławą i szacunkiem, a założona została zapewne za sprawą św. Jadwigi Królowej. Tejże Jadwidze zawdzięczamy prawdopodobnie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej (w tradycji klasztoru wskazuje się na księcia Władysława Opolczyka, ale ten działał bodaj w imieniu Jadwigi). W dalszych wiekach, szczególnie w stuleciach XVII i XVIII, wzrastały kolejne miejsca święte.

Gdyby miał pan wskazać dwa najważniejsze?

To chyba wskazałbym Wawel i Jasną Górę. Kiedy wchodzę do katedry wawelskiej, przeszywa mnie prawdziwy dreszcz i zawsze odczuwam wtedy, że nie kłamie piosenka: „Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj". Tam leżą nasi prorocy i królowie, tam jakby materializują się nasze dzieje – wokół grobu św. Stanisława. Ale to jednak Jasna Góra jest do dziś Bożą latarnią nad Polską. Na Jasnej Górze dzieje się, to co na Wawelu trwa. Na Wawelu promieniuje pamięć, na Jasnej Górze historia przyspiesza.

Dla ukształtowania się w polskiej świadomości wyjątkowej pozycji Jasnej Góry znaczenie miała chyba obrona częstochowskiego klasztoru w czasie potopu szwedzkiego?

Oczywiście. Wpływ tego wydarzenia starano się czasem pomniejszać, ale jego waga nie ulega wątpliwości. Wprawdzie obrona Jasnej Góry na przełomie lat 1655 i 1656 była nieistotna, jeśli brać pod uwagę intensywność walk i nikłe strategiczne znaczenie tej twierdzy. Znane z „Trylogii" opisy krwawych zmagań są przesadzone; tak źle nie było, klasztor żadnych wielkich strat nie poniósł ani też oblegający Szwedzi aż tak nie ucierpieli. Jednak wieść o ataku na Matkę Bożą i o skutecznej obronie rozeszła się lotem błyskawicy po Rzeczypospolitej i wywołała wielkie poruszenie właśnie w chwili, gdy kraj budził się do walki z najeźdźcą. To miało niesłychanie ważkie następstwa. Jak najbardziej militarne i strategiczne.

To, co wydarzyło się pod murami Jasnej Góry, można więc uznać za punkt zwrotny całej kampanii...

Tak. Co ciekawe, wydarzeniem ważniejszym z punktu widzenia militarnego była obrona Jasnej Góry w czasie konfederacji barskiej. Twierdza częstochowska dawała mocne oparcie konfederacji, a opierała się Rosjanom praktycznie aż do rozbioru. Zresztą nie została zdobyta – konfederaci skapitulowali wobec ustania walk i wejścia obcych armii w głąb Rzeczypospolitej, kiedy nadzieja na zmianę sytuacji wygasła. I nie ma wątpliwości, że także wówczas sanktuarium jasnogórskie odgrywało rolę duchowego centrum Rzeczypospolitej. A co działo się później, przez cały wiek XIX, kiedy rozkwitły warszawskie pielgrzymki na Jasną Górę? A w latach PRL? Czy to nie jakiś cud, że w państwie rządzonym przez komunistów ileś milionów ludzi z całego kraju w jednym momencie przybyło do Częstochowy, żeby ślubować wierność Matce Bożej?

To Jasna Góra. Ale czy sanktuaria w ogóle nie są współcześnie ostojami czy wręcz fortecami polskiej tożsamości? Na przykład sanktuarium w Gietrzwałdzie? Miejsce jedynych uznanych przez Kościół objawień maryjnych w Polsce? Wydawać by się mogło, że choćby z tej przyczyny Gietrzwałd powinien być promieniującym polskim sanktuarium. A przecież trudno porównywać go Jasnej Góry.

Trudno porównać. Ale skoro o porównaniach mówimy, to zaznaczmy, że są jednak sanktuaria, które z Jasną Górą porównać można, nie tylko jeśli chodzi o liczbę pielgrzymów. Przede wszystkim Ostra Brama i Matka Boska – Wielka Księżna Litewska. Młodsza od częstochowskiej, ale jakże ważna! Potem na przykład Licheń. Niesłychany fenomen. A fenomen Kalwarii Zebrzydowskiej? A Góra Świętej Anny? Ale, ale, pominęliśmy jeszcze jedną rzecz, na której też wypada się chwilę skupić – charakter polskiego pielgrzymowania. Wciąż katolicki. Proszę spojrzeć na losy najpopularniejszego szlaku pielgrzymiego w Europie – do Santiago de Compostela. Podążają nim również, zaznaczam: również, ludzie pobożni, ale więcej jest chyba poszukiwaczy tzw. duchowości, czyli mydła à la Paulo Coelho, które z pobożnością chrześcijańską nie ma nic wspólnego. Otóż my w znacznym stopniu wciąż jesteśmy inni. Nie neguję, że w Europie mamy też licznych pobożnych pielgrzymów, wystarczy wspomnieć majową pielgrzymkę Paryż–Chartres, świadectwo silnej, mocnej wiary... Ale jednak...

Mogę poświadczyć, wędrowałem do Composteli – często na poszczególnych etapach nie było nawet gdzie pójść na mszę świętą i jakby nikogo to nie dziwiło.

Za to na pielgrzymce do Chartres jest hiperkatolicko, a organizacja chyba sprawniejsza niż u Słowian... A mimo to nadal możemy mówić, że polskie pielgrzymowanie do polskich sanktuariów wyraża naszą odmienność – bardziej katolicką w jakże zdechrystianizowanej już Europie. Wszak nam msza święta wciąż wydaje się oczywistą koniecznością podczas pielgrzymki. Tak samo i spowiedź. Aczkolwiek trzeba mieć świadomość, że nic nie jest dane wiecznie. Narody rodzą się i umierają jak ludzie, a do nieba nie idą, bo duszy nieśmiertelnej nie mają. Tak samo sanktuaria, miejsca święte. Mogą kiedyś zniknąć i ślad po nich nie pozostanie. Spójrzmy na Konstantynopol. Dzisiaj Stambuł. Spójrzmy na Efez. Na Antiochię. Miasta uświęcone niegdyś tysiącem relikwii, cudownych obrazów... których już tam nie ma. Kto nam zaręczy, że nie stanie się tak i z nami?

Powróćmy lepiej do pierwszego akcentu tej rozmowy. Jesteśmy świadkami powstawania nowych sanktuariów o wielkiej duchowej sile. Na przykład w Sokółce...

Są też starsze, które przeżywają rozkwit – takie jak Łagiewniki...

... albo sanktuarium Świętego Józefa w Kaliszu. Nie ma pan wrażenia, że w czasie kryzysu instytucji ojcostwa, wzorców męskości obserwujemy wzmożenie kultu do opiekuna Świętej Rodziny?

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Tak. Można chyba powiedzieć, że to dopiero dziś, w te dwie–trzy dekady po transformacji, polski Kościół otwiera nowy rozdział swojej historii. Mówię o swoich odczuciach, bo nie jestem socjologiem: odczuwam, że następuje jakaś jakościowa zmiana polskiej pobożności. Może dotyczy to właśnie tych spraw, o których wspólnie staramy się powiedzieć?
Z jednej strony spada jej masowość i mamy mniej księży w seminariach. Widać też grupy osób świeckich, organizacje i redakcje rzekomo „katolickie", opowiadające się po „złej stronie mocy". Tak jakby ich świadomość gdzieś odleciała, nawet jeśli formalnie wciąż pozostają w Kościele. Obok zjawiają się jawni już apostaci. No cóż, nihil novi, „przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i sowiecki". Jednocześnie przecież coś się w polskim Kościele obudziło. Zarówno wśród hierarchii, jak i pośród wiernych. Nowe inicjatywy, wśród których są też pielgrzymkowe czy związane z różnymi sanktuariami. Pan mówi o kulcie Świętego Józefa; są pielgrzymki mężczyzn. Uderzające, że ten ruch widać w różnych miejscach, w różnych grupach społecznych. Objawia się czasami w sposób zadziwiający. Bardzo mnie to cieszy i wzrusza. Bóg działa przez świętych, święci są wśród nas, a my wraz z nimi podążamy w pielgrzymce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Kowalski – historyk sztuki, wykładowca, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, tłumacz, pieśniarz.

REKLAMA

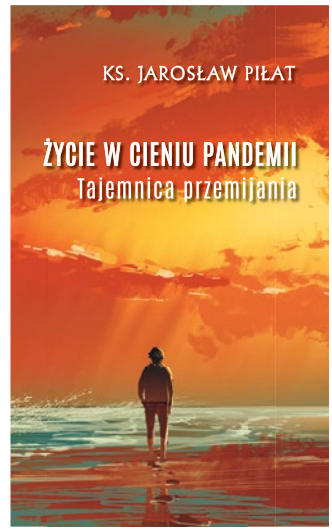

Wydawnictwo bernardinum POLECA:

KS. JAROSŁAW PIŁAT
ŻYCIE W CIENIU PANDEMII

Aktualny komentarz duchowy do obecnego czasu!

Lektura tej książki niesie –
używając słów św. Franciszka z Asyżu –
światło w mroku, nadzieję w strapieniu,
radość w smutku.

Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o.
tel. +48 58 531 64 81, kom. 662 014 683
www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl; zakupy@bernardinum.com.pl

REKLAMA

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

Część prawdy

★★★★★★

REŻ. KEVIN MACDONALD
„MAURETAŃCZYK" („THE MAURITANIAN")
WIELKA BRYTANIA/USA 2021

wyst. Tahar Rahim, Jodie Foster, Benedict Cumberbatch

Zwykle w sądowych dramatach role rozpisane są w sposób oczywisty. Wspomnijcie, ileż razy samotny szlachetny prawnik stawał naprzeciw bogatszych i bardziej bezwzględnych adwokatów najętych przez wielkie korporacje. W „Mauretańczyku" przedstawiciele obu stron szybko dochodzą do wniosku, że nie są wrogami – ich wrogiem jest system. Nancy Hollander (nagrodzona za tę rolę Złotym Globem Jodie Foster) broni jednego z więźniów Guantanamo, Stuart Couch (Benedict Cumberbatch) ma wyszykować dla tegoż akt oskarżenia z żądaniem kary śmierci włącznie. Ale kiedy odkryją, jakimi metodami wymuszano zeznania, będą jednako zniesmaczeni.

Historia mniej więcej wydarzyła się naprawdę, Mohamedou Ould Slahi (Tahar Rahim) opisał swoje 14-letnie uwięzienie (bez oficjalnych zarzutów, bez rozprawy) w książce „Dziennik z Guantanamo". Do pewnego momentu zdawało się, że rekrutował terrorystów dla zamachowców, którzy zaatakowali Amerykę 11 września 2001 r., chociaż co do faktu, że był szkolony dekadę wcześniej przez Al-Kaidę, wątpliwości nie ma. „Mauretańczyk" to film niewygodny dla wszystkich stron. Dla Busha, Rumsfelda i US Army, bo oskarża ich o czyny niegodne. Dla Baracka Obamy, który przy okazji napisów końcowych wywołany jest po nazwisku: obiecywał zamknięcie bazy, nie uczynił tego. A także dla współczesnej narracji lewicowo-liberalnej, bo wprost pokazuje, że Couch nie mógł oskarżyć Slahiego, gdyż był głęboko wierzącym chrześcijaninem. Wiara i honor: to jego credo.

Niepokoi jednak to, czego na ekranie nie pokazano. Nancy Hollander, zwana w USA „prawniczką terrorystów", nie jest wcale taką świetlaną i jednoznacznie pozytywną postacią. Nie każdy więzień w pomarańczowym kombinezonie to niewinna ofiara systemu – a takie przekonanie buduje w nas ta opowieść. Tymczasem, skoro nawet świecki święty Obama nie zdecydował się na zamknięcie Guantanamo, musiał widać zobaczyć coś w tajnych dokumentach na tyle niepokojącego, że zgodził się ze zwolennikami rozwiązań siłowych. Nie chodzi wcale o to, by kwitować całą historię cynicznym: „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą", bo nie ma usprawiedliwienia dla katowania niewinnych. Ale warto pamiętać, że Kevin Macdonald (autor m.in. świetnego „Ostatniego króla Szkocji") pokazał tylko część prawdy. ©℗

NOWE SERIALE: „INVINCIBLE"

prime video

Animowana ekranizacja serii komiksowej wymyślonej przez Roberta Kirkmana (stworzył też „The Walking Dead") to zarówno krwawy pastisz opowieści o superherosach, jak i kolejny rozdział w ich historii. Nastoletni bohater zmaga się z problemami wieku dorastania niczym Peter Parker (Spider-Man), ale największy problem ma z ojcem, wszechpotężnym przybyszem z obcej planety. Bo pomyślcie: Jak ciężko byłoby dorastać jako syn Supermana (w serialu i komiksie – Omni-Mana), zwłaszcza gdy ów twardziel okaże się mniej przyjazny Ziemianom, niż dotąd sądzono. ©℗

Piotr Gociek

• ***sezon 1 „Invincible", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *„sezon 2* ***„Miasto na wzgórzu" („City On the Hill")****, USA 2020* HBO GO

• *reż. Lee Daniels* ***„Billie Holiday" („The United States vs. Billie Holiday")****, USA 2021* CINEMAN

• *reż. Ben Falcone* ***„Thunder Force"****, USA 2021* N

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Złoto i celuloid

▶ NINATEKA

Czy można opowiedzieć historię miasta zdjęciami i fragmentami niemych filmów? Owszem, jeśli miasto nazywa się Paryż lub Dawson City. Osada, położona na granicy Kanady i Stanów Zjednoczonych, swe istnienie zawdzięcza gorączce złota, kruszcu znalezionego na terenach łowieckich Indian, nad rzeką Klondike. Osiemdziesiąt lat później, podczas budowy nowego centrum rekreacji, dokonano kolejnego wiekopomnego odkrycia. Spod dawnego lodowiska wydobyto ponad 500 rolek celuloidowej taśmy. Bliższe oględziny wykazały, że są to kopie nieznanych filmów z początku XX w. „Tutaj był koniec świata, nie dało się ich dalej posłać, więc zostały" – wyjaśniła starsza pani, pamiętająca czasy, gdy Dawson City zaczęło się cywilizować. Walutą przestał być złoty pył, większość poszukiwaczy udała się na Alaskę, wysiedlono prostytutki, pozamykano burdele i tancbudy. Gdy nastała epoka kina dźwiękowego, stare filmy uznano za bezwartościowe i niebezpieczne, bo łatwopalne. Odkrycie ożywiło wspomnienia o czasach, gdy na ulicy można było spotkać przyszłego hollywoodzkiego potentata sprzedającego gazety, młodego Marka Twaina tudzież Freda Trumpa, właściciela pobliskiego burdelu i restauracji, serwującej przede wszystkim koninę. Dokument jest trochę przydługi, lecz godny polecenia wszystkim, którzy nie mają uczulenia na nieme kino. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. BILL MORRISON
„DAWSON CITY" („DAWSON CITY: FROSEN TIME")
USA 2016

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BYĆ JAK BOGART

HBO GO

Pecunia non olet. Ta sama platforma streamingowa, która oferuje serial oskarżający Woody'ego Allena o praktyki kazirodcze, zarabia na udostępnianiu jego komedii. Jednej z najlepszych zresztą. Scenariusz „Zagraj to jeszcze raz, Sam" powstał z myślą o teatrze, lecz jest objawem nieuleczalnej kinofilii, na którą okularnik z Nowego Jorku zapadł jeszcze w dzieciństwie. Allen gra tu porzuconego przez żonę niezdarnego 29-latka. Dopingowany przez widmo Humphreya Bogarta próbuje odreagować porażkę, zostając kolekcjonerem serc niewieścich. Marzy o kobiecie mądrej i seksownej, lecz – jak trzeźwo zauważa jego przyjaciółka – „madame Curie już nie żyje". Pozowanie na twardziela to odwieczny męski sport, więc rzecz, mimo postępów feminizmu, wciąż jest aktualna i nieodparcie zabawna. W odróżnieniu od „Casablanki", psychoanalizy oraz filmów, w których Allen udawał, że jest Ingmarem Bergmanem.

★★★★☆☆
REŻ. HERBERT ROSS
„ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, SAM" („PLAY IT AGAIN, SAM")
USA 1972
wyst. Woody Allen, Diane Keaton, Tony Roberts

COŚ TY ZROBIŁA?

N

Lepsze jest wrogiem dobrego, dlatego wieść o planowanym remake'u „Innych" w euforię nie wprawia. Film Amenábara to ekstraklasa horroru, strach pomyśleć, co zaproponują naśladowcy. Oryginał jest stylowy, jak fryzura Nicole Kidman. Australijska gwiazda, rozstając się z Tomem Cruise'em i sektą scjentologów, była w kiepskiej formie psychicznej, ale znakomitej aktorskiej. Zagrała znerwicowaną matkę, mieszkającą na opanowanej przez Niemców wyspie Jersey. Mąż poszedł na wojnę, a chore dzieci trzeba chronić przed światłem słonecznym. Okupanci nie składają słomianej wdowie wizyt. Może się boją, bo w domu dzieją się rzeczy, które coraz trudniej ogarnąć rozumem. Grace jednak w duchy nie wierzy... „Inni" są balsamem dla duszy znękanej pandemiczną zapaścią kinematografii. Co prawda, oparty na podobnym pomyśle „Szósty zmysł" nakręcono wcześniej, ale to mała łyżeczka dziegciu. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★★★☆
REŻ. ALEJANDRO AMENÁBAR
„INNI" („THE OTHERS")
USA/HISZPANIA/FRANCJA/WŁOCHY 2001
wyst. Nicole Kidman, Fionnula Flanagan, Alakina Mann

GRA TYGODNIA: „MONSTER HUNTER: RISE" ★★★★★★

Capcom dał nam wszystko to, co przyciągało do „MH" na setki/tysiące godzin, a jednocześnie z wyczuciem odświeżył serię, w której polujemy na coraz potężniejsze potwory. Łowcy nigdy nie byli tak zwinni i mobilni (przemieszczanie się niczym Spider-Man z użyciem pajęczej sieci jest świetne!), a żadna poprzednia odsłona nie wprowadzała w skomplikowaną mechanikę gry tak przyjaźnie. Easy to learn, hard to master – trening nadal wymaga mnóstwa cierpliwości, a ukończenie fabuły to znów zaledwie początek przygody. Dodajmy świetną grafikę i polską wersję językową (napisy), a dostaniemy grę, dla której warto kupić konsolę od Nintendo. Poważny kandydat na grę roku na NS. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Capcom, ConQuest Entertainment a.s.*

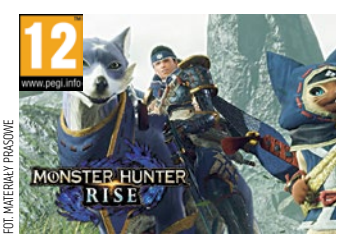

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 25fbc9c3e1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zgoda po polsku

Nic nie znaczymy bez przeszłości, a ci wszyscy, którym solą w oku stoi historia Polski i Polaków, zwłaszcza historia najnowsza, są szkodnikami i zaprzańcami. Bez znajomości naszych dziejów, ich stron chwalebnych, ale i bolesnych, nie zrozumiemy ani tego, co było wczoraj, ani tego, co jest dzisiaj. A wtedy taką powieść jak „Dziecko września" Marka Harnego potraktujemy jako mocno wykoncypowaną jeszcze jedną opowieść o wojnie 1939 r., okupacji i latach powojennych, z postaciami, w których losy autor wpisał tragiczne miejsca i wydarzenia, by w całej okazałości ukazać tragizm tamtego czasu, grając na nucie narodowej martyrologii. W rzeczywistości o tym, co się działo na ziemiach polskich przez pół wieku, do 1989 r. i szczęśliwego końca komunizmu, wiemy wciąż o wiele za mało, a i ta wiedza, którą już w końcu dysponujemy, nie przekłada się na utwory literackie, ze szczególnym uwzględnieniem literatury popularnej. A w tej dziedzinie Marek Harny, autor prekursorskiego w swoim czasie „Urodzonego z wiatru", powieści podejmującej zakazaną w PRL tematykę żołnierzy wyklętych, odważnie przedstawiającą postać Józefa Kurasia „Ognia", jest majstrem, i to nie lada jakim.

Prozaik ten (prawdziwe nazwisko Marek Lubaś) debiutował dawno temu, ale od razu z przytupem, opowiadaniami zebranymi w tom „Unieś mnie, wielki ptaku", za który otrzymał Nagrodę im. Stanisława Piętaka. Potem robił różne rzeczy, głównie parając się dziennikarstwem, a do uprawiania literatury już bardziej serio wrócił właśnie nominowanym do Nagrody im. Józefa Mackiewicza „Urodzonym z wiatru", po którym warto wymienić jeszcze „Zdradę", nawiązującą do lustracji księży w Kościele katolickim, oraz książki ostatnie: „Dwie kochanki" i „Sny wojenne" oraz całkiem nowe „Dziecko września", utwory tkwiące w czasie wojny, ale z przełożeniem na współczesność, która nie może uwolnić się od tego, co było. Nie może i nie powinna.

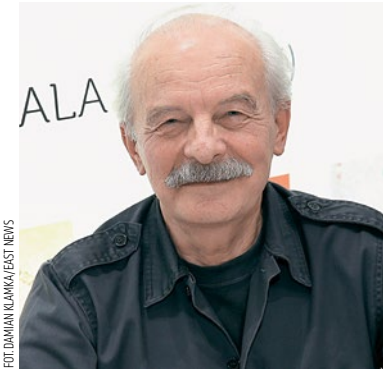

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

„Dziecko września" opowiada o losie kobiety, matki prowadzącego narrację chłopca poczętego dokładnie 1 września 1939 r. Już następnego dnia jego ojciec – jak relacjonowali jego towarzysze broni, którym udało się przeżyć bitwę pod Pszczyną – został zmiażdżony przez niemiecki czołg. Jeden z 316, które posiadała niemiecka 5. Dywizja Pancerna, a którym nasze wojsko przeciwstawić mogło zaledwie 13 tankietek. Następne lata matka Adama, bo takie było imię chłopca, podporządkowała jednemu: uratowaniu życia dziecka. A sama – przed wojną studentka polonistyki – do egzystencji w ciężkich okupacyjnych warunkach kompletnie nie była przygotowana. Do tego rodzice jej mieli za złe naprędce zawarte małżeństwo i dziecko poczęte w noc poślubną. Usiłowała znaleźć oparcie w kolejnych mężczyznach, bez powodzenia jednak, co więcej, doszła do wniosku, że przynosi im pecha, jak swojemu wcześniejszemu adoratorowi, który pojawił się u nich w mieszkaniu, gdy w końcu wojny wrześniowej schronili się na krótko we Lwowie i zaraz został aresztowany przez NKWD. Teresa z małym Adasiem pojechała do ciotki do Krakowa, rodzice jej wrócili do Tarnowa, skąd wkrótce jej ojca Niemcy wywieźli jednym z pierwszych transportów do Auschwitz, gdzie zginął, ona zaś niepostrzeżenie dla samej siebie zaangażowała się w prywatną wojnę z okupantem hitlerowskim i jego pomocnikami, takimi jak policjant we wsi, gdzie się ukrywała, który nadmiernie zainteresował się dzieckiem bez ojca, podejrzewając, że jest żydowskie. Teresa w międzyczasie przeszła gehennę w więzieniu na Montelupich, po czym została wywieziona do obozu w Płaszowie, na szczęście nie bezterminowo. Zwolniona po solidnej łapówce – kobieta miała, na szczęście, zamożną i zaradną przyjaciółkę i protektorkę – schronienie znalazła w lesie, wśród partyzantów. Dalsze jej dzieje, mimo zbliżającej się do finału i w końcu rzekomo zakończonej wojny, nie układają się lepiej.

Nielegalny (bo jaki mógł być inny?) wyjazd na Zachód do zakochanego w niej Anglika kończy się w obozie w dzielnicy Świętochłowic o budzącej zgrozę nazwie Zgoda. W tej filii Auschwitzu sprawuje rządy sadystyczny żydowski oprawca Salomon Morel. Od niechybnej śmierci ratuje ją… wysoko postawiony ubek, dawny pretendent do ręki, który do kraju wrócił z armią Berlinga. A na sam koniec odzywa się jeszcze z Paryża rzekomo poległy pod Pszczyną małżonek. No tego to istotnie trochę za wiele, choć decyzja Teresy, by wyjechać na stałe do Francji, wydaje się absolutnie zrozumiała. Czy jednak pojedzie z nią dorastający już syn, który nie zna innej Polski niż ta, którą zafundowali mu nasi nieocenieni sąsiedzi – z Zachodu i Wschodu?

Mamy takie powiedzenie: zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Jak która. To tylko historię – i tę narodową, i tę prywatną – mamy wciąż jeszcze niedostatecznie znaną. ©℗

★★★★☆

MAREK HARNY „DZIECKO WRZEŚNIA" PRÓSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Złudzenia Kafki

Niemiecki eseista wynotował z listów i dzienników fragmenty, w których Franz Kafka opisuje swoje kinowe doświadczenia. Następnie rozpoczął benedyktyńską robotę: ocalałe filmy obejrzał, te, które się nie zachowały, poznał z recenzji, a czasem tylko z fotosów albo plakatu, bo więcej nie zostało nic. Kafka sporo podróżował, a wszędzie ciągnęło go do kinematografu (do lupanarów także, lecz to temat na inną opowieść). Hanns Zischler sprawdził, które kina jeszcze stoją, dotarł do dawnych prasowych zapowiedzi premierowych seansów, nie zapomniał i o fotoplastykonach – te też budziły wielkie zainteresowanie autora „Procesu".

Zdawać by się mogło, że wszystko to jest przedsięwzięciem akademika zafiksowanego na punkcie bohatera swoich badań, czyli jakże współczesnym dziełem ery, w której naukowcy zamiast ogarniać całość, szatkują rzeczywistość na drobne i chwalą się potem hermetycznymi tekstami. „Kafka idzie do kina" okazuje się jednak książką magiczną, książką zmuszającą do myślenia na kilku poziomach. Oczywiście interesujące jest przyjrzenie się filmowym fascynacjom pisarza i sprawdzenie, jak przekładały się na jego pisanie. Oczywiście jest to też przyczynek do biografii (z kim oglądał, jakimi refleksjami się dzielił). No i wreszcie dostajemy ciekawą panoramę epoki (z grubsza zaczynając od roku 1908). To by już wystarczyło, żeby uznać książkę Zischlera za wartą lektury.

Jest jednak w tym coś więcej. Kafka z jednej strony jest beztroskim widzem, śmieje się wraz z innymi, upaja kinem. Z drugiej zaś studiuje uważnie twarze na fotosach. Porównuje fizjonomie aktorów i napotkanych ludzi. Wspomina kadry, które zrobiły na nim szczególne wrażenie. Czego szuka? Kino jest wtedy sztuką jarmarczną, sztuką w powijakach. Pewnie zatem za wcześnie, by cytować Bergmana wołającego pół wieku później: „Jakimż doskonałym narzędziem do zajrzenia w ludzką duszę jest kamera!". A jednak chyba ten trop jest właściwy. Kafka zanurza się w świat niemej rozrywki z celuloidu, w zbiorowe śnienie, jakim jest kino, i wypatruje znaków, szuka odpowiedzi, których ostatecznie nie znajduje. Tak jak bohaterowie jego utworów zagubieni w świecie dusznych precyzyjnych koszmarów. Jest zatem kino złudzeniem, to prawda. Ale czy to oddala je od życia? W realu też żyjemy przekonani, że pojmiemy wszystko. I też okazuje się to złudzeniem. ©℗

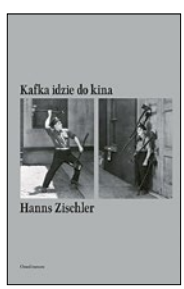

★★★★★☆
HANNS ZISCHLER „KAFKA IDZIE DO KINA" OSSOLINEUM 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Napisana dekadę temu książka jest prorocza – autor opisywał współczesne zagrożenia epidemiczne i przestrzegał, że pandemia wskutek przeniesienia się jakiegoś wirusa zwierzęcego na człowieka musi nadejść. No i nadeszła.

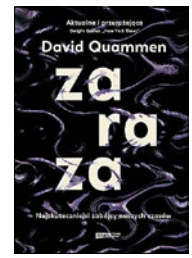

DAVID QUAMMEN „ZARAZA" ZNAK LITERANOVA

Tym tomem „żegnam się z całym moim pisaniem" – deklaruje Loebl, ceniony tekściarz, poeta i prozaik. Oprócz nowych wierszy i piosenek (do których być może ktoś napisze muzykę – warto!) także dwa premierowe opowiadania.

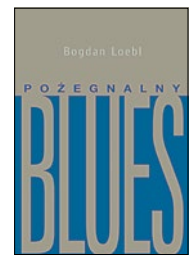

BOGDAN LOEBL „POŻEGNALNY BLUES" OW VOLUMEN

Horror, na podstawie którego Roman Polański nakręcił słynny film z Mią Farrow w roli głównej. Mroczna powieść przetrzymała próbę czasu. Wznowienie, ale po raz pierwszy powieść ukazuje się w twardej oprawie.

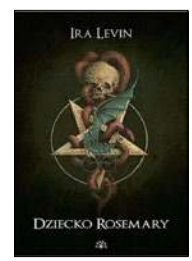

IRA LEVIN „DZIECKO ROSEMARY" VESPER

Klasyka fantastyki religijnej. Czy fakt, że obca rasa kieruje się moralnymi zasadami bliskimi naszym, lecz czyni to bez religii, to dowód przeciw istnieniu Boga? A może to dzieło diabelskie? – zastanawia się jezuita Ruiz-Sanchez. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

JAMES BLISH „KWESTIA SUMIENIA" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „GOLIAT"

Historię piszą zwycięzcy, wojna w pierwszej kolejności pożera niewinnych, a Jahwe ze Starego Testamentu był bogiem okrutnym – graficzna powieść Toma Gaulda przypomina o tym wszystkim, ukazując dzieje biblijnego Goliata z niespodziewanego punktu widzenia. Melancholijna opowieść w klimacie Becketta zadowoli każdego miłośnika wysmakowanych, mądrych komiksów. Brytyjski rysownik znany jest polskiemu czytelnikowi z albumu „Mooncop" oraz zbioru żartów prasowych „Instytut Bombowych Teorii". „Goliat" jest – jak dotąd – jego najważniejszym dziełem. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

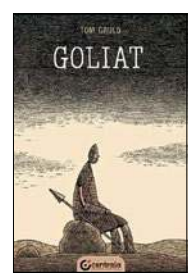

TOM GAULD „GOLIAT" CENTRALA MĄDRE KOMIKSY 2021

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Różne barwy Jakuba Kusiora

FOT. JAKUB KUSIOR/FACEBOOK

Album „Maluję" Jakuba Kusiora to 10 kompozycji z pogranicza popu, rocka i bluesa, do których muzykę i słowa Kuba napisał sam. Jeden z singli – „Boli mnie świat" – poświęcony jest depresji. Autor mówi wprost, że to zapis jego własnych doświadczeń.

– Piosenka powstała w bardzo trudnym okresie w moim życiu. Żyjąc w swego rodzaju załamaniu i presji, pomyślałem, że chyba gorzej już być nie może. Po chwili zadzwonił telefon i okazało się, że jednak może… W tej sytuacji postanowiłem przestać się zamartwiać, wziąłem gitarę i zacząłem śpiewać. Tak powstała ta piosenka. Była to dla mnie autoterapia i wyrwanie się z tego stanu. Wiem, że mi w tamtej ciężkiej chwili to pomogło. Może i tobie pomoże, jeśli przeżywasz teraz trudny czas – mówi o tym utworze Kusior, a w samym „Boli mnie świat" śpiewa: „Światło nie pali się już / Zgasło dawno, uciekam w sny / Chciałbym tak w pościeli zatopić się, by stąd uciec daleko gdzieś / Bo boli mnie tak, boli mnie świat / Goni mnie strach…".

Ale chwilę wcześniej („Kwiecień") Kuba jest w doskonałym nastroju: „Choć zima trwa, ja czuję kwiecień i zapach traw / Za parę chwil pierścionek weźmiesz i powiesz »tak«".

Jakub Kusior swój trwający dekadę romans z muzyką zaczynał od grania na gitarze. W pierwszych latach kariery wziął udział w talent show „Must Be the Music", gdzie doszedł do półfinałów. Po udziale w programie zaczął komponować własną muzykę i śpiewać teksty swojego autorstwa. W 2015 r. wydał pierwszą epkę „Far Away", dwa lata później pojawiła się druga pt. „Szczere serce". „Maluję" to pierwsza płyta długogrająca Jakuba. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

… minęło jak jeden dzień

Jubileusz 40-lecia istnienia zobowiązuje, więc jest: melodyjnie, momentami podniośle, a nawet buntowniczo, ale przede wszystkim staromodnie lub – jak kto woli – tradycyjnie.

Panki mają świadomość, że nie przeskoczą sukcesu pierwszego albumu. Sześć z dziesięciu piosenek z debiutu wskoczyło wówczas na szczyt LP Trójki. Wpływ miały na to ponure czasy stanu wojennego, kiedy Janek i kompania swą muzyką i niekontrolowanym zachowaniem stwarzali pozory barwnego życia.

Głównym atutem kompozycji Borysewicza jest ich melodyjność. Jednak od kiedy gitara elektryczna przestała być synonimem młodości LP płynie na nostalgicznych brzmieniach i emocjach. „Niegrzeczne" teksty Andrzeja Mogielnickiego bawiły dawniej, a dziś żenują: „Wszystkie świata diabły i anioły, chodzą z tobą do tej samej szkoły" („Erazm"). Pewnie dlatego większość nowych stworzył Wojciech Byrski. Stara się w nich być bardziej aktualny, ale niestety używa wyświechtanych fraz: „Rzucanie błotem do celu, odwieczny nasz narodowy sport" („Spirala"), „Jak te drzewa wichrem poszarpane / tak nasze życie się chwieje cały czas" („Drzewa"), „Chce się żyć, chociaż czasem nie jest najlepiej" („Pokuta"). Na tym tle tekst Michała Wiraszki „Tego nie mogą zabrać nam" robi wrażenie. Szkoda, że ta ballada muzycznie jest aż tak szablonowa.

Starzejmy się z Pankami, bo: „Choć szklanka do połowy pełna / Najpełniej jest przy dnie". ©℗

★★★★☆☆
LADY PANK
„LP40"
AGORA

★★★★☆☆
STING
„DUETS"
INTERSCOPE

Szesnaście duetów, które Sting nagrał na przestrzeni lat, oraz jeden premierowy (Zucchero). Pochodzą one z filmów, musicali czy płyt, na których gościł. Mimo partnerów/partnerek z różnych światów muzycznych (m.in. Erica Claptona, Melody Gardot, Herbiego Hancocka) płyta zachwyca elegancką spójnością.

★★★★★☆
BIELIZNA
„LIVE 2015"
UŁAMEK

Zespół Bielizna, czołowy przedstawiciel Gdańskiej Sceny Alternatywnej, wydał na DVD zapis koncertu z 2015 r. Niepodrabialne, obyczajowe teksty Jarka Janiszewskiego doskonale współgrają z klubową atmosferą. Od „Miłości w Jugosławii" do „Tańca lekkich goryli". Do nabycia na stronie zespołu. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Krzysztof Masłoń

Ale jaja!

W nieszczególnie w tym roku radosnym tygodniu przedświątecznym najbardziej podnieśli mnie na duchu panowie Jacek Kurski i Zbigniew Boniek oglądający na żywo wiekopomne zwycięstwo Białych Orłów nad Andorą. Jeśli ktoś nie wiedział, kim w dobie pandemii jest prawdziwy VIP, to teraz już wie; to ten, który może wejść na stadion. Cała reszta bawi się w piłkarzyki, oczywiście z wyjątkiem pań Środy, Hartwich i Jachiry, które w czasie meczów z udziałem uhonorowanego przez prezydenta RP Krzyżem Komandorskim Roberta Lewandowskiego zajmują się teraz haftem artystycznym, pisaniem tweetów, być może czekaniem na koalicyjnego i jak najbardziej obywatelskiego Mesjasza, a na pewno p…….. o Chopinie. Kapitan naszej drużyny tak się przejął zapowiedziami wizyjnego bojkotu ze strony wyżej wymienionych niewiast, że strzelił dwie bramki i, niestety, doznał kontuzji. Nie zaaplikuje więc gola albo i dwóch Anglikom, bojkot więc przynajmniej na razie musi być zawieszony, tym bardziej więc nie przyłączą się do niego inne białogłowy, choćby i ze Strajku Kobiet, które na futbol nie mogą patrzeć, a nie każda ma w domu kilka telewizorów, a do tego zainstalowany Multiroom.

Ale, ale… Czy panie jeszcze oglądają skoki narciarskie? Bo panowie – jak najbardziej. To znaczy Babiarz, Szczęsny i Snopek z TVP oraz Marek Rudziński i Igor Błachut z Eurosportu. A poza nimi panowie Kurzajewski i Korościel, którzy prowadzą stosowne studia telewizyjne. Jak ci faceci się emocjonują, to nie ma przebacz. Ciekawie jest bowiem nad wyraz, a już sukcesy naszych skoczków zbliżających się z wolna do wieku emerytalnego zadziwiają świat. No, może nie cały, ale na pewno odbijają się echem, np. w Norwegii, może jeszcze w Niemczech, Austrii i Japonii. Czechom jakoś odechciało się już skakać, Kazachowie – mimo usilnych starań – nie mogą zbliżyć się do punktów konstrukcyjnych skoczni, a inne, nieliczne zresztą nacje uprawiają tę dyscyplinę sportów zimowych konspiracyjnie raczej. Co nie zmienia faktu, że gdy mistrzem świata został Piotr Żyła, zrobiło się naprawdę wesoło. Zakończenie sezonu na Letalnicy w słoweńskiej Planicy też przeszło najśmielsze oczekiwania. Czterech Polaków w dziesiątce! Wprawdzie drugiej, ale zawsze.

Sport sportem, ale w Wielkim Tygodniu warto pomyśleć i o strawie duchowej. Zadbała o to TVP, nadając w Wielki Piątek m.in. koncerty pieśni pasyjnych, za to TVN-owi nastrój przedświąteczny nie udzielił się zbytnio, gdyż w tym dniu niczego specjalnego poza, jak zwykle, mniej lub bardziej uciesznymi programami kulinarnymi nie można było dostrzec. Jak ułożyć świąteczne menu, doradzała w Wielką Sobotę w Polsacie Ewa Wachowicz, polecając żurek na bezglutenowym zakwasie i – jakże oryginalne! – farbowanie jaj łupinami cebuli z dodatkiem orzecha włoskiego. A już w Wielkanoc najwspanialsze jaja czekoladowe (jak najbardziej narodowe w treści i w formie niczym czekoladowy orzeł eksprezydenta) łowili młodzi adepci sztuki gastronomicznej, sformatowani przez TVN w czymś, co nazwano „MasterChef Junior". Jaja jak berety!

Ponadto ucieszyłem się zapowiedzią samej Niny Terentiew, że „Świat według Kiepskich" – jako podpora Polsatu i wielka wartość tej stacji – będzie kontynuowany. Kto zastąpi Mariana Paździocha i Arnolda Boczka, nie zdradziła, pochwaliła się natomiast, że są gotowe nowe – uwaga – bardzo dobre, scenariusze i nic nie stoi na przeszkodzie, by realizować kolejne odcinki podobno ulubionego serialu Polaków. Zwłaszcza – dodałbym – inteligencji, o ile taka jeszcze nie wymarła. Nieznośna pamięć przywołała mi w tym miejscu mocne słowa Krzysztofa Zanussiego o tej „wielkiej tradycji Polsatu", wypowiedziane w czasach, w których „Kiepscy" raczkowali. Nie będę ich jednak cytował, bo kto dziś wie, kim jest Zanussi? Chyba że słyszał, co na jego temat mówił Sylwester Latkowski.

Żeby jednak nie kończyć w tym nieco minorowym nastroju, zauważę, że do kabaretowej ekipy Polsatu dołączył na stałe Kabaret Skeczów Męczących. Wciąż nie mogę się nadziwić jego trafionej nazwie, jakże pasującej do całej naszej XI muzy. Za przeproszeniem wszystkich córek Zeusa i Mnemosyne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

Na podsłuchu

Łukasz Warzecha

Władza cały czas poszerza zakres spraw, w jakich możliwa jest kontrola operacyjna, a służby traktują ją jak wygodną drogę na skróty. Zamiast prowadzić wymagające wysiłku dochodzenia, wystarczy założyć podsłuch. A przecież to są środki nadzwyczajne

11 marca 2004 r. między 7.30 a 8 rano w pociągach zdążających do madryckiej stacji kolejowej Atocha zaczęły wybuchać bomby – w sumie było ich 10. Zginęło 191 osób, ponad 1,8 tys. zostało rannych. Zamachy przyczyniły się do krachu konserwatywnej Partii Ludowej José Marii Aznara w wyborach zaledwie trzy dni później. Początkowo rząd oskarżał o zamachy separatystów baskijskich, wkrótce jednak okazało się, że był to akt terroryzmu islamskiego.

W lipcu 2005 r. w Londynie w odstępie dwóch tygodni doszło znów do zamachów bombowych, znów przeprowadzonych przez islamskich ekstremistów. Ofiar było 52.

W następnym roku w marcu Parlament Europejski uchwalił dyrektywę 2006/24/EC, znaną jako dyrektywa retencyjna. Zobowiązywała ona do udostępniania policji oraz służbom specjalnym danych o wykazie połączeń, lokalizacji, SMS-ach każdego użytkownika. Nazwa „retencyjna" wzięła się od zobowiązania operatorów do przechowywania takich danych przez okres minimum sześciu miesięcy, a maksimum dwóch lat. Dyrektywa została uchwalona w atmosferze rosnącego strachu przed kolejnymi aktami islamskiego terroryzmu – a trzeba pamiętać, że działo się to zaledwie sześć lat po zamachach na World Trade Center i Pentagon. Jej celem – co podkreślano – było ułatwienie służbom prowadzenia walki z terroryzmem i tylko w takim celu miała być stosowana. Mimo to od początku budziła zastrzeżenia. Komentatorzy, analitycy i organizacje pozarządowe, uwrażliwione na punkcie prywatności, alarmowały, że posunięto się za daleko.

ZMIANA, KTÓRA NIE ZMIENIA NICZEGO

Służby, rzecz jasna, bardzo chętnie z okazji skorzystały. W Polsce dyrektywę implementowano w 2009 r., zmieniając ustawę Prawo telekomunikacyjne. Uzasadnienie mówiło m.in. o możliwości wykorzystania Polski jako zaplecza logistycznego lub punktu tranzytowego dla ugrupowań terrorystycznych. Była też mowa o ryzyku stworzenia szlaku przerzutu przez nasz kraj za pośrednictwem żołnierzy służących w Afganistanie, co powiązano z ewentualną utratą naszej wiarygodności w ramach NATO. W praktyce służby zyskały wtedy wygodny i nieograniczony dostęp do danych telekomunikacyjnych. Rozwiązania technologiczne pozwoliły im na czerpanie informacji wprost z serwerów operatorów.

W 2012 r. gruchnęła wiadomość o gargantuicznej liczbie takich „zapytań" (w praktyce: zaczerpnięć danych) składanych przez służby. Czasami błędnie mówiono o podsłuchach, była to jednak przesada: 2 mln zassanych od operatorów zapisów danych telekomunikacyjnych w 2011 r. dotyczyło informacji, takich jak lokalizacja czy billingi. Teoretycznie mniej wrażliwych niż podsłuch, ale przecież również głęboko wkraczających w naszą prywatność. Do tej trudnej do ogarnięcia liczby, stawiającej nas w czołówce UE, dotarła fundacja Panoptykon, powołana w 2009 r. – tym samym roku, w którym w Polsce dano służbom szeroki dostęp do danych klientów telekomów.

Sytuacja zmieniła się w 2014 r. Wtedy zapadły dwa ważne orzeczenia. 8 kwietnia Trybunał Sprawiedliwości UE praktycznie unieważnił dyrektywę retencyjną, wskazując, że może ona zbyt głęboko ingerować w prywatność obywateli, a ochrona pozyskiwanych danych jest niewystarczająca. W lipcu zaś polski Trybunał Konstytucyjny – na połączone wnioski Rzecznika Praw

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Obywatelskich i Prokuratora Generalnego – zakwestionował stosowanie kontroli operacyjnej bez należytego nadzoru sądowego. To stworzyło konieczność zmiany prawa w ciągu – jak zaznaczył TK w wyroku – 18 miesięcy.

Zdominowany przez PO parlament nie znalazł czasu do końca swojej kadencji, aby wyrok wykonać. W październiku 2015 r. wybory wygrał PiS. Czasu na zmianę prawa było już bardzo mało. Skutkiem tej sytuacji było uchwalenie w styczniu 2016 r. tzw. ustawy inwigilacyjnej, formalnie wypełniającej wyrok TK. Od początku było jednak jasne, że jest to jedynie wybieg formalny. Owszem, ustawa stworzyła obowiązek kontroli sądowej nad pobieranymi przez służby danymi telekomunikacyjnymi, ale był on w gruncie rzeczy fikcyjny: co pół roku sąd miał otrzymywać do przejrzenia post factum wykaz zapytań o dane.

Dla wszystkich zorientowanych w temacie było oczywiste, że niczego to nie zmieni. Miała wtedy miejsce pamiętna sytuacja. Protestujących przed Pałacem Prezydenckim aktywistów, w tym z Panoptykonu, zaprosił na spotkanie Andrzej Duda. Tłumaczył wówczas, że trzeba było szybko uchwalić nowe prawo, bo zbliżał się termin wyznaczony przez trybunał. Obiecał jednak, że już na spokojnie przeprowadzi konsultacje m.in. z organizacjami pozarządowymi i przygotuje własny projekt ustawy, uwzględniający zastrzeżenia obrońców prywatności. Było to ponad pięć lat temu. Obietnica pozostała niezrealizowana.

Ba, sytuacja za rządów PiS jeszcze się pogorszyła, ponieważ uprawnienia inwigilacyjne dostały kolejne służby – np. Służba Ochrony Państwa, następczyni Biura Ochrony Rządu. W sumie ma je aż dziewięć podmiotów: oprócz policji i SOP, także Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Krajowa Administracja Skarbowa, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Straż Graniczna oraz Żandarmeria Wojskowa.

Problemem jest również procedura uzyskiwania przez służbę sądowego pozwolenia na tzw. podsłuch operacyjny – w zasadzie jedyny wykorzystywany przez służby (istnieje też kategoria podsłuchu procesowego, regulowana przez Kodeks postępowania karnego – praktycznie martwa). Podsłuch operacyjny jest prowadzony na podstawie ustaw regulujących działalność poszczególnych podmiotów i choć istnieje nad nim teoretycznie kontrola sądowa, to również jest w dużej mierze fikcyjna. Wniosek danej służby zatwierdza prokurator – który robi to właściwie rutynowo – a następnie trafia on do sędziego, który pod ogromną presją czasu i wnioskodawcy, nie znając na ogół detali sprawy, może go zatwierdzić lub odrzucić. Rzecz w tym, że to pierwsze jest znacznie prostsze – wystarczy podpis sędziego. Jeśli natomiast wniosek miałby być odrzucony, to sędzia musiałby to uzasadnić. To postawienie spraw na głowie. Jako że podsłuch jest najdalej idącą ingerencją w prywatność obywateli, procedura powinna wyglądać odwrotnie: to zatwierdzenie podsłuchu powinno wymagać uzasadnienia, a nie jego odrzucenie.

W dodatku władza cały czas poszerza zakres spraw, w których możliwa jest kontrola operacyjna. Wystarczy, że w konkretnej ustawie – np. o policji czy ABW – po cichu doda kolejny punkt, uprawniający do prowadzenia takiej kontroli. I to się dzieje. Na przykład od końca listopada ub.r. policja może prowadzić kontrolę operacyjną w przypadku podejrzenia posiadania nowych substancji psychotropowych (NSP). Nietrudno sobie wyobrazić, jak łatwo nadużyć takich uprawnień. Wystarczy byle jak sklecony pretekst w postaci podejrzenia, że dana osoba może NSP posiadać, aby uzyskać zgodę na podsłuch. Podejrzenie się nie potwierdziło? Cóż, trudno. Kto miał jednak uzyskać informacje pochodzące z podsłuchu, być może dotyczące czegoś całkiem innego, ten je uzyskał.

Na dodatek kontrolę operacyjną służby traktują jak wygodną drogę na skróty. Zamiast prowadzić czasochłonne i wymagające wysiłku dochodzenia, wystarczy ściągnąć dane telekomunikacyjne albo założyć podsłuch. A przecież to są środki nadzwyczajne, które powinny być stosowane tylko w razie wyjątkowego zagrożenia lub w sytuacji, gdy nic innego nie skutkuje.

WIELE ZAGROŻEŃ

Zagrożeń jest tutaj mnóstwo, a oklepana fraza „uczciwi nie mają się czego bać" jest zwyczajnie nieprawdziwa. To chce teraz pokazać Panoptykon, prowadząc kampanię „Podsłuch jak się patrzy". Fundacja wskazuje, że rocznie służby ściągają ponad 1,3 mln zapisów danych, a sama policja zakłada od 8 tys. do 10 tys. podsłuchów!

– Celem naszej akcji jest pokazanie zagadnienia inwigilacji jako dotyczącego wszystkich, a przynajmniej wszystkich aktywnych obywateli. Jeśli ktoś uważa, że jego to nie dotyczy, to się myli, i to właśnie chcemy mu uświadomić – wyjaśnia Wojciech Klicki z Panoptykonu.

Rozległość kompetencji służb, nieszczelność systemu i fikcyjność sądowej kontroli rodzą okazje, którym służbom trudno się oprzeć. Wcale nie jest tak, że obawiać się powinni jedynie łamiący prawo. Pretekstem do podjęcia inwigilacji może być zaledwie podejrzenie jego złamania, a uzyskane w ten sposób prywatne informacje mogą być potem wykorzystane do szantażu lub skompromitowania danej osoby, natomiast wcale nie muszą dotyczyć popełnienia przestępstwa. Mogą np. obejmować sprawy obyczajowe.

Dlatego Panoptykon chciałby m.in., żeby osoby poddane kontroli służb były o tym zawiadamiane rok po jej zakończeniu. Tu oczywiście pojawia się argument, że służby nie mogłyby nam efektywnie zapewniać bezpieczeństwa.

– Hasło zapewnienia bezpieczeństwa jest używane jako pałka, która ma uciszyć wszelkie głosy sceptyczne – stwierdza Klicki. – Tymczasem da się zapewnić bezpieczeństwo przy jednoczesnym ograniczeniu swobody inwigilacji. Sprzeczność pomiędzy tymi dwoma punktami jest sztucznie kreowana – mówi działacz Panoptykonu.

Choć akcja fundacji nie jest związana z żadną większą nowelizacją prawa dotyczącego kontroli operacyjnej, to warto zwrócić na nią uwagę. Nie tylko dlatego, że wciąż powiększa się katalog służb uprawnionych do prowadzenia kontroli operacyjnej oraz katalog spraw, w których można ją prowadzić. Również dlatego, że na poziomie UE naszą prywatność chce się znów ograniczyć, tym razem pod pretekstem zdrowotnym. UE zapowiada, że do czerwca gotowy będzie paszport covidowy (nazywany dla niepoznaki „cyfrowym certyfikatem szczepień"). Rezolucję w tej sprawie dopiero co przyjął Parlament Europejski miażdżącą większością 577 głosów do zaledwie 31 sprzeciwu. Posłowie PiS należący do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów bez wyjątku wstrzymali się od głosu. „Za" byli wszyscy Polacy należący do frakcji Europejskiej Partii Ludowej.

Jeśli raz stworzy się taki instrument, to nieuchronnie stanie się on wygodnym narzędziem wydobywania naszych prywatnych danych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

Bezdroża reform szkolnictwa wyższego

Wojciech Polak

Zanim zacznie się pracować nad prawdziwą i głęboką reformą polskich uczelni, potrzebne jest określenie punktu wyjścia. Patologii na polskich uczelniach nie brakuje

Reforma szkolnictwa wyższego, zwana potocznie reformą Gowina, a oficjalnie Konstytucją dla Nauki, doprowadziła nasze uczelnie do stanu głębokiego kryzysu. Wprawdzie panująca epidemia tak spowolniła funkcjonowanie polskich szkół wyższych, że wiele nieprawidłowości jest trudnych do uchwycenia, ale jednak są one faktem. Po objęciu władzy przez ministra Przemysława Czarnka pewne rzeczy zostały naprawione i wyprostowane, ale sytuacja nadal daleka jest od normalności. Skoncentrujmy się na sprawach najważniejszych.

Wyższa uczelnia powinna być wspólnotą, po łacinie: universitas magistrorum et scholarium (wspólnota nauczycieli i studentów). Głównym przywilejem tej wspólnoty jest wolność prowadzenia badań naukowych. Wspólnota powinna być autonomiczna, i to w sensie autonomii wewnętrznej. Polega ona na wybieralności władz, a także pewnych uprawnieniach w zakresie ustalania przepisów wewnętrznych, struktury uczelni, programów nauczania itp. W wyniku postanowień Konstytucji dla Nauki uczelnie zaczęły bardziej przypominać zakłady przemysłowe. Rektorzy mają obecnie władzę absolutną. Jest ona tak wielka, że ze względów praktycznych delegują ją częściowo różnym ludziom i gremiom (oficjalnym lub nieoficjalnym). Często rektorzy, słabo orientujący się w owych rozmaitych ewaluacjach, parametryzacjach, punktacjach itp., cedują te kwestie na młodych pracowników naukowych o zacięciu technokratycznym, którzy korzystając ze swojej wiedzy prawno-biurokratycznej, stają się „niezbędni" dla funkcjonowania uczelni. Tworzą oni sprawne wszechwładne koterie, pod nominalną kontrolą rektora. Owi młodzi „sierżanci" o wielkich ambicjach i często jeszcze z mizernym dorobkiem naukowym to ważna część krajobrazu większości naszych wyższych uczelni.

STARE ZWYCZAJE I NOWA ELITA

Rektorzy mają w praktyce decydujący głos w kwestii wyboru (czasami spośród owych „sierżantów") kadry zarządzającej na uczelni (dziekanów, dyrektorów instytutów itp.). Mianują także rozmaitych urzędników i pełnomocników o najdziwniejszych kompetencjach. Władza rektorska jest ogromna także dlatego, że w ostatnim czasie na uczelniach pojawiły się całkiem spore pieniądze. Rektor i grupa mianowanych przez niego członków kadry zarządzającej dostają potężne dodatki. Pensje rektorów, ze wszystkimi owymi dodatkami, często znacznie przewyższają pensję prezydenta RP. Na uczelniach tworzy się więc elita zarządzająco-finansowa, która decyduje o wszystkim. Niektóre ważne ciała kolegialne składają się z osób mianowanych przez rektora, a więc są zupełnie od niego zależne. Senaty pochodzą zazwyczaj z wyboru, ale i one nie mają zbyt wiele do powiedzenia (piszę o tym dalej).

Przed wojną np. na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie kadencja rektora była roczna. Funkcję tę pełnili wymiennie liczni, coraz to nowi profesorowie. Jeszcze niedawno profesorowie na wyższych uczelniach mieli daleko idący wpływ na zarządzanie uczelnią poprzez zasiadanie

eprasa.pl 25fbc9c3e1

w radach wydziałów. Obecnie te uprawnienia znikły. Rady dyscypliny tworzone na wyższych uczelniach są już tylko marnym cieniem dawnych rad wydziałów. Za tym pozbawieniem kompetencji idzie wysoce lekceważący stosunek owej elity zarządzająco-finansowej do profesorów, którzy znajdują się poza jej obrębem. Starzy profesorowie, hołdujący tradycyjnym zwyczajom panującym kiedyś na wyższych uczelniach, np. bliskim relacjom typu uczeń-mistrz lub wygłaszaniu wykładów z pamięci, żywym językiem w sposób porywający studentów, są dziś często odsuwani od zajęć, wyszydzani i w różny sposób szykanowani przez owych „sierżantów". Wyżsi urzędnicy administracji uczelnianej owych profesorów (którzy często zarabiają znacznie mniej niż oni) traktują jako nieznośnych i namolnych petentów. Na uczelniach panują wręcz wielkopańskie obyczaje. Dostanie się na audiencję do rektora, kwestora czy kanclerza wymaga długich zabiegów i wielotygodniowego oczekiwania. W rezultacie profesorowie około sześćdziesiątki z utęsknieniem myślą o emeryturach. Gdy odejdą z uczelni, w pełni zapanuje „nowy wspaniały świat" slotów, ewaluacji, parametryzacji i wykładów w formie prezentacji z rzutnikiem.

NA UCZELNIACH RZĄDZI STRACH

Za tym wszystkim kryje się strach. Na uczelniach boją się prawie wszyscy. Pracownicy boją się rektora i dziekanów, gdyż na ich kiwnięcie palcem mogą wylecieć z pracy pod byle pretekstem. Prawo dotyczące szkolnictwa wyższego jest bowiem tak skomplikowane i niejasne, że można nim uzasadnić prawie wszystko. A pracy oczywiście nikt nie chce stracić, bo ludzie mają na utrzymaniu rodziny, spłacają kredyty etc. Dlatego też milczą, gdyż wiedzą, że jeżeli podpadną, to nie będzie dla nich litości. Nawet jeżeli krnąbrność nie spowoduje utraty zatrudnienia, to można stracić stanowisko, godziny nadliczbowe, dodatki. Z powodu zastraszenia już od lat działalność senatów większości polskich uczelni jest fikcją. Senatorowie milczą, a podczas głosowań jawnych, gdy rektor obserwuje, prawie nikt mu się nie przeciwstawia. Proponowałem kilkakrotnie wprowadzenie ustawowego immunitetu dla senatorów uczelnianych, polegającego na ochronie ich zatrudnienia podczas trwania kadencji i sporo lat po jej zakończeniu. Proponowałem też wprowadzenie zasady wyłącznie tajnego głosowania w senatach uczelni. Niestety nikt się nie pochylił nad tymi propozycjami. Twórcom Konstytucji dla Nauki nie przyszło do głowy, że stworzyli struktury strachu. A w takich strukturach nauka nie może się rozwijać. Kwitnąć będą natomiast lizusostwo, cwaniactwo, koteryjność, bylejakość, pazerność. I co najgorsze – poprawność polityczna.

Na uczelniach polskich panuje daleko posunięty upadek zasad etycznych. Podam przykład. Znałem starszą, wybitną w swojej dziedzinie panią profesor. Rada wydziału zwolniła z pracy jej ucznia. Była to decyzja niewątpliwie pochopna i niesprawiedliwa. Pani profesor w odwecie głosowała odtąd na „nie" we wszystkich możliwych sprawach personalnych. Nie mogłem tego zrozumieć. Niewątpliwie skrzywdzono ją i jej ucznia. Czy jest to jednak powód, żeby głosować np. przeciwko zatwierdzeniu doktoratu innego młodego człowieka? Doktoratu, który został przez recenzentów, i nie tylko recenzentów, wysoko oceniony? Takie postawy są jednak powszechne. Wielu członków rad dyscyplin głosuje np. przeciwko doktorantom w kolejnych etapach przewodu doktorskiego, bo jest w konflikcie z ich promotorami. I nikt nie zastanawia się, co mu zawinił ten młody człowiek. Albo głosują przeciwko księdzu…. bo nie lubią księży, albo przeciwko swojemu koledze, bo jest konserwatywny i popiera Prawo i Sprawiedliwość. To niestety przypadki częste. Zdarza się, że przewodniczący rady dyscypliny, żeby powstrzymać zatwierdzenie doktoratu (bo np. nie lubi promotora), zdejmuje pod byle pretekstem odpowiedni punkt z programu posiedzenia. Upadają zwyczaje honorowe. Jeszcze 15–20 lat temu słowo rektora lub dziekana było święte i nie wymagało potwierdzania na piśmie. Dzisiaj na żadnych ustnych obietnicach władz uczelnianych nie można już polegać.

Doszło też do załamania się zasady wolności słowa na uczelniach. Dotyczy to nie tylko ciał kolegialnych, w których wielu naukowców milczy, bo boi się rektora. Warto zwrócić uwagę na masową likwidację pisemek uczelnianych. Jeszcze 10–15 lat wychodziły one na licznych uczelniach. Zamieszczane w nich artykuły zawierały często rozmaite wątki krytyczne, dotyczące spraw lokalnych, pojawiały się też polemiki, teksty satyryczne itp. Gazetki te spełniały funkcję wolnej trybuny. Dzisiaj większość z nich uległa likwidacji. Część zaś została przekształcona w pisma propagandowo-promocyjne pokryte grubą warstwą lukru i wazeliny. Nikt ich nie czyta. Bo i po co?

SZUKANIE DNA

Upadek wolności słowa łączy się też z szykanowaniem na niektórych polskich uczelniach wykładowców o poglądach chrześcijańskich i konserwatywnych. Przypadki takich szykan spowodowały reakcję Ministerstwa Edukacji i Nauki. Już wkrótce pod obrady Sejmu RP wejdzie projekt Pakietu Wolności Akademickiej. Według prezentacji ministerstwa założenia projektu są następujące:

„Nauczyciel akademicki nie może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za wyrażanie przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych.

Musi zostać poinformowany o poleceniu rozpoczęcia prowadzenia postępowania wyjaśniającego dotyczącego jego osoby.

Nie może zostać zawieszony na etapie postępowania wyjaśniającego.

Rektor zapewnia poszanowanie wolności nauczania, badań naukowych i ogłaszania ich wyników, a także debaty akademickiej z zachowaniem zasad pluralizmu światopoglądowego i przepisów porządkowych uczelni.

Strony postępowania mogą skierować zażalenie do komisji dyscyplinarnej przy ministrze, jeżeli postępowanie dotyczy wyrażania przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych. Trybem odwoławczym od postanowienia ww. komisji jest możliwość złożenia zażalenia do Sądu Apelacyjnego w Warszawie".

Trzeba mieć nadzieję, że przyjęcie przez Sejm pakietu poprawi sytuację na polskich uczelniach w zakresie wolności słowa. Pamiętać jednak należy, że szykany wobec osób o innych poglądach mogą mieć charakter ukryty, zamaskowany względami naukowymi lub organizacyjnymi. Paradoksalnie, w celu zachowania autonomii wewnętrznej i wolności słowa na uczelniach, ministerstwo powinno wprowadzić mechanizmy kontroli i interwencji także w takich przypadkach.

Problemy, które podjąłem w niniejszym artykule, to tylko niektóre wybrane zagadnienia. Patologii na uczelniach polskich jest znacznie więcej. Zanim zacznie się pracować nad prawdziwą i głęboką reformą polskich uczelni, potrzebne jest określenie punktu wyjścia. A może raczej dna, od którego trzeba będzie się odbić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, profesorem nauk humanistycznych, wykładowcą UMK w Toruniu, przewodniczącym Kolegium IPN.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

LIST DO REDAKCJI

„Drogie bazy" raz jeszcze

W „Do Rzeczy" nr 11/2021 opublikowaliśmy felieton Grzegorza Kucharczyka pt. „Drogie bazy". Poniżej polemiczny list odnoszący się do tego tekstu oraz odpowiedź autora

Szanowni Państwo,

ze zdumieniem i z rozczarowaniem przeczytałem felieton prof. Grzegorza Kucharczyka pt. „Drogie bazy". Szanuję dokonania naukowe tego badacza, ale ten tekst pokazuje, że Autor nie rozumie zasad funkcjonujących we współczesnej nauce, ma o nich małą wiedzę i w swoim zaślepieniu i krytykanctwie tzw. reformy Gowina posuwa się do zwykłych kłamstw. Jego felieton jest pełen nieprawdziwych informacji na temat baz i odpłatności za nie oraz za numer DOI, co tworzy wrażenie, że tajne konsorcjum firm żerujących na nauce chce wycisnąć ostatni grosz z polskich naukowców.

Autor nie zastanawia się, czemu służy obecność w bazach danych i uzyskanie numeru DOI, a przecież chodzi o ułatwienie w upowszechnieniu swoich tekstów przez Autora, ich wyszukiwanie w Internecie i cytowania (czyli dowód, że ktoś czyta jego teksty i mają one znaczenie w świecie nauki), na których autorowi powinno zależeć. Zresztą autorzy bezpośrednio nie ponoszą kosztów związanych z wejściem czasopisma do baz danych czy uzyskaniem numeru DOI.

Szczególnie szokujący jest opisany przez Autora model procedury publikowania w wysokopunktowanych czasopismach („Najpierw jest pytanie ofertowe..."). Ten przykład pokazuje, że Autor nigdy nie publikował w takich pismach, nie odróżnia tzw. agresywnych wydawnictw i czasopism (właśnie przez to słabo punktowanych albo w ogóle niepunktowanych) od wydawnictw prestiżowych, które swoją pozycję na rynku naukowym wypracowywały przez dziesiątki lat, dzięki trudnej i nieraz bolesnej dla Autorów procedurze recenzyjnej. W dodatku Autor pisze o artykule 150-punktowym, a takich nie ma w polskich przepisach ewaluacyjnych – najwyżej punktowane są artykuły za 140 i 200 punktów, a 150 można uzyskać za redakcję monografii wydanej w najbardziej prestiżowych wydawnictwach. Zastanawiające jest, jak można funkcjonować w nauce, nie znając jej podstawowych, uniwersalnych, a nie wymyślonych przez Gowina zasad.

Jest jeszcze jeden bolesny aspekt takiego podejścia. Rozumiem, że prof. Kucharczyk jest przyzwyczajony, tak jak duża część środowiska humanistycznego do innych, wytworzonych przez PRL zasad, ale takimi felietonami deprecjonuje pracę tych naukowców, którzy podjęli trud prowadzenia nowoczesnych badań, zdobywania grantów, poddawania się surowej krytyce i ocenie międzynarodowego środowiska naukowego, także tych badaczy humanistycznych, którzy zdecydowali się pisać o historii i kulturze Polski nie tylko dla swoich kolegów w kraju, lecz także na forum międzynarodowym. Zaprezentowane przez Autora felietonu podejście gwarantuje, że opinię o polskiej kulturze i historii badacze na świecie (którzy jakoś nie czytają po polsku polskich czasopism i polskich książek) będą wyrabiać na podstawie prac tych naukowców np. z Niemiec, Rosji czy ze Stanów Zjednoczonych, którym publikowanie po angielsku nie przeszkadza. A już na marginesie można zaznaczyć, że opublikowanie tekstu dotyczącego np. kultury polskiej po angielsku na Zachodzie nie oznacza, iż nie można go wydać po polsku.

Z wyrazami szacunku
dr hab. Piotr Guzowski

Wydział Historii i Stosunków Międzynarodowych
Zakład Historii Struktur Demograficznych i Gospodarczych
Centrum Badań Struktur Demograficznych i Gospodarczych Przednowoczesnej Europy Środkowo-Wschodniej
Uniwersytet w Białymstoku

Odpowiedź autora

Po przeczytaniu polemiki dr. hab. Piotra Guzowskiego poczułem się jak molierowski pan Jourdain, który nie wiedział, że całe życie mówił prozą. W moim przypadku zdałem sobie sprawę, że niemal od 30 lat funkcjonuję w nauce, „nie znając jej podstawowych, uniwersalnych, a nie wymyślonych przez Gowina zasad".

Jak to możliwe? Czyżby przywiązanie do wzorców z PRL, jak sugeruje autor polemiki? Raczej nie, skoro studia zacząłem w 1987 r. Nasiąknąć więc nie zdążyłem. Chociaż nie mogę się pozbyć wrażenia, że mój Szanowny Polemista uprawia swego rodzaju „kult jednostki" wokół osoby byłego ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina (oby cieszył się dobrym zdrowiem), a tzw. konstytucję dla nauki traktuje, jeśli nie jako tekst objawiony, to przybliżający polskiemu światu naukowemu „podstawowe, uniwersalne zasady". Trzeba było dopiero tego właśnie ministra, by to, co było zakryte przed naszymi oczami, zostało w całym blasku ujawnione.

Mój Polemista nie neguje właściwie podstawowego faktu drenowania polskiego budżetu przez konieczność finansowania dostępu do różnych baz, numerów DOI (oj, doi to, doi budżet). Podane przeze mnie 150 punktów z hipotetycznego pytania ofertowego jest tylko przykładem. Chodzi o zasadę wprowadzającą chory mechanizm utrwalania „feudalnych" zależności na uczelniach (rektor decydujący o dofinansowaniu lub nie wysokopunktowanej publikacji). Wspomniane przez mojego Szanownego Polemistę „agresywne wydawnictwa" to właśnie produkt „punktozy" utrwalonej tzw. reformą nauki. Natomiast renomowane czasopisma są takie nie z powodu, ale pomimo ciągłych prób „reformowania" polskiej nauki.

Grant miałem, punkty mam, jestem cytowany – powinienem być więc spełnionym naukowcem. A nie jestem. Czegoś żal. Może tych setek milionów złotych wypływających z polskiego budżetu, z których można by sfinansować wiele pożytecznych dla polskiej humanistyki projektów badawczych.

Z wyrazami szacunku
prof. dr hab. Grzegorz Kucharczyk
Instytut Historii PAN

eprasa.pl 25fbc9c3e1

REKLAMA

67 lat historii filmu
2536 wydań

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

Filmopedia FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

REKLAMA

Zostań uczniem w szkole miłosierdzia

Wyjątkowe połączenie ***Dzienniczka*** s. Faustyny i ***Pisma Świętego***.

-20%*

na najnowszą książkę ks. Krzysztofa Wonsa SDS
„Miłosierdzie Wcielone. Lectio divina z Siostrą Faustyną"

z kodem: **MILOSIERDZIE**

www.edycja.pl **605 313 543**

ŚWIĘTY PAWEŁ

*Promocja trwa **od 11.04.2021 r. do 17.04.2021 r.** lub do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Mały Oświęcim – piekło ukryte przed światem

Dzieci w „małym Oświęcimiu", 1945 r.

FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

Z prof. Sylwią Galij-Skarbińską, historyk, politolog, wykładowcą UMK w Toruniu

rozmawia Tomasz D. Kolanek

TOMASZ D. KOLANEK: Eksperymenty, wywózki, tortury, morderstwa – to tylko niektóre ze zbrodni, których Niemcy w czasie okupacji dokonali na... polskich dzieciach. Dlaczego?! Po co?! Jakim prawem?!

PROF. SYLWIA GALIJ-SKARBIŃSKA: Nie da się na to pytanie logicznie odpowiedzieć. To, co robili Niemcy (a także Sowieci) podczas drugiej wojny światowej, było czymś zupełnie nowym, czymś uderzającym w osoby, których nie mordowali nawet barbarzyńscy najeźdźcy: kobiety, dzieci, ludzi starszych.

Jeśli chodzi o dzieci, to mamy do czynienia z bardzo rozległą skalą zbrodni. Podam kilka przykładów: dzieci polskich robotnic wysyłanych na Wschód, które tam się urodziły, trafiały do specjalnych ośrodków, nazywanych przytułkami albo żłobkami, gdzie celowo je głodzono, skazując tym samym na śmierć. Podczas zagłady Michniowa Niemcy wrzucali polskie dzieci w ogień. Historii dzieci Józefa i Wiktorii Ulmów, które razem z rodzicami zostały zastrzelone przez niemieckich żandarmów, chyba nikomu nie trzeba przypominać.

Takich zbrodni były tysiące, a nawet setki tysięcy. Dzieci były wysiedlane, wywożone na roboty przymusowe, trafiały do wszelkiego rodzajów obozów, ginęły w okrutny sposób od strzałów, płomieni, z głodu i bicia przez niemieckich oprawców.

Polskie dzieci miały być albo eksterminowane, albo „zniemczone", albo po prostu stanowić niewolniczą siłę roboczą dla niemieckiej rasy panów. Czy właśnie w tym celu powstał obóz dla polskich, podkreślam POLSKICH, dzieci w Łodzi przy ul. Przemysłowej?

Tak. Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi (Polenjugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt), znany również jako Kinder-KL Litzmannstadt bądź „mały Oświęcim", zaczął działać w grudniu 1942 r. Mimo że Niemcy nazywali go obozem izolacyjnym dla dzieci, to w rzeczywistości niczym nie różnił się on od obozów koncentracyjnych dla dorosłych.

Dlaczego obóz dla polskich dzieci w Łodzi został ukryty? Dlaczego świat miał się nigdy o nim nie dowiedzieć?

Powody były co najmniej dwa. Po pierwsze: według oficjalnej narracji niemieckiej dzieci zamykane w obozie były chuliganami, złodziejami, pochodziły z patologicznych rodzin. Mówiąc krótko, były one uważane za element aspołeczny. Taka była wersja oficjalna. W niemieckich dokumentach czytamy, za co w rzeczywistości trafiały tam dzieci: „nielegalnie nabył karty żywnościowe", „przerzucał chleb do getta", „zarabia, odnosząc walizki z dworca kolejowego", „żebrze", „włóczy się", „rodzice nie podpisali volkslisty", „córka polskiego profesora", „syn polskiego oficera" itp. Wiele dzieci trafiło na Przemysłową, ponieważ wpadło w niemieckie łapy podczas którejś z kolejnych łapanek. Część dzieci z kolei znalazła się w „małym Oświęcimiu", ponieważ ich rodzice trafili np. do Auschwitz lub zostali wywiezieni na roboty przymusowe w głąb Rzeszy.

Jest to bulwersujące, że w niemieckiej propagandzie obóz miał mieć charakter prewencyjny, zaś jego wychowankowie mieli uniknąć dalszych krzywd. Ukrycie obozu na terenie getta wzmacniało przekaz o ratowaniu dzieci, które w rzeczywistości poddawano nieludzkiemu terrorowi. Usytuowanie obozu było także spowodowane chęcią zabezpieczenia przed ewentualnymi próbami ucieczki więzionych dzieci.

Wiemy, jak wyglądał „przeciętny dzień", jeśli oczywiście można to tak nazwać, więźnia Auschwitz, Treblinki, Majdanku etc. Jak wyglądał „przeciętny dzień" polskiego dziecka w obozie przy ul. Przemysłowej?

Przede wszystkim praca, praca i jeszcze raz praca ponad siły. Pierwotnie ten obóz miał być miejscem dla dzieci w wieku od 12 do 16 lat. Potem ta granica została przesunięta i w obozie zamykano dzieci między 6. a 16. rokiem życia, a nawet dużo młodsze.

Przebywali tu zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, które kierowane były do pracy do filii obozu w Dzierżąznej koło Zgierza. Wiemy dzisiaj, że na Przemysłową przywożono kilkuletnie dzieci, aby poddać je badaniom w kierunku potencjalnego zniemczenia. Dziewczynki, które zostały przy Przemysłowej, zajmowały się właśnie tymi dziećmi.

Gdybym miała w skrócie przedstawić plan dnia w „małym Oświęcimiu", to wyglądałby on następująco: pobudka zanim wstanie słońce, apel, praca, przerwa na posiłek i znowu praca.

Jakie prace wykonywały polskie dzieci przy Przemysłowej?

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Przede wszystkim zajmowały się naprawą odzieży dla niemieckich żołnierzy, a także przygotowywaniem wyposażenia dla wojska, m.in. wyplataniem koszy na amunicję i osłon na buty dla wartowników obozowych, szyciem plecaków, chlebaków, reperacją butów wojskowych. Młodsze dzieci, poniżej ósmego roku życia, zajmowały się klejeniem kopert, wyrabianiem sztucznych kwiatów, wyplataniem sznurków i prostowaniem igieł tkackich.

Dzieci zajmowały się także pracami porządkowymi na terenie obozu, regulacją terenu, jego odgruzowywaniem, sprzątaniem pomieszczeń dla personelu obozowego.

Dzieci wywożone do filii w Dzierżąznej pracowały w polu, przy hodowli bydła bądź przy wyławianiu ryb ze stawu. Ktoś pewnie w tym miejscu powie, że to w sumie nic ciężkiego. Odsyłam więc do świadectw osób, które przeżyły „mały Oświęcim". Dowiadujemy się z nich, jak to wszystko wyglądało, co groziło nawet nie za źle wykonaną pracę, tylko przez to, że Niemiec miał zły humor albo jakiś kaprys…

Odrębna kwestia to obozowe wyżywienie. Ze wspomnień i z relacji więźniów dowiadujemy się, że dzieci przy Przemysłowej dostawały rano kawałek chleba, trochę kawy, na obiad zupę z brukwi zaprawioną robakami i piaskiem, a na kolację znowu kawałek chleba z tłuszczem czy łojem i kubek jakiejś namiastki kawy. Tak to wyglądało… W połączeniu z niekończącą się pracą można śmiało postawić tezę, że obóz przy Przemysłowej miał na celu zniszczenie polskich dzieci, które do niego trafiły i nie rokowały szans na zniemczenie.

Czy Niemcy torturowali polskie dzieci?

Niemiecki mechanizm niszczenia polskich dzieci opierał się na kilku filarach: ciężka praca, niedostateczne odżywianie, prymitywne, urągające wręcz warunki bytowe, tortury i terror. Eugenia Pol (Genowefa Pohl), Sydonia Bayer, Edward August to tylko trzy pierwsze i chyba najbardziej znane nazwiska oprawców polskich dzieci. Taka Sydonia Bayer, która zyskała przydomek Frau Doktor, była na przykład znana ze stosowania zabiegu polewania wodą polskich dzieci wcześniej wywleczonych na mróz. Bardzo często kończyło się to śmiercią dziecka.

Dlaczego nazwano ją „Frau Doktor"?

Miała ona sprawować nadzór lekarski nad dziećmi. Stał się on jednak kolejnym aktem bestialstwa wobec nich. Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację: małe dzieci zostają wyrwane z domu, odsunięte od rodziców. Nie wiedzą, co się dzieje. Z dnia na dzień wystawia się je na nieludzkie warunki. Narażone na ten bezmiar cierpienia na Przemysłowej bardzo często po prostu się moczyły w nocy.

„Frau Doktor" stworzyła dla nich specjalny blok, gdzie biła je kijem, żeby „oduczyć" je sikania w nocy. Znamy świadectwa, które mówią o wystraszonych, zdezorientowanych dzieciach, które sikały w nocy i po prostu przymarzały do gołych desek, na których były położone. Jeśli przeżyły, to czekała na nie ciężka ręka Sydonii Bayer.

Czy prawdą jest, że wywołana przez panią profesor Genowefa Pohl lubiła na przykład podtapiać dzieci w dole z nieczystościami kloacznymi. Przynajmniej jedno z nich w ten sposób miało zostać zamordowane...

Tak, trzeba przyznać, że była to jedna z najokrutniejszych wychowawczyń w obozie przy Przemysłowej, która nigdy nie rozstawała się ze swoim bykowcem. Biła nim dzieci bez opamiętania.

Edward August to trzecia postać, która słynęła z najwymyślniejszych tortur. Bił dzieci, nacinał ich ciała, wpychał nieprzytomne do skrzyń z piaskiem, topił w beczce z wodą, wieszał za nogi, gasił na ich ciałach papierosy.

Bestii przy Przemysłowej było dużo więcej, ale zatrzymajmy się tylko na tych trzech...

Ile polskich dzieci trafiło do „małego Oświęcimia"?

Przez lata podawano różne szacunki. Ostatecznie ustalono, że przez obóz przy Przemysłowej w całym okresie jego funkcjonowania w latach 1942–1945 przeszło od 2 do 3 tys. dzieci.

Proszę sobie wyobrazić, że 2–3 tys. dzieci jest zmuszanych do ciężkiej pracy. Głód, brak higieny, łachmany zamiast ubrań, wycieńczenie, choroby, epidemia tyfusu. Serce się kraje...

Przyjmuje się, że ok. 200 dzieci zostało zamęczonych bądź zamordowanych.

Czy oglądała pani może film fabularny „Twarz anioła" z 1970 r.? Opowiada on o obozie koncentracyjnym dla polskich dzieci w Łodzi. Czy nie jest może tak, że PRL dużo bardziej nagłaśniało zbrodnie III Rzeszy, niż robi to III RP, która skupiła się na zbrodniach komunistycznych i w związku z tym nie tyle nie pamięta, ile za mało przypomina zbrodnie niemieckie z czasów okupacji?

Pełna zgoda. O zbrodniach niemieckich mówi się obecnie stanowczo za mało. Czasem odnoszę wrażenie, że my, Polacy, wstydzimy się o tym mówić i pisać, gdyż urąga to rzekomo dobrosąsiedzkim relacjom z Niemcami i współpracy z naszym sąsiadem w ramach Unii Europejskiej. Musimy to zmienić. Niemcom trzeba nieustannie przypominać o bezmiarze zbrodni, które popełnili na Polakach. Reparacje, których się domagamy, milionom Polaków, także tym biednym dzieciom, życia nie przywrócą. Mogą jednak być aktem rzeczywistej skruchy i pokuty, który najbardziej potrzebny jest samym Niemcom.

Razem z prof. Wojciechem Polakiem napisaliśmy w 2019 r. książkę „Zbrodnia i grabież. Jak Niemcy tuszują prawdę o sobie", w której przedstawiliśmy tylko część najważniejszych i najbrutalniejszych represji, które spadły na Polaków w czasie okupacji niemieckiej. Do dzisiaj piszą do nas czytelnicy, którzy w ogóle nie mieli pojęcia, że zbrodnie niemieckie miały aż taką skalę, bo ich wiedza ogranicza się do Holokaustu.

Ile jest jeszcze nieznanych nam zbrodni dokonanych przez Niemców na Polakach? Ja na przykład przez dwa lata mieszkałem w Łodzi, ale nie miałem pojęcia, że Niemcy stworzyli tam „mały Oświęcim"...

Możemy to ujmować w różnych statystykach – od tego są historycy. Na każdą zbrodnię trzeba jednak patrzeć jednostkowo. Podczas obrad trybunału norymberskiego padły pytania: Jak zmierzyć niemieckie zbrodnie? Do czego je porównać? Jak określić ich rozmiary? Moim zdaniem na każdą z ofiar niemieckich zbrodniarzy trzeba patrzeć indywidualnie, bo to byli konkretni ludzie, a nie cyfry w rubrykach. Ludzie, którzy zostali zamordowani, zamknięci w obozach koncentracyjnych, torturowani... Ludzie, którzy stracili bliskich, majątek, przyszłość.

Podchodząc do niemieckich zbrodni w ten sposób, dopiero wtedy zrozumiemy ich bezmiar.

Jaka jest z kolei wiedza na temat „małego Oświęcimia"?

Chyba najlepszą odpowiedzią będzie: wiemy coraz więcej, o czym świadczy chociażby nasza rozmowa. Powstają na ten temat publikacje, reportaże etc. IPN w Łodzi prowadzi kolejne badania, które przynoszą nam bardzo dużo interesujących, ale i jakże przerażających informacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Szara strefa Auschwitz

Piekło Auschwitz przedstawiane jest na ogół przez pryzmat jego dwóch przeciwstawnych biegunów. Z jednej strony strażnicy: sadystyczni, pozbawieni skrupułów mordercy w mundurach SS. Z drugiej strony – więźniowie, którzy zostali rozstrzelani, zakatowani, zagłodzeni, uśmierceni zastrzykiem fenolu w serce, uduszeni w komorze gazowej. Potworne okrucieństwo oprawców i niepojęte cierpienie niewinnych ofiar.

Rzadziej mówi się o tym, co znajdowało się między tymi dwoma biegunami. Mowa o więźniach funkcyjnych (kapo) oraz więźniach zatrudnionych w Sonderkommando. Czyli formacji stworzonej do obsługi komór gazowych i palenia zwłok.

Losach i działaniach tych ludzi w swoich wstrząsających wspomnieniach pisał Filip Müller, były członek Sonderkommando w Auschwitz.

„Funkcyjni nie musieli pracować fizycznie – czytamy w książce – i sprawowali praktycznie nieograniczoną władzę, będąc panami życia i śmierci współwięźniów. Dostawali większe i lepsze racje żywnościowe, mieli szyte na miarę pasiaki, cieszyli się też wieloma innymi względami i przywilejami".

Z kolei członkowie Sonderkommando sprawowali najbardziej makabryczne obozowe funkcje. Opróżniali komory gazowe z ciał. Z ust ofiar wyrywali złote zęby. Przeszukiwali ich ubrania, aby wydobyć z nich ukryte precjoza. Palili trupy w krematoriach, pozbywali się prochów.

Praca w Sonderkommando – choć również wiązała się z pewnymi przywilejami – była jedną wielką makabrą. Przedstawione przez Müllera opisy tej służby są tak szokujące i drastyczne, że trudno je cytować w artykule prasowym.

Działalność Sonderkommando wywoływała i wywołuje wielkie kontrowersje. Jego członkowie – tak jak Müller – byli bowiem na ogół Żydami. Część rodaków po wojnie miała do nich kolosalne pretensje, uznawała ich za współsprawców Zagłady. Bez was, argumentowali, fabryki śmierci nie mogłyby działać.

Z perspektywy lat zarzuty te wydają się krzywdzące. Część więźniów z Sonderkommando rzeczywiście uległa demoralizacji. Warto jednak pamiętać, że członkowie tej formacji walczyli o życie. Niemcy postawili ich przed diabelskim dylematem: albo będziecie nam wiernie służyć, albo sami traficie do komory gazowej. ©℗

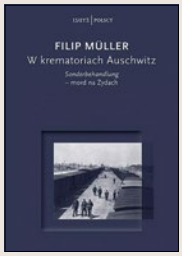

★★★★★★

FILIP MÜLLER „W KREMATORIACH AUSCHWITZ"
OŚRODEK KARTA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kabarety, kabarety...

Lata międzywojenne to okres największego rozkwitu scen kabaretowych. W czasach II RP była to rozrywka elitarna, bilety kosztowały po kilkanaście złotych, co znacznie ograniczało krąg odbiorców. Programy kierowano do wyrobionego widza, posiadającego odpowiedni poziom obycia towarzyskiego, znającego aktualne wydarzenia kulturalne i polityczne. Odbiorca musiał wiedzieć, czym są pacyfizm Wellsa i kampania antybrązownicza Boya-Żeleńskiego. Musiał czytać „Jeden dzień rekruta" Uniłowskiego i „Małżeństwo Wobicy" Krzywickiej, felietony Słonimskiego, znać tytuł ostatniego tomiku poetyckiego Wierzyńskiego. Orientować się, co powiedział w ostatnim wywiadzie prasowym Piłsudski i co znów narozrabiał Wieniawa.

> **Snobizm widowni przejawiał się wówczas w niezwykły sposób**

Na widowni zasiadali ministrowie, wyżsi oficerowie, posłowie, prezesi firm, ziemianie. Oczywiście większość publiczności stanowiła inteligencja różnych zawodów i pochodzenia, ale udział osób zajmujących się polityką nobilitował rozrywkę. Najsłynniejszym kabaretem był Qui Pro Quo (założony 4 kwietnia 1919 r.), którego stałym bywalcem (i to od kulis) był Wieniawa-Długoszowski. Nie tylko zresztą on, na imprezach kabaretu pojawiał się również Józef Beck – przynajmniej do czasu. Istniała swoista symbioza sztuki popularnej z polityką – kabaret nie mógł żyć bez polityków, ich błędów i słabostek.

Premiera nowego programu była okazją do wizyty w kabarecie. Snobizm widowni przejawiał się wówczas w niespotykany sposób. Po zakupie drogiego biletu (czasami przepłacając wielokrotnie) niektórzy starali się go zamienić na darmową wejściówkę. Posiadanie wejściówki oznaczało znajomości w świecie sztuki. A to wyjątkowo nobilitowało. Na scenach warszawskich kabaretów debiutowali: Ordonka, Znicz i Sempoliński, występowali: Bodo, Dymsza i Zimińska. Piosenki pisał Petersburski, śpiewał chór Dana (z Mieczysławem Foggiem na czele), tańczyła Loda Halama. Nie zmienia to faktu, że sceny kabaretowe zmagały się z ogromnymi problemami finansowymi, co stało się nawet tematem skeczy. Kiedy urzędnik warszawskiego magistratu przyszedł w czasie próby, by wyznaczyć podatek od widowisk, zażenowany poziomem programu miał wykrzyknąć: „To jest widowisko, to hańba, a nie widowisko!". Słynny konferansjer, Fryderyk Jarossy, opowiadając o tym na scenie, zauważył, że skoro „od hańby jak dotąd nie ma podatku, to nasza dyrekcja przestała płacić magistratowi". ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Koncert Wielkanocny Telewizji Republika

— JOSZKO BRODA Z RODZINĄ —

REPUBLIKA

Za nami koncert Wielkanocny z udziałem Joszko Brody i jego rodziny.

Telewizja Republika z okazji Świąt Wielkanocnych przygotowała dla widzów wyjątkowy koncert, w którym najpiękniejsze kompozycje zaprezentowała rodzina Joszko Brody.

W trakcie koncertu mogliśmy usłyszeć utwory, takie jak: *Chrystus Zmartwychwstał*, *Niech Jezus Chrystus będzie pochwalony*, *Alleluja biją dzwony*. Dodatkowo widzowie usłyszeli życzenia świąteczne złożone przez redaktora Tomasz Sakiewicza oraz red. naczelną TV Republika Dorotę Kanię.

Dziękujemy, że spędziliście z nami ten niezapomniany wieczór!

SPONSORZY

Energa
GRUPA ORLEN

WhyNot TRAVEL
PODRÓŻE SŁUŻBOWE

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Agnieszka Golańska-Bault

Nowa ustawa, która miała ograniczyć islamski terroryzm, przerodziła się w akt, który pozwoli zwalczać każdą wiarę. Czy wypowiedzenie wojny religii jako takiej było tym, czego oczekiwali Francuzi?

Francją w ubiegłym roku wstrząsnęła bestialska zbrodnia. 16 października 2020 r. w podparyskiej miejscowości Conflans-Sainte-Honorine zamordowany przez 18-letniego czeczeńskiego imigranta został 46-letni gimnazjalny nauczyciel geografii i historii – Samuel Paty. Imigrant w ten sposób zareagował na pokazywanie uczniom w ramach zajęć szkolnych o swobodzie wypowiedzi karykatur Mahometa pochodzących z pisma „Charlie Hebdo".

Francja zawrzała. Złość, oburzenie i oczekiwanie społeczne, że ktoś w końcu nazwie rzeczy po imieniu, opisze problem i podejmie zdecydowane działania przeciw destabilizującej Francję przemocy muzułmańskiej, nie mogły być dłużej ignorowane przez establishment. Emmanuel Macron w emocjonalnym przemówieniu po zamachu zadeklarował, że islamiści „nie przejdą… możecie liczyć na moją i rządu determinację".

Odpowiedzią na społeczny i cywilizacyjny kryzys, w którym od wielu lat i coraz głębiej pogrąża się Francja, miało być nowe prawo. Sam zamach był jednak jedynie katalizatorem prac legislacyjnych, gdyż zarys nowej ustawy prezydent przedstawił w Les Mureaux dwa tygodnie przed zbrodniczym atakiem na nauczyciela. Sam wybór miejscowości ogłoszenia strategii nie był przypadkowy. To tam bowiem mieszkał ekstremista islamski Larossi Abballa, który w 2016 r. zamordował dwoje funkcjonariuszy policji na oczach ich trzyletniego synka.

JAKIE TO PRAWO?

Na przestrzeni kilku miesięcy okazało się jednak, że ewoluowała nie tylko nazwa samego projektu (z ustawy przeciw separatyzmowi przemianowany został na ustawę o laickości), lecz

FOT. GONZALO FUENTES/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Laickością w islamistów?

także jego kształt, bo ostatecznie stał się ustawą o wzmocnieniu poszanowania wartości republikańskich. Ewolucja ta odzwierciedlała ducha nowych regulacji, które zamiast stać się ważnym orężem w walce z islamizmem we Francji, dały rządzącym nowy ideologiczny instrument do nękania wszystkich religii, czyli do dyscyplinowania tych, którym niekoniecznie bliskie są nowe wartości laickiej republiki, które nigdzie zresztą nie zostały precyzyjnie zdefiniowane.

Co ma zatem znaleźć się w akcie prawnym firmowanym przez prezydenta? Ustawa wprowadzi m.in. nowe przestępstwo, które zostanie wpisane do kartoteki sprawców przestępstw terrorystycznych, polegające na celowym narażeniu życia innej osoby poprzez publikowanie w sieci informacji na temat jej życia prywatnego (jak miało to miejsce w przypadku Samuela Paty'ego). Przewiduje też zasadę religijnej neutralności pracowników spółek prywatnych świadczących usługi o charakterze publicznym (np. firmy transportowe, lotniska) i zakaz zatrudniania w takim charakterze osób, które dopuściły się przestępstwa pochwały aktów terrorystycznych czy zachęcania do nich. Karze więzienia i grzywny podlegać będzie również zastraszanie i zawstydzanie radnych, posłów i urzędników państwowych przez osoby łamiące zasady laickości w sektorze usług publicznych. Ustawodawca postanowił również, że przyznanie publicznej subwencji stowarzyszeniom, w tym stowarzyszeniom religijnym, ma być uzależnione od przestrzegania przez daną organizację wartości Republiki. Miejsca kultu, w szczególności muzułmańskie meczety, funkcjonujące na podstawie ustawy o stowarzyszeniach z 1901 r., mają być objęte ustawą z roku 1905 (o rozdziale Kościoła od państwa), co ma umożliwić ich ścisłą kontrolę księgową i finansową. Każda darowizna powyżej 10 tys. euro będzie podlegała zgłoszeniu, podobnie jak wszelkie korzyści i przepływy pieniężne pozyskane przez organizacje religijne za granicą.

Nowe prawo ma również walczyć z praktyką wymuszonych małżeństw czy wystawiania certyfikatów dziewictwa. Ważnym elementem walki z separatyzmem na rzecz ugruntowania zasad laickości ma być rzecz jasna edukacja. I tak wprowadza się praktyczny zakaz edukacji domowej, który ogranicza tę formę kształcenia do sytuacji absolutnie wyjątkowych, a wszystkie dzieci w wieku od 3. do 16. roku życia objęte zostaną obowiązkiem szkolnym. Wzmocniona zostaje kontrola nad szkołami prywatnymi niepublicznymi, federacjami sportowymi, które również muszą zobowiązać się do przestrzegania zasad i wartości Republiki, a uchybienia w tym zakresie będą mogły skutkować administracyjną decyzją o ich zamknięciu.

CHYBIONE I NIESKUTECZNE

Wszystkie te represyjne środki, które w oficjalnej narracji rządu francuskiego mają powstrzymać fenomen „islamistycznego separatyzmu", budzą duże kontrowersje i określane są przez krytyków ustawy jako nieadekwatne i chybione, a także nieskuteczne. Ich zdaniem nowe prawo, zamiast porządkować kwestie koegzystencji islamu i Francuskiej Republiki, uderza bowiem głównie w tych, którzy nie mają żadnego problemu z przestrzeganiem zasad laickości państwa.

Emmanuelle Ménard, niezależna deputowana departamentu Hérault, w wywiadzie dla „Valeurs Actuelles" stwierdziła, że poprawność polityczna, uwarunkowania ideologiczne i klientelizm (imigranci tradycyjnie głosują na lewicę) powodują, iż: „[…] ze strachu wskazania palcem islamistycznego wroga wszystkich wrzuca się do jednego worka i karze się ludzi, którzy szanują prawa Republiki". – Myślę tu o sprawowaniu kultu – powiedziała w tym wywiadzie Emanuelle Ménard. – Wszystkie religie stawia się na tym samym poziomie, wszystkie powinny dostosować się do tych samych reguł, podczas gdy problem stwarzają tylko pieniądze z zagranicy napływające do radykalnych meczetów. Mam tu na myśli także stowarzyszenia i niepubliczne szkoły prywatne.

Nowe przepisy regulujące funkcjonowanie stowarzyszeń wyznaniowych, a także prywatnych szkół prowadzonych przez wspólnoty konfesyjne, uderzą najmocniej w organizacje protestanckie, katolickie i żydowskie. Zdaniem przedstawicieli tych grup religijnych dają one prefektom ogromną władzę o charakterze administracyjnym, kontrolnym czy wręcz represyjnym i uderzają bezpośrednio w wolność sprawowania kultu. Haïm Korsia, wielki rabin Francji, stwierdził, iż „należy uważać na to, jaki wpływ będzie miała (ustawa) na inne religie, tym bardziej że są wyznania, które od zawsze miały wzorcowe relacje z Republiką". Stwierdził też, że nie rozumie, dlaczego to właśnie one miałyby teraz płacić swoją wolnością, nabytą za tak wielką cenę, fakturę wystawioną przez grupy islamistyczne.

W podobnym duchu i z goryczą o nowej ustawie mówi François Clavairoly, prezes Francuskiej Federacji Protestanckiej, zrzeszającej 23 Kościoły protestanckie we Francji. „Muszę przyznać, że pierwszy raz, odkąd jestem prezesem Francuskiej Federacji Protestanckiej, znalazłem się w sytuacji, gdy muszę bronić wolności sprawowania kultu. Nigdy nie sądziłem, że coś podobnego może wydarzyć się w moim kraju…" – skomentował.

KOŚCIÓŁ ZANIEPOKOJONY

Arcybiskup Reims i przewodniczący Episkopatu Francji, Éric de Moulins-Beaufort, zarówno

eprasa.pl 25fbc9c3e1

w czasie swojego wystąpienia w komisji praw Zgromadzenia Narodowego, jak i w liście skierowanym do jego przewodniczącego François de Rugy wyraził głębokie zaniepokojenie Kościoła katolickiego planowanymi zmianami w prawie. Wskazał m.in. na poważne zagrożenia, jakie niosą ze sobą zapisy niektórych artykułów ustawy. „Zdumiewającą regresją" nazwał przyznanie prefektom prawa do zatwierdzania bądź nie danego kultu i zgłosił poważne zastrzeżenia do konceptu tzw. umowy republikańskiego zaangażowania, którą miałaby zawierać każda wspólnota wyznaniowa z państwem fancuskim, ponieważ otwiera ona drogę do zupełnie arbitralnych interpetacji prawa. Czy w republikańskiej umowie znaleźć się mogą zapisy o uznaniu aborcji za podstawowe prawo człowieka (sic!) lub tzw. homomałżeństw i czy od ich przyjęcia może zostać uzależnione dofinansowanie wyznaniowego stowarzyszenia, a nawet jego egzystencja? Nie jest to jasne, tym niemniej – jak pokazuje przykład Kanady – nic nie stoi na przeszkodzie, aby praktykę taką wprowadzić.

W związku z tym 9 marca abp de Moulins-Beaufort razem z pastorem Clavairolym oraz prawosławnym metropolitą Emmanuelem Adamakisem opublikowali w „Le Figaro" list otwarty, nawołujący ustawodawcę do poszanowania wolności religinej i zasady rozdziału Kościołów od państwa w duchu ustawy z 1905 r.

KONIEC NAUCZANIA W DOMU

Ogromne kontrowersje wśród rodziców dzieci w wieku szkolnym, a także wśród konstytucjonalistów wywołała zapowiedź zlikwidowania edukacji domowej. Ta forma nauczania dotyczyła dotychczas ok. 0,5 proc. dzieci we Francji (czyli ok. 50 tys. uczniów). Będzie ona odtąd dostępna niemal wyłącznie dla dzieci chorych. Na skorzystanie z tej formy nauki trzeba będzie uzyskać specjalną zgodę, choć dotychczas wystarczyło tylko jej zgłoszenie. Trudno precyzyjnie oszacować, jaki procent rodziców wybiera tę formę edukacji ze względów religijnych czy wręcz separatystycznych (żadne instancje państwowe nie prowdzą takich statystyk czy badań), ale sam Jean-Michel Blanquer, minister edukacji narodowej, ocenił, że problem ten dotyczyć może ok. 2–3 tys. uczniów.

Pod pretekstem rzekomo wymykającej się spod kontroli indoktrynacji muzułmańskich dzieci, która dokonywać się ma w domach, Macron ponownie uderzy w wolności obywatelskie wszystkich Francuzów. Prezes stowarzyszenia Educ'France, Anne Coffinier, podkreśla tymczasem, że motywacje, które skłaniają rodziców do wybrania tej formy edukacji, są bardzo różne i w zdecydowanej większości związane z predyspozycjami dziecka i troską o jego indywidualny rozwój, a profil religijny i polityczny rodzin decydujacych się na tę drogę nie jest jednorodny.

Alix Fourest ze stowarzyszenia wspierającego edukację domową Laia stwierdziła natomiast stanowczo, iż „nic nie wskazuje na to, że istnieje jakikolwiek związek pomiędzy radykalizacją a nauczaniem domowym. Nie jesteśmy terrorystami". Zauważyła także, że problem leży zupełnie gdzie indziej – chodzi o nielegalne formy edukacji, o szkoły koraniczne nigdzie niezgłoszone, o dzieci, które nie funkcjonują w żadnym systemie francuskiego szkolnictwa. Jej zdaniem jednak tych dzieci nikt nie chce w systemie znaleźć ani się o nie zatroszczyć.

Ustawa jest zawoalowaną próbą wprowadzenia miękkiego totalitaryzmu tam, gdzie Francuzi zachowali jeszcze enklawy wolności

Trudno oprzeć się wrażeniu, że deklaracje i kroki podjęte przez prezydenta Macrona i jego rząd są działaniem nie tylko pozorowanym, lecz także, że ich cel jest zupełnie inny. Zdawać się może, że wypowiedziano właśnie wojnę nie tyle islamistom, ile religii jako takiej, i że ustawa o wzmocnieniu wartości republikańskich jest zawoalowaną próbą wprowadzenia miękkiego totalitaryzmu wszędzie tam, gdzie Francuzi zachowali jeszcze enklawy wolności. Walka o utrzymanie prawa do edukacji domowej, choć wydaje się problemem marginalnym, nabiera tutaj znaczenia symbolicznego.

Najbardziej zaskakujący jest jednak całkowity brak logicznego powiązania rzekomego zwalczania radykalnego islamu z przybierającą na sile masową, głównie muzułmańską imigracją. Minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin wciąż zaklina rzeczywistość, mówiąc, że 75 proc. sprawców zamachów terrorystycznych to Francuzi – zapominając dodać, że pochodzą oni z imigracji. Wciąż toleruje się na francuskiej ziemi działalność tak radykalnych organizacji jak Bracia Muzułmańscy, w oficjalnych kartotekach MSW przybywa cudzoziemców związanych z terroryzmem i nie są oni systematycznie wydalani z Francji. Baronowie lokalnych rad kultu muzułmańskiego (CFCM), tacy jak Amine Nejdi, bez przeszkód głoszą swoje islamistyczne kazania w Internecie, a ponad 150 meczetów salafickich, nie licząc innych miejsc kultu pozostających pod wpływem mniej lub bardziej radykalnych odmian islamu, nieprzerwanie działa legalnie we Francji.

Projekt firmowany przez Emmanuela Macrona i jego ministrów znalazł się w ogniu krytyki głównej rywalki urzędującego prezydenta w najbliższych wyborach – Marine Le Pen. Jej partia – Rassemblement National (Zjednoczenie Narodowe, dawny Front Narodowy) – przygotowała własny projekt ustawy przewidujący zdecydowane zwalczanie wszelkich przejawów islamizmu. Chociaż ma małe szanse, by trafić pod obrady Zgromadzenia Narodowego, spór o sposoby walki z radykalnym islamem będzie z pewnością ważną osią pojedynku pomiędzy Le Pen a Macronem w przyszłym roku. Według badań IFOP aż 87 proc. Francuzów uważa, że laicki charakter państwa jest zagrożony, a 79 proc. twierdzi, że islamizm, czyli radykalny islam, wypowiedział wojnę narodowi i Republice.

Zdaniem Jeana-Frédérica Poissona, przewodniczącego chrześcijańsko-demokratycznej partii VIA, stawką toczącego się sporu jest jednak coś znacznie większego: „Nie chodzi o Republikę i jej wartości, których treść jest tak mglista, chodzi o Francję. O jej dziedzictwo, jej korzenie, jej chrześcijańskie źródła. Nadszedł odpowiedni czas, by sobie to uświadomić [...]. Gdy francuska lewica wzywa do stanowczości, nie możemy zapominać, że od pół wieku wykorzystywała ona imigrację jako pompę wyborczą, a obwinianie o wszystko judeochrześcijańskiej cywilizacji zachodniej było jej bronią masowego rażenia". Prezydent Macron zdaje się niestety nadal podążać tą drogą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. POLSAT

POLSKI SHOW OSKARŻONY Z POWODU „CZARNEJ TWARZY"

Polsat emituje show „Twoja twarz brzmi znajomo", podczas którego aktorzy ucharakteryzowani na gwiazdy estrady wykonują ich utwory. Maja Hyży wystąpiła tam jako czarnoskóry Bill Whiters. Brytyjski tabloid „Daily Mail" uznał to za rasistowski skandal i zrównał z „black face", czyli spektaklami w krajach kolonistycznych, w których naśmiewano się z czarnoskórych niewolników. Oczywiście Brytyjczycy by się nie oburzyli, gdyby pierwszy nie oburzył się polski dziennikarz Bartek Fetysz – bo to on uruchomił w sieci lawinę komentarzy w tej sprawie.

POMYSŁ DOBRY, ALE MERKEL ZŁA

Na całym świecie politycy nie potrafią się zdecydować, jak właściwie należy „walczyć" z pandemią. Kanclerz Niemiec twardo obstawała przy tym, żeby święta Wielkanocy były „spokojne" – czyli w lockdownie. A potem nagle wycofała się i zrezygnowała z obostrzeń, odczytując z kartki oświadczenie o tym, że „idea była dobra, bo trzeba walczyć z nowym wariantem wirusa, ale wykonanie złe". Przeprosiła i poprosiła obywateli o wybaczenie.

RZEKA Z OSOBOWOŚCIĄ

W Kanadzie pierwsza rzeka – Magpie River – uzyskała osobowość prawną. Oznacza to, że może być reprezentowana przed sądem przez swoich przedstawicieli prawnych. Teraz mieszkańcy i ekolodzy będą mogli wystąpić do sądu np. przeciw publicznemu dostawcy energii elektrycznej Hydro-Québec, gdyby np. chciał tam zbudować zaporę. Kanadyjczycy i tak nie są pierwsi. Cztery lata temu osobowości prawne rzekom przyznały Indie i Nowa Zelandia. Parlament Nowej Zelandii uznał wówczas rzekę za „istotę żywą".

FIRMOWA ŻAŁOBA PO IDOLU

Prezes japońskiej firmy Hitoro Inc. ujawnił w mediach społecznościowych, że jego przedsiębiorstwo pozwoli pracownikom na wzięcie tzw. urlopu kondolencyjnego. Dziesięć dni wolnych (płatnych) będzie przysługiwać tym pracownikom, którzy będą przeżywali ciężkie chwile w związku z tym, że ich idol muzyczny zakończy karierę i odejdzie na emeryturę albo zawrze związek małżeński. Jeśli na emeryturę przechodzi niekoniecznie ulubiony artysta, ale taki z czołówki ulubionych, to można dostać trzy dni płatnego urlopu.

SELFIE ZE ŚMIERCIĄ

Pewna użytkowniczka aplikacji TikTok pochwaliła się ujęciem z Bali, na którym trzyma na dłoni uroczą małą ośmiorniczkę. Polewała ją wodą, żeby ośmiorniczka się poruszała. Internauci szybko zwrócili uwagę, że to jedno z najbardziej jadowitych zwierząt morskich. Jego ukąszenie jest bezbolesne, ale jad wystarczyłby do zabicia ponad 20 ludzi. Tej tiktokerce się na szczęście upiekło. Dalej nagrywa. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Złodzieje czasu

Tuż przed Wielkanocą kolejny raz ukradziono nam godzinę. Ukradziono ją, choć zmiana czasu – wprowadzona w 1916 r. przez Rzeszę oraz sojusznicze Austro-Węgry – od lat przynosi głównie straty.

Główna zaleta – zmniejszenie zużywanej energii przez krajową gospodarkę – już dawno jest nieaktualna. Oszczędności są marginalne, a bywa, że zmiana czasu powoduje wzrost zużycia energii. Minusów jest zaś mnóstwo. Osoby, które zasypiają i budzą się o stałych porach, potrzebują kilku dni, aby poradzić sobie ze skutkami urzędniczego rabunku. Analizy dokonywane przez naukowców z różnych stron świata pokazują zaś, że skutkiem zaburzonej koncentracji jest wzrost liczby wypadków samochodowych, w pierwszych trzech dniach rośnie również ryzyko zawału serca. Zmiana czasu może też powodować zaburzenia układu immunologicznego, bezsenność, spadki nastroju i problemy z trawieniem.

Ze zmiany czasu zrezygnowały już Japonia, Chiny, Indie, Islandia, Rosja i Białoruś. Debatę w tej sprawie od lat prowadzą również eurokraci. I nie ma lepszego argumentu dla zwolenników tezy, że Unia ma „problem z demokracją". Bruksela w 2018 r. zarządziła ankietę. Wynik: 84 proc. pytanych chciało zniesienia zmiany czasu (wśród Polaków aż 95 proc.). Również z krajowych sondaży wynika, że zdecydowana większość Polaków nie chce już dłużej bezsensownie przesuwać wskazówek zegarków. Podobnie jest w innych krajach UE. Stosowną propozycję zmian eurokraci przygotowali w 2018 r. W 2019 r. udało się przegłosować zmianę prawa w europarlamencie. I co? Bezsens nadal trwa, bo rządzący skupili się na przegrywaniu z pandemią. Może więc zamiast tracić czas na zmiany czasu, pora zmienić polityków? ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Jakub Wozinski

W ekspresowym wyścigu po szczepionkę przeciwko koronawirusowi zwycięzcami nie okazali się wcale najwięksi faworyci. Szanse na zarobek mają także firmy z Polski

Szczepionkowy biznes

Dokładnie rok temu w gabinecie Donalda Trumpa na nadzwyczajnym spotkaniu pojawili się przedstawiciele tzw. Big Pharmy, czyli prezesi siedmiu największych amerykańskich firm farmaceutycznych. Prezydent motywował ich do wielkiego wysiłku na rzecz opracowania skutecznej szczepionki, oferując znaczne środki na badania. Narastająca atmosfera strachu przed rozwojem pandemii sprzyjała wspaniałomyślnym deklaracjom dotyczącym tego, w jaki sposób dystrybuowane będą szczepionki. Pojawiły się nawet głosy, że w razie opracowania skutecznego preparatu firmy zrzekną się praw patentowych po to, aby cały świat mógł jak najszybciej wyjść z kryzysu.

KOSZTOWNE BADANIA

Dziś o udostępnianiu patentów nikt już nie wspomina. Być może dlatego, że największe sukcesy w opracowaniu szczepionki odniosły nie tyle największe koncerny, ile te nieco mniej znane. Z firm, których prezesi pojawili się na spotkaniu Trumpa, jedynie trzem na razie udało się uruchomić regularną produkcję szczepionek, a jedynie Pfizer może mówić o prawdziwym sukcesie na dużą skalę.

Jako że środki na badania konieczne do opracowania szczepionek popłynęły w znacznej mierze z publicznej kasy, producenci zadeklarowali, że ceny będą odzwierciedlały jedynie koszty produkcji. Najwięcej pieniędzy otrzymała współpracująca z Uniwersytetem Oksfordzkim brytyjsko-szwedzka firma AstraZeneca (prawie 1,5 mld funtów), którą hojnie obdarowali także liczni prywatni darczyńcy (ponad 6 mld). W efekcie szczepionka tego producenta należy do najtańszych. Polska zdecydowała się na przystąpienie do programu wspólnych zakupów szczepionek dokonywanych przez Komisję Europejską i na podstawie umowy podpisanej w sierpniu ubiegłego roku ma otrzymać od brytyjsko-szwedzkiej firmy aż 16 mln dawek. Zgodnie z podpisanymi umowami Ministerstwo Zdrowia odmawia udzielenia informacji na temat cen, po których zakupiono poszczególne preparaty, jednakże przecieki z innych krajów wskazują na to, że w przypadku preparatu AstryZeneki wynosiła ona ok. 8 zł.

Niska cena sprawiła, że z całego świata brytyjsko-szwedzkie konsorcjum otrzymało już ponad 3,2 mld zamówień. Niemal trzy razy mniej szczepionek wyprodukują Moderna, Johnson & Johnson, Pfizer, Novavax i Sanofi/GSK. Ceny ich preparatów wynoszą obecnie ok. 30–65 zł, lecz żadna z tych firm nie otrzymała aż tak dużych środków na badania jak AstraZeneca. Z informacji przekazanych „Do Rzeczy" przez Ministerstwo Zdrowia wynika, że według stanu na 5 marca łączny koszt zakupu wszystkich zakontraktowanych i zarezerwowanych dawek wynosił 5,2 mld zł. Oznacza to, że uśredniona cena pojedynczej dawki zakupionej przez polski rząd wynosi ok. 52 zł.

RYNEK, KTÓRY ROŚNIE

Czy na produkcji szczepionek przeciwko koronawirusowi można więc w ogóle zarobić? Przed pojawieniem się COVID-19 globalny rynek szczepionek nie wyróżniał się na tle innych. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia w 2019 r. produkcja szczepionek warta była 33 mld dol. i stanowiła zaledwie 2 proc. całego rynku farmaceutycznego. Szczepionki przeciw grypie generowały zaś w ostatnich latach zaledwie

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

4 mld dol. przychodów rocznie. Nie dziwi więc to, że niektórzy ze światowych gigantów rynku farmaceutycznego dość szybko odpuścili sobie udział w wyścigu po szczepionkę. Amerykański potentat Merck wycofał się z projektu ze względu na brak jakichkolwiek zadowalających rezultatów prowadzonych przez siebie badań.

O sporych zyskach może mówić za to współpracujący z niemieckim BioNTechem Pfizer, który szacuje, że w bieżącym roku sprzeda szczepionki o wartości aż 15 mld dol. (dla porównania: taką samą wartość sprzedaży generuje rocznie dział onkologiczny firmy). Kwestią kluczową będzie to, czy COVID-19 okaże się ostatecznie chorobą sezonową, wymagającą opracowywania kolejnych wersji szczepionek jak w przypadku grypy. Przy realizacji takiego scenariusza koronawirus może się stać dla całej branży kolejną, niezwykle dochodową chorobą.

Jak będzie wyglądała przyszłość, nie wie nikt, ale pewne sygnały dotyczące prawdopodobnego rozwoju wydarzeń daje giełda. Od początku obecnego roku takie firmy jak Moderna, BioNTech czy też Novavax odnotowują rekordowe wzrosty nawet o kilkaset procent. W tym samym czasie stara farmaceutyczna gwardia zachowuje się co najwyżej poprawnie. Szczególną uwagę przyciąga założony przez małżeństwo tureckich imigrantów niemiecki BioNTech. Ulokowana w Moguncji firma jeszcze dwa lata temu zaliczyła spore niepowodzenie, gdy przy okazji debiutu na giełdzie musiała znacząco zredukować swoje oczekiwania i wycenę akcji. Główny właściciel, dr Ugur Sahin, zajmował się początkowo lekami i szczepionkami na raka, lecz gdy tylko pojawił się koronawirus, poświęcił się całkowicie opracowaniu szczepionki, a w jego przedsięwzięcie szybko zaangażował się Pfizer, z którym już wcześniej współpracował przy szczepionce na grypę. Dziś BioNTech jest w Niemczech celebrowany jako wzorowy przykład sukcesu odniesionego przez imigrantów, a dojeżdżający do pracy rowerem właściciel wartej ponad 22 mld dol. spółki przedstawiany jako prawdziwy bohater.

Ogromny komercyjny sukces dzięki przygotowaniu własnej wersji szczepionki przeciwko koronawirusowi odniosła także amerykańska firma biotechnologiczna Moderna, której prezesem i udziałowcem jest Francuz Stéphane Bancel. Został miliarderem już w kwietniu ubiegłego roku, gdy ogłoszono wstępne rezultaty testów. Od tego czasu Moderna stała się jedną z najjaśniejszych gwiazd na nowojorskiej giełdzie. Wprawdzie tak jak inne podmioty firma kierowana przez Bancela zadeklarowała, że cena szczepionki będzie odzwierciedlała przede wszystkim koszty produkcji, zastrzeżono jednocześnie wyraźnie, że zyski ze sprzedaży mają także odpowiednio wynagrodzić inwestorów.

POLSKIE AKCENTY

Jako że produkcja kilku miliardów dawek szczepionek to ogromne przedsięwzięcie, swój udział w nim mają także podmioty z Polski. Jednym z nich jest firma Mabion z Konstantynowa Łódzkiego, która będzie wytwarzała preparat stanowiący kandydata na szczepionkę amerykańskiej firmy Novavax. Liczący ok. 200 osób personel firmy już wkrótce będzie zapewne miał swój udział w produkcji szczepionki, której na całym świecie zamówiono aż 1,4 mld dawek. Ogłoszenie kontraktu przełożyło się błyskawicznie na wzrost notowań akcji Mabionu, który będzie mógł także liczyć na wsparcie ze strony Polskiego Funduszu Rozwoju.

W tym kontekście nie dziwi więc, że prace nad kolejnymi wersjami szczepionek przeciwko koronawirusowi trwają wciąż nieprzerwanie od wielu miesięcy (łącznie w fazie testów klinicznych jest aż 60 różnych preparatów), choć teoretycznie największe zamówienia zostały już złożone. Część z preparatów okazuje się wadliwa, a niektóre kraje decydują się na całkowite wycofanie poszczególnych partii szczepionek z użytku, dlatego szanse na sukces mają nawet firmy, które swoje badania ukończą dużo później niż światowi liderzy. Własną wersję szczepionki przygotowuje nawet Politechnika Warszawska, a jej cena miałaby wynosić ok. 10–30 euro, co jednak lokowałoby ją w gronie jednego z droższych preparatów.

WYŚCIG WCIĄŻ TRWA

Już wkrótce może się okazać, że na rynku pojawi się zdecydowanie więcej preparatów, gdyż nad własną wersją szczepionki pracuje wiele państw na świecie (do tego grona zalicza się nawet niesłynąca z zaawansowanego przemysłu farmaceutycznego Kuba). Do tej pory rekordowo krótki okres sprawdzania nowych szczepionek wynosił cztery lata. Koronawirus sprawił, że wszystko uległo znacznemu przyspieszeniu, a pierwsze szczepionki dopuszczono do użytku jeszcze przed upływem roku. W nieuchronny sposób zmianie uległ tym samym cały rynek farmaceutyczny, który za sprawą pandemii koronawirusa może wkrótce ulec bardzo istotnym przeobrażeniom. Ogromne społeczne zapotrzebowanie na produkcję kolejnych wersji szczepionek chroniących przed wciąż nowymi mutacjami może stworzyć bardzo nietypową sytuację, w której sezonowa choroba będzie dla całej branży generowała zyski niemal tak duże jak najbardziej powszechne choroby przewlekłe. Gdyby tak się miało stać, to wygranymi nowego rozdania na rynku z pewnością okażą się słabo dotąd znane firmy, takie jak BioNTech czy też Moderna.

Trudno dziś dokładnie określić, ile tak naprawdę warty jest rynek szczepionek na koronawirusa: wedle różnych szacunków miałby on wynosić od 40 do nawet 75 mld dol. w samym tylko 2021 r. Nawet najbardziej ostrożne szacunki pokazują jednak, że do wzięcia są naprawdę wielkie pieniądze. Bez względu na to, jak bardzo medialnie eksponowano by polski udział w produkcji szczepionek, firmy z naszego kraju partycypują w jednym z najważniejszych technologicznych wyścigów naszych czasów zaledwie w symboliczny sposób. Pomimo licznych pochwał płynących pod adresem polskiej gospodarki daleko jej jeszcze do pierwszej ligi w zakresie innowacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Zielone państwo narodowe

Krzysztof Tyszka-Drozdowski

Jedynym narzędziem do dekarbonizacji jest atom. Dlatego potrzeba nam ekologii pozbawionej lewicowych uprzedzeń względem państwa narodowego

Jednym z najdłużej trwających ideologicznych złudzeń Zachodu jest strach przed atomem. Zimnowojenny lęk przed nuklearną konfrontacją przesunął się na elektrownie jądrowe – to zjawisko z zakresu psychologii. Pokolenie baby boomerów nie tylko przytłoczyło nasze społeczeństwa swoimi ideałami obyczajowymi, lecz także ponadto zaszczepiło nam obawy, które rozumny, posiłkujący się faktami osąd powinien dawno odrzucić. Georges Monbiot, znany działacz ekologiczny, akademik i publicysta „The Guardian", dawniej wróg atomu, słusznie napisał: „Naszym obowiązkiem jest oprzeć nasze poglądy na dostępnej wiedzy. Nie tylko dlatego, że jesteśmy winni innym przedstawianie spraw tak, jak się mają, ale również dlatego, że nie wolno nam roztrwonić życia na bajki. Ten ruch [przeciw energii atomowej – przyp. aut.] wyrządził wielką krzywdę. Musimy to naprawić".

EKOLOGICZNY ROMANTYZM

Ekologia ma złą prasę na prawicy, bo tkwi w romantycznych iluzjach. Najbardziej szkodliwy z tych romantycznych mitów to odnawialne źródła energii. OZE przedstawia się jako najlepszy sposób na uratowanie środowiska i dekarbonizację, podczas gdy są one szkodliwe zarówno dla otoczenia naturalnego, jak i kompletnie niewydajne, jeśli chodzi o redukcję udziału węgla w gospodarce, a na dodatek niezwykle kosztowne dla zwykłych obywateli.

Zwolennicy OZE lubią powoływać się na sukcesy Kalifornii i Niemiec. Kalifornia od 2001 r. dokłada starań, aby pozbyć się paliw kopalnych i przerzucić się na OZE. Jej system energetyczny utrzymuje się w stanie ciągłego rozchwiania, a jej miasta przeżywają kolejne blackouty. Obok braku stabilności największą wadę stanowią rosnące koszty prądu: między 2011 a 2019 r., gdy słoneczny stan rozbudował swoje OZE, cena energii wzrosła o 30 proc. Niemcy z kolei wydały w sumie 580 mld dol. na OZE, a ich emisje CO_2 nie zmniejszyły się od dekady (w zeszłym roku tylko nieznacznie). Badanie OECD z 2019 r. pokazuje, że koszty elektryczności dla gospodarstw domowych wzrosły w Niemczech o 50 proc. między 2006 a 2017 r. Zwolennicy energii odnawialnej twierdzili, że ceny prądu będą rosnąć jedynie do 2023 r., lecz eksperci z OECD uważają, że koszty będą szły w górę tak długo, jak długo Niemcy będą rozwijać elektrownie słoneczne i wiatrowe, a więc przy obecnych tendencjach politycznych – bez końca.

Raport McKinsey dotyczący Energiewende – czyli niemieckiej transformacji energetycznej – bez ogródek określa ten projekt jako zagrożenie dla gospodarczego i energetycznego bezpieczeństwa państwa. Eksperci szczególną uwagę zwracają na niestabilność niemieckiego systemu – jej przyczyną jest oparcie się na energii wiatrowej i słonecznej, obu uzależnionych od rytmu natury, a więc nieregularnych. W czerwcu 2019 r. system był bliski zapaści i tylko import energii z sąsiednich krajów pozwolił zapobiec katastrofie. „Należy przypuszczać, że bezpieczeństwo zasobów energetycznych ulegnie dalszemu pogorszeniu" – stwierdzają specjaliści z McKinseya. Firma konsultingowa wystosowuje ponadto niepokojące ostrzeżenie: jeśli tak dalej pójdzie, to Niemcy nie zdołają sprostać swojemu zapotrzebowaniu za pomocą importów, bo w Europie nie starczy zapasów. Do takiej sytuacji może dojść już w ciągu następnych pięciu lat. Ten sam raport rzuca światło na cenę, jaką za Energiewende musiało zapłacić społeczeństwo. Ceny prądu w Niemczech są o 45 proc. wyższe od średniej europejskiej, a 54 proc. ceny to „zielony podatek". Konsultanci dochodzą do wniosku, że za późno na drobne korekty, z tego położenia można wyrwać się jedynie poprzez głęboką zmianę. Nie

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

wyjaśniają, na czym miałaby ona polegać. Polityczna poprawność nie pozwala wskazać na skuteczne rozwiązanie – na atom.

ENERGIA WIATROWA I EKSTERMINACJA NATURY

Radykalni działacze ekologiczni, Extinction Rebellion, oznajmiają na swojej stronie, że „znajdujemy się w samym środku wielkiej eksterminacji, do której doprowadziliśmy własnymi rękoma". Należy postawić jednak pytanie: Jeżeli Grecie Thunberg i Extinction Rebellion tak drogi jest los zagrożonych gatunków, to czemu popierają elektrownie wiatrowe? Ich turbiny wyniszczają całe populacje rzadkich ptaków, nietoperzy i owadów.

Naukowcy alarmują, że turbiny zagrażają istnieniu nietoperzy, które migrują wraz ze zmianami pór roku. Elektrownie wiatrowe stanowią śmiertelne zagrożenie dla dziesiątków rzadkich gatunków na całym świecie. Na swojej stronie Extinction Rebellion pochyla się także nad populacjami owadów, uczulając, że niemieckie, rozciągnięte prawie na trzy dekady badanie ujawniło, iż biomasa insektów uległa redukcji o 76 proc. To, o czym ci działacze nie wspominają, to fakt, który nie umknął niemieckim naukowcom: winą za eksterminację owadów należy obarczyć turbiny wiatrowe. Doktor Franz Trieb z Institut für Technische Thermodynamik zauważa, że „konserwatywne szacunki dotyczące wpływu farm wiatrowych na owady w Niemczech każą ustalić rokroczną stratę na poziomie 1,2 tryliona insektów". Stabilność populacji – mówi Trieb – jest zagrożona.

JEDYNA DROGA DO DEKARBONIZACJI

OZE są nie tylko niebezpieczne dla bioróżnorodności naszej przyrody, lecz także przede wszystkim nie są w stanie osiągnąć założonego celu. Odejście od węgla za pomocą odnawialnych źródeł energii, takich jak wiatr i słońce, będzie kosztować nas nie tylko obniżenie poziomu życia. Ceną może być cywilizacyjna degradacja.

Energia jądrowa stanowi najszybszą i najpewniejszą drogę do dekarbonizacji. Dowodów dostarcza historia. Największa i najgwałtowniejsza redukcja zużycia węgla następowała w krajach, które rozbudowywały energetykę atomową i elektrownie wodne. Korea Południowa rozwinęła swój potencjał w zakresie energii jądrowej w ciągu dziewięciu lat – w okresie od 1983 do 1992 r. – i w tym czasie nastąpił największy w tym kraju spadek zużycia węgla. Podobnie było we Francji, gdzie dekarbonizacja nabrała tempa i rozmachu w epoce największego rozkwitu energetyki atomowej – od końca lat 70. do końca lat 80.

Żaden program nuklearny nie ruszy jednak bez woli politycznej. Aby takie przedsięwzięcie uruchomić, elity państwowe muszą wykazać się wolą konstrukcji i nadać instytucjom zmysł strategiczny. Hiperpartyjność współczesnych demokracji i zaostrzająca się polaryzacja polityczna nie sprzyjają tego rodzaju dalekosiężnym celom państwowym. Atom mógłby stanowić fundament naszej energetycznej suwerenności, lecz wymagałoby to skoordynowanych działań na wielu polach, również w dziedzinie kształcenia, tak aby Polska miała własne kadry w tym kluczowym obszarze.

Ruch ekologiczny przez dekady powtarzał slogany o lokalizmie i oddolnej organizacji, lecz historia pokazuje, że to nie ograniczone i zdecentralizowane inicjatywy prowadzą do dekarbonizacji, lecz energia państwowa skupiona w odpowiednim kierunku. Warunkiem skutecznej polityki ekologicznej jest państwo obdarzone wolą strategicznego działania i dbające o własną suwerenność. Anatol Lieven w książce „Climate change and the nation state" głosi, że wyłącznie państwo narodowe może przeciwstawić się rujnującym następstwom zmiany klimatu. Wierzy on, że wzrost temperatury o dwa, trzy stopnie wyzwoli strumień migracji z globalnego południa, którego skala będzie nieporównywalna z tym, czego doświadczyliśmy w dotychczasowej historii, nawet z hordami barbarzyńskimi, które wdarły się do antycznego Rzymu. W ujęciu Lievena społeczeństwa wielokulturowe kończą zawsze w ten sam sposób: stają się dysfunkcyjne i, wzorem współczesnych Stanów, marnują czas i zasoby na bezowocne kłótnie wokół statusu mniejszości, wokół pomników i historycznych wspomnień. Walka ze zmianami klimatu, zdaniem Lievena, wymaga spójnego, zgodnego społeczeństwa, wspólnoty zdolnej do długotrwałego i skoncentrowanego politycznego działania.

NOWOCZESNA PRAWICA

Nowoczesna prawica nie powinna wierzyć ekologicznym mrzonkom, które w państwie narodowym widzą przeszkodę w walce o środowisko naturalne. Potrzeba ekologii oczyszczonej ze złudzeń oraz ze złogów ideologicznych pielęgnowanych od 50 lat, potrzeba ekologii awangardowej technologicznie i pozbawionej lewicowych uprzedzeń względem państwa narodowego. Prawica powinna odnowić ekologię, pozbawić ją romantyzmu i zaszczepić realizm. Przydatne wzorce płyną tutaj z dziejów gaullistowskiej prawicy, która rozbudowywała francuski potencjał jądrowy. Jeden z tych, którzy stworzyli francuską suwerenność energetyczną opartą na atomie, prezydent Georges Pompidou, powiedział: „Przyroda jawi się nam coraz mniej jako straszliwa potęga, którą należy opanować, a coraz bardziej jako cenne i kruche ramy życia, o które trzeba dbać, aby Ziemia dalej nadawała się do zamieszkania". Prawica to ciągłe szukanie sposobów, aby ocalić to, co nam najdroższe. To dążenie, które nie powinno przywiązywać się do żadnych dogmatów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Niebezpieczne zapory

Andrzej Solecki

Awarie elektrowni wodnych były w historii bardziej tragiczne niż awarie elektrowni atomowych. Przypominać może o tym powódź w Indiach, której ofiarami w lutym padli budowniczowie instalacji hydroenergetycznej

Najgorszą opinię ma energetyka jądrowa, a awarie w Czarnobylu i Fukushimie przytaczane są jako koronne argumenty przeciwko jej rozwojowi. Czarny obraz energetyki jądrowej wynika z braku wiedzy i manipulacji medialnych, dlatego warto przytoczyć tu klika faktów.

W wyniku awarii w Czarnobylu (26 kwietnia 1986 r.) do roku 2004 zmarło 47 napromieniowanych pracowników (według raportu Komitetu Naukowego ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego – UNSCEAR). Do roku 2005 stwierdzono 6848 nowotworów tarczycy, spowodowanych przez radioaktywny jod wśród osób, które w roku 1986 miały poniżej 18 lat. W grupie tej zmarło 15 osób. Należy podkreślić, że ekspozycja na radioaktywny jod w znacznej mierze wynikła z braku stosownych środków zapobiegawczych. Ponieważ okres połowicznego rozpadu jodu J-131 wynosi osiem dni, po 80 dniach skażenie nim zmniejszyło się tysiąckrotnie. Raport MAEA z roku 2005 ocenia liczbę zgonów spodziewanych w ciągu całego dalszego życia ofiar, które można przypisać Czarnobylowi, na 4 tys.

Należy tu oddać hołd śp. prof. Zbigniewowi Jaworowskiemu, byłemu przewodniczącemu Komitetu Naukowego ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR), który zainicjował profilaktyczną akcję podawania polskim dzieciom jodu. Zagrożenie dotyczyło tylko młodocianych ze względu na intensywne wchłanianie jodu w tym wieku. Jak oceniał później sam profesor, akcja ta w świetle obecnej wiedzy była zbędna, ale wynikła z braku rzetelnych informacji ze strony służb sowieckich.

W przypadku awarii w Fukushimie (11 marca 2011 r.) media donosiły o „tysiącach napromieniowanych ofiar", ale chodziło o tysiące ofiar tsunami, których ciała zostały napromieniowane.

Dopiero w roku 2018 japońskie ministerstwo zdrowia potwierdziło pierwszy przypadek zgonu, który można było powiązać z awarią jądrową – śmiertelny nowotwór płuc u napromieniowanego pracownika elektrowni.

Jak doniósł 3 września 2013 r. dziennik japoński „Mainichi Shimbun", liczba zgonów w prefekturze Fukushima, spowodowanych stresem po katastrofie, osiągnęła 1539. Większość tych przypadków (w tym dziewięć samobójstw) wynikała ze stresu związanego z ewakuacją. Należy pamiętać, że dodatkową przyczyną stresu było trzęsienie ziemi i tsunami, które zabiło 19 575 osób.

Znacznie lepszą, acz niezasłużoną opinią cieszy się energetyka wodna, ponieważ mało kto wie, że awarie z nią związane były najbardziej tragicznymi w historii.

PRAWIE WSZYSCY ZGINĘLI W LONGARONE

9 października 1963 r. ok. godz. 23 w Wiedniu i Brukseli zarejestrowano wstrząs sejsmiczny. Był on efektem osuwiska, które wtargnęło do zbiornika elektrowni wodnej, budowanej na rzece Vajont, 100 km na północ od Wenecji. Rozbryzg wody uniósł rumosz skalny na wysokość ok. 280 m, a 50 mln m sześc. wody przelało się ponad stumetrową falą nad zaporą o wysokości 262 m. 1,6 tys. m w dół rzeki fala powodziowa osiągnęła wysokość 75 m.

Ta najwyższa wówczas na świecie zapora, której zbiornik mógł pomieścić prawie 170 mln m sześc. wody, przetrwała katastrofę. Zagrożenie przyszło ze strony południowego niestabilnego zbocza doliny, zbudowanego z wapieni z przewarstwieniami iłowców, które po zawilgoceniu tworzą znakomite powierzchnie poślizgu. Już w roku 1959, dwa lata po rozpoczęciu budowy, stwierdzono na tym zboczu ślady przesunięć i pęknięć. Trójka ekspertów stwierdziła, że istnieje zagrożenie osuwiskiem, ale ich opinię zignorowano, mimo że w tym samym roku na oddalonym o ok. 10 km zbiorniku Pontesei osuwisko o objętości 3 mln m sześc. spowodowało 20-metrową falę, która zabiła pracownika Arcangela Tizianiego, zmywając go z korony zapory.

4 listopada 1960 r. w trakcie wypełniania zbiornika Vajont przy poziomie wody

eprasa.pl 25fbc9c3e1

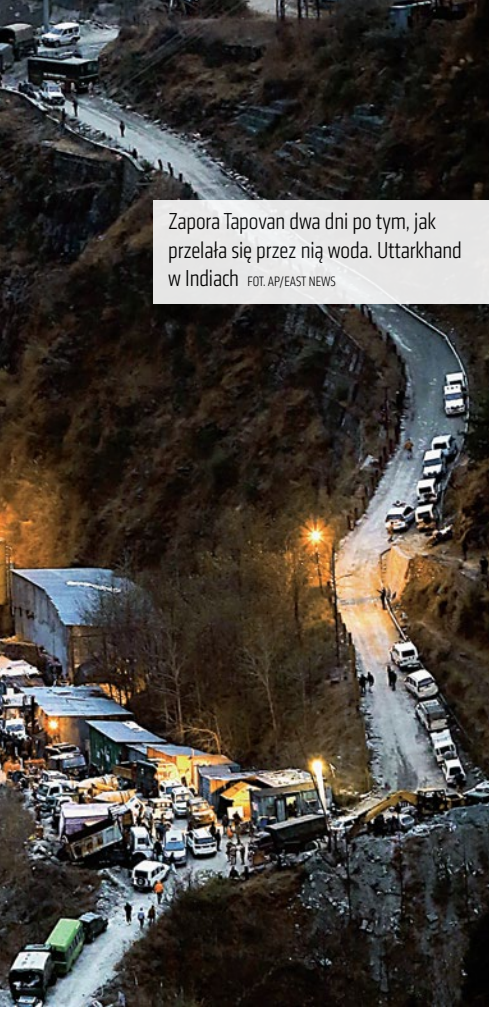

Zapora Tapovan dwa dni po tym, jak przelała się przez nią woda. Uttarkhand w Indiach FOT. AP/EAST NEWS

645 m n.p.m. pierwsza lawina skał, o objętości ok. 0,8 mln m sześc., wtargnęła do zbiornika. Dwumetrowa fala, która wtedy powstała, nie spowodowała żadnych strat. Od listopada do grudnia 1960 r. poziom wody w zbiorniku obniżono do 600 m n.p.m. W październiku 1961 r. zakończono budowę tunelu obejściowego, mającego łączyć górną i dolną część zbiornika w przypadku rozdzielenia ich przez ewentualne kolejne osuwisko. W maju i kwietniu 1962 r. mieszkańcy wiosek Erto i Casso donosili o drganiach gruntu, ale ich doniesienia zignorowano. W listopadzie 1962 r., na skutek intensywnych opadów, poziom wody w jeziorze osiągnął 700 m n.p.m. Zaobserwowano wzrost prędkości osuwiska do 1,27 cm dziennie. W okresie od grudnia 1962 r. do marca 1963 r. obniżono poziom wody, co wstrzymało ruch osuwiska. Od kwietnia do lipca podniesienie poziomu wody o 4,9 m do wysokości 705 m n.p.m. spowodowało ponowne uruchomienie osuwiska pełznącego z prędkością do 0,5 cm dziennie.

Latem 1963 r. kolejna fala opadów podniosła ilość wody w zbiorniku do najwyższego poziomu – 710 m n.p.m., czyli 15 m poniżej korony zapory, a zbiornik osiągnął głębokość 248 m. Zmierzona w tym czasie prędkość osuwiska wynosiła ponad 3 cm dziennie. Rozpoczęto więc kolejne obniżanie poziomu wody. Do 4 października przemieszczenie osiągnęło prawie 8 cm dziennie.

9 października zaobserwowano osuwanie się drzew i skał do jeziora, w związku z czym ruch na drogach poniżej zapory został ograniczony. O godz. 22.39 gigantyczne osuwisko o objętości 260–270 mln m sześc., z prędkością szacowaną na 90–110 km/h, w ciągu 45 s wtargnęło do jeziora, wyrzucając 50 mln m sześc. wody przez koronę zapory. O godz. 22:43 woda dotarła do miasteczka Longarone, zrównując je z ziemią i zabijając 1269 osób (94 proc. mieszkańców). W sumie w powodzi, która objęła również kilka wiosek, miało zginąć od 1,9 tys. do 2,5 tys. osób. Była to cena za zignorowanie wiedzy geologicznej w czasie projektowania zbiornika.

CHIŃSKA KATASTROFA

Dwadzieścia dwa lata później w Chinach zignorowanie obaw hydrologów przyniosło jeszcze więcej ofiar w trakcie awarii tamy Banqiao (a właściwie całego zespołu 62 tam), w chińskiej prowincji Henan. Miała ona miejsce 8 sierpnia 1975 r. Związana z nią powódź zalała 12 tys. km kw., wpływając na życie ponad 10 mln osób, spośród których 26 tys. zginęło natychmiast, a ok. 145 tys. zmarło w wyniku spowodowanej przez powódź epidemii oraz klęski głodu.

Rozpoczęta w kwietniu 1951 r. budowa tam, wspierana przez ekspertów sowieckich, podyktowana była nie tylko chęcią pozyskania energii, lecz także zamiarem zmniejszenia zagrożenia powodziowego. Ukończona w czerwcu 1952 r. największa zapora o wysokości 24,5 m była wykonana z gliny. Całkowita pojemność zbiornika wynosiła 492 mln m sześc., z czego 375 mln m sześc. było rezerwą powodziową. Średni roczny opad w tym rejonie wynosi ok. 800 mm. Tamę i zbiornik zaprojektowano tak, aby przetrwały przewidywaną dla tego rejonu powódź tysiąclecia, mogącą wystąpić przy opadzie 306 mm na dobę. Tajfun w sierpniu 1975 r. przyniósł opady rzędu 1631 mm na dobę. O godz. 0.30 przerwana została najmniejsza tama Shimantan. Pół godziny później fala powodziowa dotarła do tamy w Banqiao i zniszczyła ją. W ciągu sześciu godzin ze zbiornika tamy Banqiao wypłynęło 701 mln m sześc. Zbiornik nie został opróżniony uprzednio z powodu trudnej sytuacji powodziowej w dole rzeki. Fala powodziowa z przerwanej tamy, posuwająca się z prędkością do 50 km/h frontem o szerokości 10 km, przekroczyła 5 m wysokości, niszcząc kolejne zapory, drogi, linie energetyczne i pochłaniając osiedla ludzkie. Całkowity wyciek ze zniszczonych 62 tam wyniósł 15,74 mld m sześc.

Główną przyczyną katastrofy był fakt, że nie przewidziano tak wysokiego poziomu opadów. Wprawdzie wybitny chiński hydrolog, Chen Xing, krytykował gromadzenie nadmiernych ilości wody i zalecał zbudowanie 12 śluz przepływowych w tamie Banqiao, ale odsunięto go od projektu, a jego opinię odrzucono, poprzestając na pięciu śluzach. Również w pozostałych tamach przyjęto niższe standardy bezpieczeństwa. Kiedy w roku 1961 pojawiły się pierwsze problemy z systemem tam, ponownie przyjęto go do zespołu, ale na skutek jego kolejnych krytycznych uwag ostatecznie zrezygnowano z jego usług.

Budowa zapór piętrzących gigantyczne ilości wody przypomina zakładanie pułapki na myszy. Naturalny lub sztuczny impuls może wywołać lawinę katastrofalnych zdarzeń. Zbiorniki takie są łatwym celem operacji militarnych, o czym przekonali się Niemcy w 1943 r., gdy lancastery RAF poważnie uszkodziły tamy Möhne i Edersee, pochłaniając ponad 1,6 tys. ofiar, głównie zagranicznych robotników przymusowych, i spadek mocy o 21 MW.

17 sierpnia 2009 r. awarii uległa turbina największej rosyjskiej i szóstej na świecie Sajańsko-Szuszeńskiej Elektrowni Wodnej na Jeniseju. Woda spiętrzona przez 242-metrową tamę zalała budynek elektrowni i zabiła 75 osób. Brak 6,4 tys. MW zainstalowanej mocy spowodował nie tylko brak prądu w części osiedli, lecz także odcięcie dostaw prądu do syberyjskich hut aluminium, co zagroziło spadkiem produkcji o 500 tys. ton. Według oficjalnego raportu przyczyną wypadku było zużycie łożyska turbiny, ale warto nadmienić, że cztery dni po awarii rebelianci czeczeńscy oświadczyli, iż był to skutek ich zamachu.

Przegląd literatury wskazuje, że według większości źródeł średnia liczba ofiar przy wyprodukowaniu tej samej ilości energii dla energii wodnej jest znacząco wyższa niż dla energetyki jądrowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Byle nie Poczta Polska

Jakież było moje zdumienie, gdy przeczytałem, że z powodu cięcia zatrudnienia związki zawodowe pocztowców grożą Poczcie Polskiej protestem, który „może ją sparaliżować". Bo moje doświadczenia z PP dowodzą, że ona od dawna jest sparaliżowana, a czas COVID-19 dobił ją ostatecznie.

„Mój" listonosz (to zapewne wina nie tylko jego, lecz także całego „systemu PP") „potrafi" dostarczyć list polecony nadany w Warszawie po kilku tygodniach – dwóch, trzech, czasami czterech i więcej. A przecież miejscowość, w której mieszkam, jest oddalona od granicy Warszawy zaledwie o kilka kilometrów. Nadto, jakimś trafem, listy zazwyczaj docierają do mnie „stadami", zawsze wtedy rodząc podejrzenie, że ktoś ich nie dostarcza od razu, gdy przychodzą, lecz dopiero wtedy, gdy uzbiera się ich większa liczba. Dalej, „mój" listonosz „potrafi" nie zadzwonić do drzwi, by przekazać listy polecone (ostatnio było ich siedem), mimo że domownicy przez cały dzień są w domu, lecz zostawić w skrzynce awizo. A odebranie owych listów, w przypadku „mojej" małej placówki pocztowej, oznacza konieczność odstania w kolejce – na zewnątrz, jeszcze miesiąc temu – na zimnie, czasami kwadransa, a czasami dwóch. Na uwagę dotyczącą postępowania listonosza „pani w okienku" zrezygnowanym głosem odpowiada: „Mówimy, żeby tak nie robił, a on i tak robi, co chce". Ale i to przecież nie wszystko, bo „mój" listonosz „potrafi" tak umieścić awizo, że trudno je w skrytce zauważyć (no dobrze, akurat to może nie było jego winą), a z drugim – powtórnym – awizem w ogóle się nie pofatygować (to już na pewno było jego winą) i tak oto listy polecone (było ich aż pięć) powędrowały z powrotem do nadawców. Z nieco innej beczki, ów „system Poczty Polskiej" „potrafi" w czwartek przysłać mi SMS o treści: „2021-03-01 została do Ciebie nadana przesyłka (tu link do śledzenia jej trasy)", w piątek kolejny SMS o treści: „Dziś doręczymy Twoją paczkę (tu pada jej numer). Uzgodnij bezpieczną dostawę. Kurier tel. (tu numer telefonu kuriera). Odbierz za pomocą kodu odbioru: (tu numer kodu)". Oczywiście kurier ani nie odbiera żadnego z moich czterech telefonów, ani nie przyjeżdża, ani też – tym samym – żadna paczka do mnie nie dociera. Itd., itp.

Rzecz jasna, lekarstwo na brakoróbstwo PP jest banalnie proste – nie korzystać z jej usług. I tak też czynię – zawsze, gdy mam do wyboru innego dostawcę, wybieram właśnie jego, nigdy – PP (niestety, nie ma wpływu na decyzje tych, którzy wysyłają coś do mnie). Najchętniej korzystam z usług InPostu, którego perfekcja budzi mój podziw i od którego PP mogłaby się uczyć dosłownie wszystkiego, ale czy nauczyć, w to już wątpię. Albowiem, niestety, jak wiadomo, krzywdzi ją polskie państwo, zapewniając w wielu dziedzinach monopol – i w ten prosty sposób umacniając w niej to, co najgorsze, i uniemożliwiając naprawę. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

List z 2040 r.

Szanowni państwo, drodzy rodacy!

Z ogromną nadzieją witamy nowy 2040 r. Za nami trudne 20 lat zmagań z pandemią. I choć batalia trwa nieco dłużej, niż początkowo przewidywaliśmy, to jednak trzeba powiedzieć, że teraz naprawdę widać już światełko w tunelu. Liczba zakażonych szczególnie groźną mutacją JK 2334/454.7.34, znaną też jako papuasko-nowogwinejsko-północnosyberyjska z domieszką argentyńsko-kongijską, wyraźnie maleje i wynosi w Polsce już tylko ok. 20 tys. osób dziennie.

Trzeba potępić tych, którzy próbują oszukać Narodową Straż Antycovidową, zakładając przestarzałe kombinezony

To pozwoliło nam w ostatnich dniach po raz pierwszy w tym roku uruchomić loterię dla chorych na choroby inne niż COVID. Do rozlosowania jest aż 1,5 tys. miejsc szpitalnych, w tym 20 na oddziałach onkologicznych. Przypominamy, że w loterii może wziąć udział każdy obywatel, który przyjął w ciągu ostatnich dwóch miesięcy szczepionkę typu 1145-M.

Ta właśnie szczepionka, nad którą naukowcy z całego świata pracowali ofiarnie przez ostatnie trzy miesiące, a więc wyjątkowo długo i dokładnie, wydaje się być w tej chwili skuteczna w odniesieniu do aż 65 proc. oficjalnie odnotowanych odmian wirusa. Nie niesie również ze sobą – według ocen Europejskiej Agencji ds. COVID – efektu ubocznego poprzedniej szczepionki, a więc zarastania oczu chitynowym pancerzykiem, co wiązało się ze znaczącym pogorszeniem wzroku. Aczkolwiek, co warto przypomnieć, dawało to mimo wszystko 25-procentową szansę na uniknięcie choroby w przypadku 34 proc. odnotowanych mutacji.

Jeżeli najnowsza akcja szczepień będzie przebiegała sprawnie, to doradcy medyczni premiera twierdzą, że już w marcu będzie można aż na tydzień otworzyć muzea – po raz pierwszy od pół roku – zaś nawet na dwa tygodnie odblokowany zostanie dostęp do lasów. Wszystko to oczywiście w reżimie sanitarnym – przypomnieć trzeba, że nadal w przestrzeni publicznej, a więc także w lasach, obowiązują kombinezony antywirusowe wzór 15/2038. Jednocześnie trzeba zdecydowanie potępić tych, którzy próbują oszukiwać Narodową Straż Antycovidową, zakładając przestarzałe kombinezony wzór 14/2038. W ten sposób narażają nie tylko siebie, lecz także całe swoje otoczenie.

Szanowni państwo! Nam wszystkim jest ciężko i wszyscy mamy już dość. Lecz apeluję: wytrzymajmy jeszcze sześć, może najwyżej 16 miesięcy. Finał jest już na wyciągnięcie ręki. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2021–2023"

11 maja 2021 r.

NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI
ŚWIATA MEDYCYNY ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 25fbc9c3e1

TEST „DO RZECZY": INTELIGENTNA KAMERA EZVIZ C3X

Wyraźny, pełen szczegółów, kolorowy obraz, możliwość jednoczesnego rejestrowania zdarzeń w chmurze i na karcie SD oraz wbudowana bardzo głośna syrena alarmowa – to największe zalety urządzenia chińskiej firmy EZViz reklamowanego jako pierwsza na świecie inteligentna kamera z podwójnym obiektywem.

Bardzo solidnie wykonana, ważąca 425 g kamera ukryta w metalowej obudowie pozytywnie wyróżnia się na tle tańszych plastikowych zewnętrznych kamerek IP. Certyfikat IP67 zapewnia zaś, że urządzenie powinno poradzić sobie nawet podczas burzowych, deszczowych, a nawet mroźnych dni (według producenta może pracować w temperaturach od –30 do +60 st. C). Urządzenie jest też bajecznie proste w konfiguracji – po podłączeniu kamery do prądu użytkownika krok po kroku do pełnej aktywacji prowadzą komunikaty głosowe (szkoda jedynie, że są one tylko po angielsku).

Urządzenie zostało wyposażone w podwójne soczewki, podwójne diody podczerwone oraz w dwa obiektywy o jasności f/1.6 – jeden rejestruje jasność, a drugi informacje o kolorze, po czym procesor wykorzystując inteligentne algorytmy, łączy zebrane dane w bogaty w detale obraz.

I rzeczywiście największą zaletą testowanej kamery jest jakość nagrań rejestrowanych w rozdzielczości 1920 x 1080 z prędkością do 25 kl./s.

Urządzenie może się więc sprawdzić zarówno do domowego użytku, jak i do zastosowania w celu ochrony biura czy przedsiębiorstwa.

Po wykryciu ruchu urządzenie może automatycznie uruchamiać wbudowaną syrenę alarmową oraz światło stroboskopowe (w razie potrzeby użytkownik może też je uruchomić ręcznie, np. jeszcze zanim urządzenie dostrzeże zbliżającego się włamywacza). Zamiast syreny kamera może też emitować komunikat: „Wszedłeś na strzeżony teren, opuść go natychmiast" lub dowolny inny nagrany przez użytkownika. Urządzenie pozwala również na dwukierunkową komunikację. Można więc, będąc akurat w pracy lub na zakupach, poprosić kuriera, aby przerzucił paczkę przez płot.

Kolejnym plusem modelu EZViz C3X, który może być szczególnie przydatny w razie wizyty nieproszonych gości, jest możliwość zapisywania nagrań jednocześnie na karcie microSD (o pojemności do 256 GB) oraz w chmurze EZViz. Kamera może w czasie rzeczywistym przesyłać powiadomienia na smartfon/tablet i korzystanie z tej funkcji nie wymaga żadnych opłat. Przeglądanie nagrań do 24 godzin wstecz jest bezpłatne. Jeśli jednak ktoś chciałby obejrzeć zachowane nagrania z ostatnich siedmiu dni lub roku, to musi wykupić subskrypcję, która w zależności od wybranego okresu przechowywania kosztuje odpowiednio 209,99 lub 419,99 zł rocznie. To dużo, nawet w porównaniu z takimi firmami jak Nest, Ring czy Arlo, zwłaszcza jeśli chce się korzystać z chmury dla kilku kamerek.

Inne wady? Szkoda, że EZViz C3X nie ma wbudowanego akumulatora, który pozwoliłby jej pracować w razie awarii sieci lub celowego odłączenia prądu przez włamywaczy. Drugi minus jest poważniejszy: chociaż inteligentny system nie włącza alarmu, gdy kamera „zobaczy" kota lub niesiony wiatrem liść, to już właściciele większych psów mogą być nieco zawiedzeni. EZViz C3X alarmuje bowiem nie tylko, gdy dostrzeże człowieka lub samochód, lecz także wtedy, gdy zauważy dużego psa. Trzeci drobny minus to brak wsparcia dla Homekit.

Mimo tych wad EZViz C3X jest godny polecenia osobom, którym zależy na solidnej kamerce, bardzo dobrej jakości obrazu i kolorowych nagraniach nawet w nocy. Cena: 749 zł. ©℗

Jacek Przybylski

BEZPRZEWODOWY ODKURZACZ LASEROWY

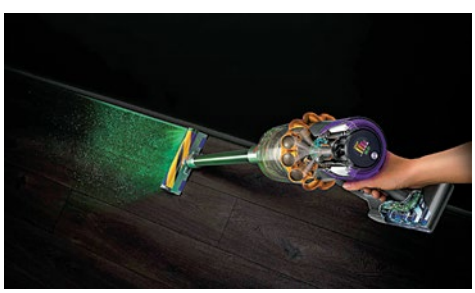

V15 Detect – najnowszy model bezprzewodowego odkurzacza firmy Dyson – został wyposażony w laserowy system wykrywania kurzu, który podświetla podłogę tak, aby zobaczyć nawet najdrobniejsze zabrudzenia. Specjalny czujnik piezoelektryczny pomaga też komputerowi zidentyfikować ilość i rodzaj zbieranych zanieczyszczeń, aby w razie potrzeby automatycznie zwiększyć siłę ssania. V15 Detect został również wyposażony w ekran LCD, na którym wyświetlają się informacje dotyczące akumulatora (maksymalny czas sprzątania na jednym ładowaniu to 60 minut), różnych trybów odkurzania, a także ilości i rodzaju odkurzanego pyłu. Nowy odkurzacz trafił już do sprzedaży. Cena: ok. 2,8 tys. zł.

NAJMĄDRZEJSZA MASECZKA ŚWIATA?

Firma Razer, znana z produkcji sprzętu dla graczy komputerowych, ogłosiła, że jest coraz bliżej uruchomienia produkcji wielorazowej maseczki typu smart. Maska wykonana z przyciemnianego przezroczystego plastiku po dwóch stronach ma otwory z filtrami antybakteryjnymi i wentylatorami o efektywności na poziomie 95 proc. Maseczka wyposażona jest też w głośniki, dzięki którym każdy ma wyraźnie słyszeć ich użytkownika, oraz w dwa mikrofony, a także w charakterystyczne oświetlenie RGB. Razer czeka już tylko na certyfikat amerykańskiej Agencja Żywności i Leków, aby móc sprzedawać swój gadżet jako produkt medyczny. Niestety, producent nie ogłosił jeszcze ceny urządzenia. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 25fbc9c3e1

RAPORT O MOTORSPORCIE

Nowy sezon Formuły 1

Start najlepszej ligi żużlowej na świecie

PGE Polska Grupa Energetyczna

PGE EKSTRALIGA

EPSON EXCEED YOUR VISION

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. MARCIN KARCZEWSKI

Najlepsze emocje świata

Na początku kwietnia wystartowała żużlowa PGE Ekstraliga. Na taką informację czekali kibice nad Wisłą. Na razie trybuny są przymusowo puste, ale sportu na najwyższym poziomie nie zabraknie

Nie ma w Polsce drugiej tak mocnej ligi. Chyba tylko siatkarze mogą się porównywać z żużlowcami, jeśli chodzi o poziom sportowy i prestiż rozgrywek. Nie bez przyczyny PGE Ekstraligę nazywa się „najlepszą ligą świata" (to nawet oficjalne hasło tej rywalizacji) i jest to stwierdzenie odpowiadające rzeczywistości.

To tutaj kibice mogą podziwiać najbardziej znanych i utytułowanych zawodników, z dwukrotnym mistrzem świata Bartoszem Zmarzlikiem, widowiskowo jeżdżącym Brytyjczykiem Tai Woffindenem i zdolnym Rosjaninem Emilem Sajfutdinowem na czele. To tutaj wychowuje się obiecujących juniorów, którzy zastępują mistrzów schodzących powoli ze sceny. Młodym żużlowcom ma pomóc również wprowadzenie przepisu o obowiązkowym wystawianiu w składzie zawodnika do lat 24.

Każdy chce się tutaj ścigać, bo oprócz rywalizacji na najwyższym poziomie polskie kluby oferują też dobre zarobki, nowoczesne stadiony, efektowną oprawę telewizyjną, a w czasach sprzed epidemii koronawirusa dawały możliwość pokazania umiejętności także na oczach żywiołowo reagujących kibiców.

Speedway to jeden z polskich sportów narodowych. Kreuje bohaterów i najlepszym zapewnia nieśmiertelną chwałę. Jerzego Szczakiela podziwiali kibice w latach 70. U szczytu kariery Tomasz Gollob był jednym z najbardziej znanych i najpopularniejszych polskich sportowców w latach 90.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. MARCIN KARCZEWSKI

Podobnie jest teraz ze Zmarzlikiem. Po zdobyciu tytułu indywidualnego mistrza świata stał się tak popularny, że w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na 10 Najlepszych Polskich Sportowców 2019 r. wygrał z dużą przewagą nad samym Robertem Lewandowskim.

Wyścigi na żużlu mają też wiernych kibiców– tutaj tradycja przechodzi z ojca na syna (lub córkę) i dla wielu mieszkańców Leszna, Gorzowa, Częstochowy, Grudziądza czy Zielonej Góry pójście na stadion i wdychanie zapachu spalonego metanolu było jednym z najważniejszych punktów weekendu. Czasami było ważniejsze nawet niż oglądanie walki o tytuł indywidualnego mistrza świata. Tak wielu fanów deklarowało w badaniu przeprowadzonym przez Pentagon Research na zlecenie PGE Ekstraligi. Rozgrywki krajowe cieszą się tak wysokim prestiżem, że jedna z grup zrzeszających kibiców na Facebooku nazwała się „Speedway bogiem, metanol nałogiem, liga podstawą, grand prix zabawą".

Nic dziwnego, że nawet w niepewnych czasach koronawirusa kibice byliby skłonni przychodzić na trybuny i chętnie kupowali karnety oferowane w zimie. Kluby chwaliły się doskonałymi wynikami, których mogłyby im pozazdrościć kluby piłkarskie. Najlepszy pod tym względem Motor Lublin już w lutym poinformował o rozprowadzeniu 7 tys. karnetów. Zespoły z Wrocławia i Gorzowa Wielkopolskiego sprzedały odpowiednio ok. 3 tys. i 2,2 tys. karnetów na cały sezon.

Obecna sytuacja epidemiczna nie pozwala jednak na wpuszczanie kibiców na obiekty, a brak tego źródła dochodów może utrudnić dopięcie budżetów. Kibice speedwaya w Polsce są jednak wierni i chcą wspierać swoich ulubionych żużlowców. Siła wyższa nie pozwoliła wchodzić na trybuny w poprzednim sezonie i wiele osób rozumiało powagę sytuacji, która zaskoczyła także kluby. Za wzór stawiano Lublin, gdzie nikt nie skorzystał z możliwości zwrotu już wykupionego karnetu, a to bardzo ułatwiło utrzymanie płynności finansowej. Jeśli jednak widzowie nie będą mogli wrócić na trybuny i dopingować żużlowców, to mniejszych lub większych kłopotów i tak nie da się uniknąć.

Chodzi nie tylko o straty spowodowane ewentualnym zwracaniem pieniędzy za karnety czy brakiem wpływów za jednorazowe wejściówki, lecz także utratą przychodów z cateringu na stadionie czy ze sprzedaży klubowych pamiątek, bo nie od dziś wiadomo, że kibic, który dostanie dobrą rozrywkę i pojawi się na trybunach z dziećmi, jest skłonny wydawać dodatkowe kwoty.

Pomoc w trudnych czasach i zrozumienie dla niełatwych decyzji jest na porządku dziennym, ale granica między wsparciem a wywołaniem niezadowolenia też jest cienka. Wiele klubów zdecydowało się na transmitowanie przedsezonowych sparingów w Internecie, żeby dać fanom chociaż namiastkę emocji, a sponsorom okazję do pokazania swoich reklam. Relacje były na ogół darmowe, ale w Częstochowie z takiej formy zrezygnowano (m.in. – jak mówił prezes – po to, żeby utrzymać w tajemnicy stan toru), a w Lesznie klub zażądał za dostęp do transmisji od każdego kibica po 12 zł. Część fanów przyjęła tę decyzję ze zrozumieniem, a część uznała, że to jednak przesada (chociaż tradycją w lidze żużlowej przed epidemią były sparingi, na które bilety kupowało po kilka tysięcy kibiców). Pieniądze w klubach

eprasa.pl 25fbc9c3e1

się przydadzą, bo w PGE Ekstralidze płaci się żużlowcom więcej niż godnie, i to mimo wprowadzonych w tym roku limitów wynagrodzeń, uzależnionych od tego, ilu kibiców będzie mogło zasiąść na trybunach. Za kontrakt zawodnicy będą mogli dostać maksymalnie 250 tys. zł netto, a za każdy wywalczony punkt dodatkowo 2,5 tys. zł netto (jeśli kibice będą mogli zająć poniżej 50 proc. pojemności stadionu) lub 3 tys. zł netto (jeśli ponad połowa miejsc będzie mogła być zajęta).

GRATKA DLA KIBICÓW

Jeśli sytuacja wróci do normy i kibice znów wypełnią trybuny, to w PGE Ekstralidze już niedługo będzie prawdziwe eldorado. Spółka, zarządzająca rywalizacją, zawarła niedawno umowę z Canal+ na pokazywanie meczów w latach 2022–2025. Czteroletni kontrakt jest wart 242 mln zł, więc łatwo policzyć, ile pieniędzy będzie każdego roku do podziału między osiem najlepszych polskich klubów.

To nie tylko skok w kolejny, finansowy wymiar, lecz także, jak zapewniają obie strony, gratka dla kibiców, którzy mają dostać transmisje najwyższej jakości. Od następnego sezonu do zobaczenia będą 70 spotkań, internetowy magazyn skrótów, programy z zapowiedziami i podsumowaniami spotkań, kulisy meczów czy transmisje z PGE Indywidualnych Międzynarodowych Mistrzostw Ekstraligi oraz Gali PGE Ekstraligi. Już teraz mecze można oglądać on-line, a dzięki nowej umowie tak pokazane zostaną wszystkie spotkania rozegrane do końca sezonu 2025. Transmisje będą realizowane przynajmniej z 11 kamer, a widzowie dostaną w czasie rzeczywistym dane z telemetrii, które pomogą śledzić rywalizację.

Ma być pięknie, oczywiście, jeśli koronawirus nie pokrzyżuje planów i nie poszatkuje zaplanowanego terminarza, który uwzględnia jeszcze starty najlepszych żużlowców w cyklu Speedway Grand Prix, czyli walce o indywidualne mistrzostwo świata. Już wiadomo, że łatwo nie będzie, bo w kilku drużynach (m.in. z Lublina i Grudziądza) wykryto przypadki zakażenia koronawirusem i co najmniej jeden mecz został z tego powodu przełożony na późniejszy termin.

Walka z epidemią nakłada określone obowiązki, ale czasami badania dają wynik niejednoznaczny albo najpierw wskazują na zakażenie, co skutkuje nałożeniem kwarantanny, a następnie uzyskuje się wynik negatywny, tak jak w przypadku Grzegorza Krychowiaka, który w ostatniej chwili poleciał do Anglii, żeby zagrać w reprezentacji Polski na stadionie Wembley. Podobnej huśtawki nastrojów doświadczyli też polscy skoczkowie, którzy o mały włos zostaliby wykluczeni z Turnieju Czterech Skoczni po zamieszaniu z testami Klemensa Murańki.

Takie problemy mogłyby poważnie zaburzyć żużlowy kalendarz, dlatego żużlowa PGE Ekstraliga uwzględniła w regulaminie zmiany, które mają pomóc w sytuacjach kryzysowych. Wiążący będzie wynik testu RT-PCR, przeprowadzonego 48 godzin przed meczem i przesłanego do organu zarządzającego. Jeśli wynik będzie pozytywny, to żużlowiec z automatu nie będzie dopuszczony do meczu w najbliższej kolejce.

Kluby mogą też skorzystać z instytucji tzw. gościa, czyli żużlowca występującego na co dzień w pierwszej lub drugiej lidze, który wcześniej nie był zgłoszony do składu drużyny z żużlowej PGE Ekstraligi, ale będzie mógł pomóc w sytuacji, gdy ktoś z podstawowego składu zostanie zakażony koronawirusem. Takie udogodnienie pojawiło się już w zeszłym sezonie, gdy profesjonalny sport dopiero uczył się życia w czasach epidemii koronawirusa.

Wtedy korzystanie z pomocy „gościa" nie napotykało praktycznie żadnych ograniczeń i w myśl zasady, że „Polak potrafi", doprowadziło do nadużywania ułatwienia, które miało zabezpieczyć sezon przed dezorganizacją. Zawodnicy pojawiali się w składzie, gdy trzeba było zastąpić kogoś prezentującego słabą formę, bo przypadków zakażenia wśród żużlowców praktycznie nie było. Teraz zasada jest jasna – jeden gość może pojawić się w składzie, i to w sytuacji, gdy wynik testu okaże się pozytywny (kluby podpisują umowy z takimi żużlowcami).

DOKOŃCZYĆ SEZON

Najważniejsze jednak z punktu widzenia kibiców było to, że sezon udało się dokończyć, i to w sytuacji, gdy równolegle żużlowcy nie startowali w Danii, Niemczech czy Wielkiej Brytanii. Nad Wisłą wtedy biło serce żużlowego świata i nasz kraj stał się bazą dla wielu zawodników – do tego stopnia, że rozegrano nad Wisłą sześć z ośmiu eliminacji indywidualnych mistrzostw świata, co wcześniej się nie zdarzało.

Rok temu, kiedy pandemia dopiero się zaczynała, kłopoty wydawały się jeszcze większe i każdy uczył się na własnych błędach. Podróżowanie po Europie praktycznie zamarło. Jason Doyle przyjechał do Polski przez Holandię i Niemcy, ale z kolei niewiele brakowało, by jeden z największych gwiazdorów ostatnich lat, Brytyjczyk Tai Woffinden, spóźnił się na start i tak przesuniętego sezonu.

ZE SZWECJI DO POLSKI

Woffinden chciał przyjechać do Polski drogą lądową, ale w ostatniej chwili nie dostał zgody na przejazd przez Francję, a w tym samym czasie zawieszono loty rejsowe między Wielką Brytanią a Polską. Kwarantannę, trwającą 14 dni, musiał zacząć 8 maja i kiedy wydawało się, że tego terminu nie dotrzyma, z pomocą przyszedł mu jeden ze sponsorów, który podstawił prywatny odrzutowiec.

Trzeba przyznać, że PGE Ekstraliga dała zawodnikom możliwość uprawiania sportu w trudnym 2020 r., ale w zamian sporo wymagała. W regulaminie zapisano zakaz opuszczania naszego kraju pod groźbą rozwiązania kontraktu (w świecie żużlowym powszechne jest startowanie w kilku ligach w różnych krajach). W odpowiedzi Szwedzi oświadczyli, że ich żużlowcy nie będą dostępni dla polskich zespołów, ale to nie odstraszyło Fredrika Lindgrena, który wybrał jeżdżenie dla Włókniarza Częstochowa.

To mu się zwyczajnie opłacało. PGE Ekstraliga dokończyła sezon, a Lindgren walczący o tytuł indywidualnego mistrza świata nie miał potrzeby opuszczania naszego kraju. Zadbał też o życie rodzinne. Nad Wisłę przyjechał z żoną i psem. Niels Kristian Iversen pojawił się z partnerką i jej córką. Inni też zdecydowali się na odbycie dwutygodniowej kwarantanny, żeby tylko móc startować w polskiej lidze. Sprawa była jednak szeroko dyskutowana i interpelację w tej sprawie złożyło nawet dwóch posłów. Teraz może takich kłopotów i utrudnień uda się uniknąć, jeśli tylko sytuacja epidemiczna pozwoli. Najważniejsze jednak, że PGE Speedway Ekstraliga wystartowała. I oby dojechała do samego końca, bez żadnych przystanków.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PGE Polska Grupa Energetyczna

SPONSOR TYTULARNY
ROZGRYWEK PGE EKSTRALIGI

www.gkpge.pl

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ZUZANNA KLOSKOWSKA

Zielona strona żużlowej

PGE Ekstraliga, najlepsza żużlowa liga świata, od najbliższego sezonu będzie również bardziej ekologiczna. Zarówno liga, jak i kluby mocno włączą się w działania promujące kwestie prośrodowiskowe

Polski żużel obudził się już z zimowego snu. Ruszyły sparingi, a kwiecień przebiegnie pod znakiem inauguracji sezonu 2021 najlepszej żużlowej ligi świata. W PGE Ekstralidze wystartuje osiem drużyn z Leszna, Gorzowa, Wrocławia, Zielonej Góry, Częstochowy, Torunia, Lublina i Grudziądza. Przed klubami dwa etapy zmagań – faza zasadnicza oraz finałowa. W pierwszej z nich zespoły rywalizują ze sobą w 14 rundach w systemie mecz i rewanż. Następnie cztery najlepsze kluby awansują do półfinałów, w których lepszy z dwumeczu awansuje do wielkiego finału PGE Ekstraligi. W sumie do 26 września odbędą się 64 spotkania. W ramach PGE Ekstraligi zaplanowano aż 960 wyścigów, podczas których żużlowcy pokonają 3840 okrążeń. W pełnych emocji wyścigach zmierzy się wielu najlepszych zawodników świata, w tym jeden z najpopularniejszych sportowców w Polsce – Bartosz Zmarzlik.

Przyszłe sezony będą nie tylko emocjonujące, ale także proekologiczne. PGE, największa firma energetyczna w Polsce, która od 2015 r. sponsoruje PGE Ekstraligę, zgodnie z zasadą zrównoważonego rozwoju konsekwentnie daje przykład tego, jak świadomie kształtować relacje między wzrostem gospodarczym a dbałością o środowisko naturalne. Polska spółka, która produkuje i dostarcza energię elektryczną dla milionów klientów, dba bowiem nie tylko o bezpieczeństwo energetyczne kraju, lecz także z troską podchodzi do ochrony przyrody. W październiku ub.r. Grupa PGE ogłosiła nową Strategię do 2030 r. z perspektywą do 2050 r., której głównym założeniem jest zwrot w kierunku nisko i zeroemisyjnym. Jako lider transformacji energetycznej PGE chce pokazać, jak ważne są działania prośrodowiskowe na wielu płaszczyznach. Dlatego do takich działań zaangażowano również najlepszą żużlową ligę świata: PGE Ekstraligę.

OBALIĆ STEREOTYP „CZARNEGO SPORTU”

Zawarta przez PGE Polską Grupę Energetyczną nowa umowa przedłużająca sponsoring tytularny Ekstraligi Żużlowej na lata 2021–2023 zakłada m.in. współpracę na rzecz prowadzenia działań proekologicznych. W najbliższych trzech latach zarówno liga, jak i poszczególne kluby zaangażują się w różne akcje o prośrodowiskowym charakterze.

Już od 2021 r. przez trzy kolejne sezony zawodnicy, działacze, przedstawiciele PGE oraz władze PGE Ekstraligi będą kładli duży nacisk na wzmacnianie ekologicznych aspektów sportu żużlowego. W tym celu wspólnie z władzami najlepszej żużlowej ligi świata PGE przeprowadzi działania komunikacyjne oraz akcje zgodne z koncepcją społecznej odpowiedzialności przedsiębiorstw, które będą obalać stereotyp żużla jako „czarnego sportu”.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

energii

Proekologiczne działania PGE i PGE Ekstraligi mają duże szanse, aby zakończyć się sporym sukcesem, choćby ze względu na ogromną popularność żużla w Polsce. W sezonie 2020 skumulowana oglądalność transmisji telewizyjnych wyniosła ponad 8,6 mln widzów. Wszystkie wydarzenia związane z PGE Ekstraligą obejrzało zaś łącznie aż 12,2 mln widzów. W rankingu najlepiej oglądanych domowych meczów wygrała BETARD Sparta Wrocław. Średnio na jej meczach w PGE Ekstralidze przed telewizorami zasiadało w całym sezonie blisko 152 tys. widzów.

Ponad 100 tys. kibiców korzysta także z aplikacji PGE Ekstraligi oraz obserwuje wpisy na jej facebookowym profilu. A tysiące sympatyków żużla obserwuje również wpisy na instagramowym i youtube'owym koncie PGE Ekstraligi. W trakcie krótkiego sezonu 2020 oficjalna witryna internetowa PGE Ekstraligi odnotowała zaś aż 3,3 mln odsłon. Podobnym zainteresowaniem cieszyły się również transmisje z żużlowych pojedynków w sezonie 2019, ale w roku 2021 popularność żużla może jeszcze wzrosnąć. Od sezonu 2022 kibice żużla będą zaś mogli ekscytować się aż 70 spotkaniami w sezonie, co wynika z dodania do terminarza PGE Ekstraligi dodatkowych trzech podwójnych meczów ćwierćfinałowych.

EKO-PGE EKSTRALIGA

W ramach nowej umowy przez kolejne trzy sezony PGE i PGE Ekstraliga będą rozwijać wspólne projekty prośrodowiskowe.

W ramach Eko-PGE Ekstraligi prowadzone będą zarówno działania z zakresu społecznej odpowiedzialności biznesu, dotyczące ochrony środowiska naturalnego, jak i przedsięwzięcia edukacyjne, mające na celu podniesienie świadomości ekologicznej wśród młodych adeptów żużla, w tym członków szkółek żużlowych i miniżużlowych. Dzięki nim dzieci i młodzież zdobędą m.in. przydatną proekologiczną wiedzę o stanowiskach do tankowania zużytego oleju czy tankowaniu metanolu. Dowiedzą się także, jak z troską o środowisko naturalne należy myć motocykle oraz używać mat absorbujących.

Wszystkie działania proekologiczne będą realizowane pod nazwą Eko-PGE Ekstraliga i opatrzone zostaną wspólnym, specjalnie opracowanym znakiem graficznym.

Dodatkowo w ramach działań podejmowanych w mediach społecznościowych PGE Ekstraliga będzie wykorzystywać materiały wideo, promujące prośrodowiskowe postawy. Zamieszczane m.in. na profilach facebookowych filmy edukacyjne będą poruszać tematy związane np. ze składem nawierzchni torów czy z używaniem metanolu jako alternatywnego paliwa do motocykli.

ZIELONA ENERGIA PGE

Grupa PGE wytwarza ponad 40 proc. produkcji netto energii elektrycznej w Polsce. Głównym założeniem Strategii Grupy PGE do 2030 r. z perspektywą do roku 2050 jest zwrot w kierunku nisko- i zeroemisyjnym. I nie są to tylko pięknie brzmiące marketingowe deklaracje. Grupa PGE już dzisiaj jest jednym z czołowych producentów energii zielonej w Polsce. Plan na kolejne lata to dalszy rozwój odnawialnych źródeł energii – w szczególności w oparciu o energię wiatru i słońca. Obecnie najważniejszą inwestycją w Grupie PGE są morskie farmy wiatrowe. Już teraz PGE dysponuje zaawansowanym programem budowy morskich farm wiatrowych o mocy 2,5 GW do 2030 r. W celu rozwoju tych inwestycji PGE w lutym podpisała umowę z duńską firmą Ørsted. Jednocześnie PGE rozwija farmy wiatrowe na lądzie oraz zamierza zwiększyć udział farm fotowoltaicznych w produkcji energii elektrycznej. Grupa PGE planuje również rozwijać sieć magazynów energii elektrycznej.

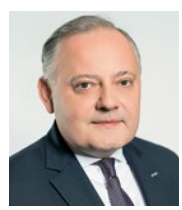

Rozmowa z prezesem zarządu PGE Wojciechem Dąbrowskim

Dlaczego PGE Polska Grupa Energetyczna zdecydowała o kontynuacji współpracy z Ekstraligą Żużlową?

Zarówno PGE, jak i PGE Ekstraliga to dwie uznane marki. PGE jest największą firmą energetyczną w Polsce, a PGE Ekstraliga to najlepsza żużlowa liga świata. Jak pokazują wyniki badań przeprowadzonych wśród kibiców – marka PGE jest silnie utożsamiana z tymi rozgrywkami, a sponsoring PGE Ekstraligi stanowi efektywne narzędzie promocji marki PGE. Chcemy być także obecni w życiu lokalnych społeczności, wśród których prowadzimy naszą działalność. Dzięki wsparciu PGE Ekstraligi jesteśmy blisko mieszkańców takich miast jak Toruń, Gorzów, Zielona Góra czy Lublin, które wśród naszych lokalizacji biznesowych szczególnie są związane z żużlową rywalizacją.

Jak będzie wyglądała współpraca PGE z Ekstraligą Żużlową w nowym sezonie?

Współpracując z PGE Ekstraligą, chcemy nieco przełamać stereotyp „czarnego sportu", który – jak się okazuje – ma też swoją „zieloną" stronę. Nowy aspekt naszej współpracy będzie nawiązywał do nowej strategii Grupy PGE, której jednym z filarów jest energia przyjazna dla środowiska. PGE Ekstraliga będzie prowadziła działania proekologiczne, m.in. kampanie CSR, prośrodowiskowe działania wizerunkowe w social mediach oraz w zakresie produkcji wideo, pokazujące ekologiczne aspekty sportu żużlowego.

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. DAIMLER AG, STEVEN TEE/DAIMLER AG

Jeżeli koronawirus pozwoli, to rozpoczęty właśnie sezon będzie najdłuższy w 71-letniej historii Formuły 1. Rekordowa ma być również liczba wyścigów. W kalendarzu na rok 2021 znalazły się 23 tory na pięciu kontynentach

Nowy sezon Formuły 1 rozpoczął się 28 marca od wyjątkowo emocjonującego widowiska na torze w Bahrajnie. Kierowcy zakończą tegoroczną rywalizację w grudniu tradycyjnie już w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Pierwszy raz w historii królowa sportów motorowych pojawi się na nocnym wyścigu ulicznym w saudyjskim mieście Dżudda. Zaprojektowany przez Hermanna Tilkego spektakularny tor Jeddah Street Circuit o długości 6,175 km to druga najdłuższa nitka w kalendarzu na 2021 r. po belgijskim Spa-Francorchamps. Do pokonania jest 27 szybkich zakrętów, ale duże emocje wśród kibiców rywalizacja w Arabii Saudyjskiej budzić będzie zapewne ze względu na bardzo duże średnie prędkości, do których tor ten został zaprojektowany. Dżudda ma być pod tym względem rekordowa, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jest to wyścig uliczny, a do budowy toru położonego bezpośrednio nad Morzem Czerwonym wykorzystano w większości istniejące już ulice miasta. Przeprowadzone symulacje pokazują, że średnia prędkość pokonywania okrążenia wyniesie aż 250 km/h w kwalifikacjach.

SIR HAMILTON W DRODZE PO ÓSMY TYTUŁ

To oczywiście kierowcy, a nie same tory budzą największe emocje. W sezonie 2021 historię napisać może brytyjski kierowca sir Lewis Hamilton. Siedmiokrotny mistrz świata za swoje osiągnięcia na torach Formuły 1 otrzymał już od brytyjskiej królowej tytuł szlachecki i jest już czwartym kierowcą F1, który wyjeździł sobie rycerski tytuł (pierwszy w 1978 r. był Australijczyk Jack Brabham, a następnie Stirling Moss i Jackie Stewart). Nie było łatwo, bo Hamilton nie ma w Londynie samych przyjaciół. Jego przeciwnicy od lat argumentują, że niby jest Brytyjczykiem, ale

eprasa.pl 25fbc9c3e1

– aby nie odprowadzać wysokich danin chciwemu brytyjskiemu fiskusowi – na co dzień mieszka w Monako. Najważniejsze jednak, że po osobistej interwencji premiera Borisa Johnsona – jak donosiły brytyjskie brukowce – słynny kierowca wyścigowy wreszcie może się posługiwać tytułem godnym legendarnego mistrza świata.

Na szczęście 36-letni sir Hamilton nie zamierza osiadać na laurach. W tym sezonie ma zaś szansę zapisać się w historii królowej sportów motorowych jako pierwszy kierowca, który ma na koncie aż osiem tytułów mistrzowskich (nawet legendarny Michael Schumacher też miał ich „tylko" siedem).

W marcu Lewis Hamilton jako pierwszy szlachcic w historii wystartował w zawodach F1 i w pięknym stylu poskromił piekielnie szybkiego belgijskiego kierowcę Maxa Verstappena z Red Bulla – któremu w kwalifikacjach udało się wywalczyć pole position. Dzięki temu wyścig na torze w Bahrajnie tradycyjnie zakończył się wygraną Hamiltona. Była to już piąta wygrana brytyjskiego mistrza świata na tym torze – co jest nowym rekordem obiektu w Bahrajnie – i 96. zwycięski wyścig Hamiltona w Formule 1. Podczas marcowego wyścigu Brytyjczyk jechał na prowadzeniu przez 27 okrążeń, dzięki czemu w całej karierze może pochwalić się już liczbą 5126 okrążeń na prowadzeniu. Tym samym pobił rekord Michaela Schumachera (5111 kółek na prowadzeniu). Kolejnych osiem miesięcy walki na torach F1 zapowiada się jednak niezwykle emocjonująco nie tylko dla fanów brytyjskiego szlachcica. Wiele wskazuje bowiem na to, że Verstappen wreszcie ma już bolid, który pozwala mu walczyć o tytuł mistrza świata.

Na tory Formuły 1 po dwuletniej nieobecności i dokładnie w 20. rocznicę swego debiutu na torach F1 powrócił Hiszpan Fernando Alonso. Dwukrotny mistrz świata podczas kwalifikacji radził sobie znakomicie. Nie miał jednak szczęścia na torze Sakhir – w wyścigu podczas GP Bahrajnu nie tylko nie zdobył żadnego punktu, lecz także w ogóle nie udało mu się zobaczyć szachownicy. Ponoć wszystko przez plastikową torebkę śniadaniową, która dostała się do kanału chłodzącego układu hamulcowego w bolidzie 39-letniego kierowcy. Niewielka foliówka z okrążenia na okrążenie podwyższała temperaturę w układzie hamulcowym, aż w końcu doprowadziła do uszkodzeń, przez które dla bezpieczeństwa Hiszpana na 32. okrążeniu trzeba było wycofać Alonsa z wyścigu. Na szczęście pechowy początek nie zniechęcił Fernanda Alonsa do dalszej walki i hiszpański kierowca zapowiedział, że na włoskiej Imoli swoim dawnym kolegom da już ostro popalić.

Podczas sezonu 2021 na wielki powrót do czołówki w F1 liczy zespół Ferrari. Wygląda na to, że nikt nie tęskni tam za Niemcem Sebastianem Vettelem. Były mistrz świata, który z zespołem związany był od 2015 do 2020 r., nie spełnił nadziei Włochów, a rok 2020 dla Vettela był bodaj najgorszym w jego długoletniej karierze. W nowym sezonie nieźle sprawdzają się obaj kierowcy Ferrari: zarówno Charles Leclerc, jak i Hiszpan Carlos Sainz. Urażony Vettel przeniósł się do stajni Astona Martina, ale i tam idzie mu bardzo, bardzo kiepsko. Podczas rozpoczęcia sezonu w Bahrajnie został dwukrotnie ukarany przez sędziów.

Szkoda, bo utytułowany Niemiec – bądź co bądź ma na swoim koncie cztery tytuły mistrza świata – chyba wciąż nie zdołał się pozbierać po wypadku z Hockenheim z roku 2018 i niepotrzebnie psuje tylko dobre wrażenie powstałe wśród fanów po tym, jak po ponad 60 latach przerwy Aston Martin powrócił do wyścigów Grand Prix. Być może podczas kolejnych wyścigów Niemiec przypomni sobie wreszcie, jak jeżdżą najlepsi kierowcy na świecie. Powinien mu w tym pomóc naprawdę niezły bolid Astona Martina.

Na torze w Bahrajnie bardzo dobrze radził sobie także 21-letni Lando Norris z McLarena.

DEBIUT SCHUMACHERA

W Bahrajnie nieźle radził sobie również Fin Valtteri Bottas, który choć już na początku dał się wyprzedzić Charlesowi Leclercowi z Ferrari, to i tak ukończył wyścig na trzeciej pozycji i zapewnił sobie 16 pkt. Dla 31-letniego Bottasa każdy punkt w tym sezonie jest na wagę złota. Rośnie bowiem konkurencja do zajęcia jego miejsca. Z tego właśnie powodu w tym sezonie warto będzie też obserwować brytyjskiego kierowcę George'a Russella, który marzy o wywalczeniu sobie stałego miejsca w ekipie Mercedesa, a któremu pod koniec obecnego sezonu kończy się już kontrakt z Williamsem.

Na tory F1 wyjechało również aż trzech debiutantów, którzy jeszcze rok temu ścigali się w Formule 2. Jednym z najlepszych od lat żółtodziobów jest 20-letni Yuki Tsunoda, który już podczas Grand Prix Bahrajnu zaprezentował fenomenalny styl jazdy, brawurowo wyprzedzał i dojechał do mety na dziewiątym miejscu, zdobywając dwa pierwsze punkty.

Całkiem nieźle zapowiadał się także Mick Schumacher – tak, tak, to syn siedmiokrotnego mistrza świata Michaela Schumachera. Niestety, pierwszy start młodego Niemca został słusznie przez media określony mianem „debiutu bezobjawowego" – syn legendarnego kierowcy na razie nie zrobił bowiem niczego, co wzbudziłoby choć minimalne emocje u fanów lub dziennikarzy. Co prawda wykręcił „bączka" na torze w Bahrajnie, ale nie rozbił bolidu i dojechał do mety. Chociaż dopiero na 16. miejscu, czyli jako ostatni, ale zachował zimną krew i zobaczył szachownicę. Jest więc szansa, że pracowity debiutant z wyścigu na wyścig będzie poprawiał swoje umiejętności, choć debiut w najsłabszej stajni tego sezonu – amerykańskim Haasie – nie będzie ułatwiał mu zdobywania punktów.

F1 jedzie na rekord

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. DAIMLER AG

Najsłabszym debiutantem na razie wydaje się Rosjanin Nikita Mazepin, który swoją pierwszą rywalizację na torze Sakhir w Bahrajnie zakończył już na trzecim zakręcie pierwszego okrążenia, i to bez żadnego kontaktu z rywalem. Natychmiast zdobył więc tytuł najgorszego od lat kierowcy Formuły 1, a fani i dziennikarze musieli długo przewracać kartki w podręcznikach od historii F1, aby znaleźć ostatni tak słaby wynik debiutanta, któremu nie zrobiłby żadnego okrążenia. Udało się dopiero w roku 2002. Wówczas jednak na starcie GP Australii doszło do karambolu z udziałem ośmiu bolidów, a kiepski Mazepin wyleciał z toru tylko ze swojej winy za pierwszym z 56 okrążeń.

Syn ultrabogatego Rosjanina, którego majątek szacuje się na 7 mld dol., raczej nie ma jednak powodów do obaw i jeśli nie będzie mu przeszkadzała etykietka kierowcy, który jeździ tylko dlatego, że tatuś za to płaci, to przygoda 22-letniego Rosjanina w Formule 1 będzie trwała nadal. Kolejny raz sprawdza się jednak stara dobra zasada, że „pieniądze nie jeżdżą".

Poza tym w obecnym sezonie Formuły 1 formalnie pojawiła się też nowa nazwa stajni: Alpine.

VOLKSWAGEN I PORSCHE W F1?

Bolidy na sezon 2021 zaprezentowały m.in. Mercedes, Red Bull, Alpine, Aston Martin, Haas, McLaren, Alpha Tauri oraz Alfa Romeo. Poza zmianami dotyczącymi ograniczenia docisku aerodynamicznego oraz obciętych zgodnie z nowym regulaminem kawałków podłogi nie różnią się one znacząco od zeszłorocznych, choć nowe jaskrawe malowanie niektórych zespołów z pewnością przyciąga uwagę. Wiele ekip koncentruje się bowiem na pracach nad nowymi bolidami na rok 2022, który ma przynieść F1 duże zmiany techniczne.

Po wyścigu w Bahrajnie w klasyfikacji generalnej konstruktorów nie ma wielkich niespodzianek. Mercedes kolejny raz udowodnił, że pogłoski o jego śmierci są mocno przesadzone. Na drugiej pozycji jest Red Bull, a na trzeciej McLaren. Sezon zapowiada się jednak ciekawie, bo wygląda na to, że siły każdej z sześciu stajni są na tyle wyrównane, iż każda ma szanse w walce o kolejne punkty. W nieoficjalnej klasyfikacji używanych w bolidach silników po pierwszym wyścigu prowadzi Mercedes przed Hondą, Ferrari i Renault. Niedługo lista producentów jednostek napędowych ma się wydłużyć.

W marcu, w wywiadzie dla „BBC Sport", wiceprezes Porsche Fritz Enzinger poinformował, że Porsche i Volkswagen mogą wejść do Formuły 1, gdy tylko F1 wprowadzi paliwo syntetyczne. Stać się to może całkiem szybko, ponieważ szefowie F1 szukają pomysłów na bardziej ekologiczne rozwiązania – już w roku 2030 Formuła 1 oraz FIA chcą osiągnąć zerowy poziom emisji dwutlenku węgla. Według BBC niemiecki producent prowadzi już rozmowy z McLarenem, Williamsem i Red Bullem.

SPRINT ZAMIAST „CZASÓWEK"?

W tym roku wielkie emocje kibicom mają przynieść jednak wyścigi sprinterskie. Według założeń szefów F1 docelowo zastąpią one sobotnie tradycyjne kwalifikacje, tzw. czasówki, podczas których choć ekipy uwijają się jak mrówki, to na trybunach często wieje nudą.

Obecnie kwalifikacje do niedzielnego wyścigu podzielone są na trzy części. Pierwsza z nich – Q1 – trwa 18 minut i eliminuje najwolniejszą piątkę z 20 startujących kierowców. W drugiej części „czasówki" – Q2 – po kwadransie jazdy odpada kolejnych pięciu najsłabszych. W trzeciej, finałowej części kwalifikacji – trwającej 12 minut – 10 najszybszych dotąd kierowców walczy o tzw. pole position. „Pierwsze pole startowe" to po prostu najdogodniejsza pozycja do startu w wyścigu.

Wyścigi sprinterskie odbędą się zapewne na torach Silverstone, Monza oraz Interlagos. I chociaż budzą niezadowolenie części kierowców, którzy narzekają, że to po prostu sposób na przyciągnięcie większej liczby fanów i zarabianie większych pieniędzy, to wyścigi sprinterskie mogą przynieść więcej emocji, choć w sezonie 2021 i tak najciekawiej zapowiada się zarówno zacięta rywalizacja Hamiltona z Verstappenem, jak i innych kierowców walczących o miejsce na podium i punkty zarówno dla siebie, jak i dla swojej stajni.

Kalendarz Formuły 1 na sezon 2021:

R1 26–28 marca – Bahrajn (Sakhir)
R2 16–18 kwietnia – Włochy (Imola)
R3 20 kwietnia–2 maja – Portugalia (Portimão)
R4 7–9 maja – Hiszpania (Barcelona)
R5 20–23 maja – Monako
R6 4–6 czerwca – Azerbejdżan (Baku)
R7 11–13 czerwca – Kanada (Montreal)
R8 25–27 czerwca – Francja (Le Castellet)
R9 2–4 lipca – Austria (Spielberg)
R10 16–18 lipca – Wielka Brytania (Silverstone)
R11 30 lipca–1 sierpnia – Węgry (Hungaroring)
R12 27–29 sierpnia – Belgia (Spa)
R13 3–5 września – Niderlandy (Zandvoort)
R14 10–12 września – Włochy (Monza)
R15 24–26 września – Rosja (Soczi)
R16 1–3 października – Singapur (Marina Bay)
R17 8–10 października – Japonia (Suzuka)
R18 22–24 października – USA (Austin)
R19 29–31 października – Meksyk (Mexico City)
R20 5–7 listopada – Brazylia (São Paulo)
R21 19–21 listopada – Australia (Melbourne)
R22 3–5 grudnia – Arabia Saudyjska (Dżudda)
R23 10–12 grudnia – Abu Zabi (Yas Marina)

eprasa.pl 25fbc9c3e1

EH-LS500W/B Android TV Edition

Moc lasera, rozdzielczość 4K i 130 cali emocji w Twoim salonie!

Stylowy, dyskretny projektor ultrakrótkiego rzutu zapewnia duży, jasny i realistyczny obraz. Dzięki zintegrowanemu Android TV połączysz się od ręki z serwisami filmowymi i transmisjami sportowymi on-line. Idealny także do gier.

4K PRO-UHD

3LCD

Do 3x ŻYWSZE KOLORY

HDR

3D

Więcej informacji: www.epson.pl/kino-domowe

EPSON®
EXCEED YOUR VISION

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Zaproś kino do domu

Nowa rzeczywistość przewróciła nasze życie do góry nogami, a miejsca, w których spędzaliśmy wolny czas, zostały zamknięte z powodu obostrzeń. Do obejrzenia dobrego filmu lub przeżywania sportowych emocji musi nam więc wystarczyć domowe zacisze. Ale jak zapewnić sobie kinowe wrażenia we własnym salonie? Jest na to sposób!

Minął rok, z małymi przerwami, od kiedy do domów przenieśliśmy nie tylko biura, lecz także szkoły. W związku z tym dosłownie przylgnęliśmy do ekranów urządzeń elektronicznych. Jak wynika z badania „Życie przed ekranem. Jak wpływa na wzrok Polaków?", Polacy w czasie pandemii spędzają przed ekranami średnio 10 godzin i 26 minut dziennie. Tymczasem naukowcy dowodzą, że spędzanie więcej niż trzy godziny dziennie przed monitorem u 9 na 10 ludzi prowadzi do pogorszenia wzroku. A co z przyjemnościami? Jak zorganizować sobie wolny czas bez wychodzenia z domu, a jednocześnie nie nadwyrężać zbytnio wzroku? Strzałem w dziesiątkę będzie… projektor multimedialny.

ALTERNATYWA DLA TELEWIZORA

Kiedyś film na wielkim ekranie można było obejrzeć tylko w kinie. Dziś za sprawą rozwijającej się technologii oraz atrakcyjnych cen coraz częściej w domach wykorzystuje się projektory. Te zaś – w przeciwieństwie do telewizorów – nie emitują wiązki światła bezpośrednio w kierunku oczu, wyświetlany przez nie obraz odbija się bowiem od ekranu czy ściany. Dodatkowo odległość od projektora jest dużo większa niż w przypadku telewizora, co też znacząco wpływa na niwelowanie działania niebieskiego światła, które wpływa nie tylko na osłabienie wzroku, lecz także na ogólne zmęczenie i złe samopoczucie.

Na szczególną uwagę zasługuje opatentowana przez firmę Epson technologia 3LCD, czyli rozwiązanie, które działa identycznie jak np. wyświetlanie obrazu przez nowoczesne telewizory LCD czy monitory, gdzie wyświetlanie każdego piksela zarządzane jest osobno i odbywa się w sposób ciągły. Czym się różni od technologii DLP, w którą wyposażone są klasyczne projektory?

Pokrótce – 3LCD to technologia wyświetlania, na którą składają się – jak sama nazwa wskazuje – trzy panele

eprasa.pl 25fbc9c3e1

LCD. Projektor 3LCD uzyskuje wyświetlane kolory na zasadzie dzielenia światła białego na trzy podstawowe kolory. Zaletami projektora 3LCD są jednakowa wartość natężenia światła białego oraz barwnego i dzięki temu znacznie jaśniejsze, bardziej nasycone obrazy w porównaniu do technologii DLP. Projektor 3LCD jest także bardziej przyjazny dla oczu dzięki ciągłemu wyświetlaniu kolorów. A to tylko jedna z zalet urządzeń Epsona, którego konsekwentny wkład w jakość i rozwój technologii sprawia, że od 2001 roku ta firma jest liderem na rynku projektorów do kina domowego. A do tego – co jest nie bez znaczenia dla fanów w F1 – Epson jest sponsorem jednej z najlepszych drużyn na świecie Mercedes-AMG Petronas Formula One Team.

A jeśli kibicować ukochanej drużynie – i to bez znaczenia, w jakiej dziedzinie sportu – to najlepiej na dużym ekranie. Nieważne, czy będzie to niezwykle ekscytujący wyścig bolidów na torze Formuły 1, czy mecz ukochanej drużyny piłkarskiej, na wielkim 7,5-metrowym ekranie, emocje temu towarzyszące bez wątpienia będą ogromne.

Trzeba bowiem podkreślić, że największą zaletą projektorów jest – oczywiście – wielkość wyświetlanego obrazu. Pod tym względem, a także „zanurzenia" w akcji, należy zwrócić uwagę na model Epson EH-TW5700, który umożliwia wyświetlanie obrazów o rozmiarze do 300 cali. Jest on w stanie prezentować treści, doskonale oddając kolory, ich realizm i nasycenie, a jednocześnie zapewniając wyrazistość, ostrość oraz płynność podczas scen przepełnionych akcją dzięki funkcjom optymalizacji szczegółów oraz interpolacji klatek. Wspomniana technologia 3LCD i wysoki kontrast zapewniają wysoką jasność. Jak bardzo jest to ważne, przekonacie się już po kilku chwilach oglądania w jasnym pomieszczeniu, kiedy nie będziecie musieli wstawać z fotela, by zasłonić żaluzje, by obraz był w pełni czytelny.

JESZCZE WYGODNIEJ

Kto z nas nie zmierzył się z problemem: jeden telewizor na cały dom, powieszony w pokoju, w którym akurat jeden z członków rodziny wykonuję pracę z domu? Jak wytłumaczyć znudzonym dzieciom, że nie obejrzą ulubionego serialu czy koncertu online, na który z niecierpliwością czekały od tygodni. I tutaj znacznie mniejszy i lżejszy projektor spełni doskonale swoje zadanie, ponieważ nie musi być na stałe zainstalowany w jednym miejscu.

Wiele projektorów wyposażonych jest bowiem w technologię łączności bezprzewodowej – Wi-Fi, Bluetooth czy Miracast. Dzięki takim rozwiązaniom sprzęt można bez problemu połączyć na przykład ze smartfonem i wyświetlać na dużym ekranie bajkę (także w 3D) lub grać w gry z komputera, konsoli, a nawet pobrane na urządzenie mobilne.

I tutaj znowu warto wspomnieć o EH-TW5700 z Android TV, który pozwoli nam zmienić dom w prawdziwe centrum rozrywki. W porównaniu z klasycznymi projektorami, które wymagają podpinania kablami komputerów, konsol czy nośników pamięci przed seansem, to urządzenie dzięki zintegrowanej funkcji Android TV wystarczy połączyć z domową siecią Wi-Fi, dzięki czemu nie tylko bezproblemowo odtworzymy materiały rozrywkowe, informacyjne oraz skorzystamy z serwisów streamingowych z filmami, takich jak Netflix, HBO Go, Prime czy YouTube, lecz także będziemy obsługiwać go, mówiąc do Asystenta Google.

Co z dźwiękiem? Projektor wyposażony jest też w wbudowany głośnik o mocy 10 W. Jest też możliwość bezprzewodowego podłączenia soundbara, głośnika Bluetooth lub słuchawek, poprzez funkcję Bluetooth aptX.

ILE TRZEBA ZAINWESTOWAĆ W DOBRY PROJEKTOR?

Musicie przyznać rację, że projektor, szczególnie w trudnych czasach pandemii, to opcja, nad którą warto się zastanowić. Zwłaszcza że można go kupić np. za 1700 zł – w cenie TV o przekątnej 55".

Warto jednak zainwestować w sprzęt, który posłuży nam przez lata. Epson już w trakcie fazy projektowej kładzie szczególny nacisk na niskie koszty związane z eksploatacją. Przykładowo model EH-TW5700 pozwala ogląda jeden film każdego dnia przez 11 lat dzięki trwałej lampie wykorzystywanej jako źródło światła. Nawet jeśli po tym czasie lampę trzeba będzie wymienić, nie zbankrutujemy, bo koszt nowej to około 300 zł. A cena? Jest adekwatna do tego, co oferuje EH-TW5700. Jego koszt to ok. 3800 zł. Pamiętajcie jednak, że projektor nie dość, że jest w każdym aspekcie doskonały, to jeszcze zostanie z wami na bardzo długo.

Dodatkowo w dzisiejszych czasach coraz częściej zwracamy uwagę nie tylko na kwestie wizualne i sprzętowe, lecz także przywiązujemy dużą wagę do idei zero waste i ochrony środowiska. W związku z tym warto przyjrzeć się, czy urządzenie oszczędza energię. Przykładowo pobór prądu przez urządzenia 3LCD jest o 25 proc. niższy niż w konkurencyjnych rozwiązaniach. Dodatkowo brak stosowania w tej technologii ruchomych przekłada się na cichszą pracę urządzeń oraz znacznie mniejszą podatność na awarie i dłuższy żywot pojedynczego urządzenia. Co ważne, projektory Epson (oraz osobno ich lampy) objęte są gwarancją od 3 do 5 lat.

Anna Wójcik

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Joanna Bojańczyk

Moda (nie) jest ważna

Niewesołe wnioski po paryskim Fashion Week. Moda zapadła w letarg. Projektanci nie potrafią stworzyć czegoś autentycznego, co pozwoliłoby uchwycić istotę trudnego czasu. Wciąż słyszymy tę samą mantrę o ekologii, zrównoważonym rozwoju. A na pokazach puste sztuczki, które już nie działają

Radość życia, elegancja i frywolność przyszłości oraz optymizm, którego korzenie tkwią w przeszłości. [...] Kobieta domu mody Lanvin, firmy o stuletniej historii, zawsze była pełna dynamizmu i glamouru...".

Kiedy powiedziano te słowa? Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat temu? Nie uwierzą państwo – napisano je dziś i towarzyszą one najnowszej kolekcji domu mody Lanvin pokazanej właśnie na Fashion Week w Paryżu. Co było w tej kolekcji? Fajne ubrania? Nie, głównie pląsające w dzikim tańcu party girls. Może zdołały podnieść liczbę lajków na Instagramie, ale co nowego powiedziały o modzie? Nic.

Przekazały to, co aktualnie siedzi w głowach i jest na ustach PR-owców firmy Lanvin. Radość, frywolność? To chyba kpiny. Puste sztuczki, wysilony glamour, które pokazują, jak światek fashion odleciał do rzeczywistości alternatywnej. Bo ta, którą wszyscy przeżywamy – zamknięci w domach, z oczami wetkniętymi w ekrany monitorów, ubrani w T-shirty, kapcie i dresy – glamourem interesuje się niewiele.

Fashion Week musiał się odbyć, maszyna mody się nie zatrzymuje. Musi się kręcić. Pokazy bez publiczności to nie to samo co na żywo, z ich barwnym tłumem, zaproszeniami nie do zdobycia. Tym mocniej trzeba bić, żeby było dużo piany dookoła mody, bo to jedyne co teraz pozostało – fashion show.

Podróżować nie można, więc Olivier Rousteing z domu mody Balmain umieścił modelki na skrzydłach samolotu Air France. Musi to wystarczyć jako atrakcja, o toaletach Balmain zamilczmy przez litość. Maria Grazia Chiuri, Włoszka, która od dwóch lat jest dyrektorką artystyczną Dio-

Pokaz kolekcji Diora w Wersalu

FOT. SPLASHNEWS.COM/EAST NEWS

eprasa.pl 25fbc9c3e1

ra, nie będzie stosowała półśrodków. Jak szaleć, to szaleć – jako odpowiedni dla swego pracodawcy entourage wybrała Galerię Luster w pałacu w Wersalu. W końcu Dior to Dior. Normalny pokaz z publicznością nie mógłby się odbyć w Wersalu, dyrekcja muzeum nigdy by się na to nie zgodziła. Jednak wiadomo, że właściciele zabytków we Francji są biedni, a moda jest bogata. Dior zapłacił, więc przynajmniej dobrze, że Wersal na tym skorzystał.

Skutkiem czego modelki i operatorów wirtualnego show wpuszczono do najsłynniejszego wnętrza we Francji. Niestety, przepych króla Słońce nie pomógł zrekompensować nudy i braku pomysłu na kolekcję Diora. Inni niezawodni zazwyczaj kreatorzy – Dries Van Noten, Nicolas Ghesquière – również okazali się rozczarowaniem.

PUSTE SZTUCZKI

Odnosi się wrażenie, że ubrania nie mają już nic do powiedzenia. Moda popadła w letarg. Stare sztuczki: dekonstrukcje, odwrócenia funkcji, szalone połączenia nie działają. Ile razy już to widzieliśmy? Transgresje stały się banalne, dekonstrukcjom brakuje ducha. I najgorsze – trudno właściwie się zorientować, o co tu chodzi. Co będzie właściwie modne?

Mamy za dużo kolekcji, za dużo modelek, za dużo informacji, za dużo postów i tweetów... Gdy chce się desperacko, za wszelką cenę przyciągnąć uwagę publiczności, trzeba uciekać się do wysilonych tricków. Przy jednoczesnym braku substancji. Czy projektanci nie mogliby stworzyć czegoś autentycznego, co pozwoliłoby uchwycić istotę momentu, w którym się znaleźliśmy? Wciąż słyszymy tę samą mantrę o ekologii, zrównoważonym rozwoju, umiarkowanej konsumpcji. I nic z tego nie wynika. Naprawdę to żenada, gdy spojrzy się na przepych kolekcji, a potem na półki zapchane towarem i palone stosy niesprzedanych ciuchów. Napisała francuska internautka: „Jak widać, mimo pandemii, mimo problemów naszej planety marki mają środki, żeby nagrywać w Wersalu czy na skrzydłach samolotu. Deprymujące jest widzieć, że to się nigdy nie zatrzymuje. Nawet kiedy świat ma tego dość. Ale oni wszyscy mają monopol na naszą frywolność".

HIT – SZTUCZNE RZĘSY

Szkoda, że do panów designerów nie docierają informacje z rynku. Dowiedzieliby się, co się naprawdę dzieje. To rynek najlepiej czuje bowiem nastroje społeczne i miejsce, w którym się znaleźliśmy. Gdy przejechać okiem nie po pokazach haute couture, nie po wielkich kolekcjach, tylko po sklepach internetowych, widać, czego ludzie potrzebują i co kupują. Bluzy, swetry, zestawy sportowe, dresy, dżinsy, ubrania do jogi i fitness, które można nosić także na ulicy.

Ciekawa rzecz, jaką ewolucję w ciągu ostatnich paru lat przeszły ubrania dresowe. A raczej jakiego doznały awansu społecznego, pozbywając się przyklejonego do nich jeszcze 10 lat temu epitetu dresiarstwa. W dresach chodzi pół świata. Spodnie dresowe i bluzy robi się dzisiaj ze szlachetnych materiałów: wełny, kaszmiru, nosi w eleganckim „miejskim" stylu. W bluzach dresowych pokazują się ważni politycy, biznesmeni, pod spodem wyprasowana koszula. Oto zmiana, która wyraża rzeczywistą istotę mody. Moda to Zeitgeist, duch czasu. Dostosowuje się do sytuacji, kpi z nakazów.

W Ameryce, która ma najbardziej zaawansowane analizy rynku (wiadomo, kapitalizm), zbadano, że największym zwycięzcą obecnej pandemii są… sztuczne rzęsy. Właśnie one wraz z kosmetykami do makijażu oczu okazały się w obecnej sytuacji najbardziej potrzebne. No bo jak podkreślić oczy ponad maską? Jak szalone sprzedają się również cienie do oczu i ołówki do brwi. Natomiast – co nietrudno było przewidzieć – spadła sprzedaż szminek. Widzę to po sobie – niewolnicy szminek – moja chanel służy mi od września, chociaż w normalnych czasach zużyłabym już trzy. Ale po co szminka, gdy usta zasłonięte?

Nie inaczej jest z ubraniami. Sprzedaż eleganckich butów już dawno wykazywała tendencje spadkowe, co nie dziwi, bo cały świat zrozumiał, że najfajniejsze są buty sportowe. Teraz jednak zainteresowanie szpilkami, mokasynami, skórzanymi półbutami poleciało naprawdę na łeb na szyję. Szpilki spadły w marcu i kwietniu o 70 proc., jak donosi „The Washington Post". Po co szpilki, gdy nie wychodzisz z domu? Teraz analitycy rynku zastanawiają się, czy wysokie obcasy w ogóle jeszcze kiedyś wrócą. I wyrażają obawę, że nie. Uggi, emu, crocsy, birkenstocki – to jest to, co jest teraz potrzebne. Ludzie domagają się szerokich zelówek, wygodnych, prostych butów.

Korporacyjna część społeczeństwa już jakiś czas temu zaczęła się przesuwać w stronę „Silicon Valley chic" – czytaj dżinsy, T-shirt, bluza, trampki. Teraz w czasie pandemii ten trend się jeszcze wzmocnił. Potwierdził to w wywiadzie dla dziennika „The Washington Post" Morris Golfarb, szef multibrandowej grupy w Stanach, która posiada wiele marek ubrań i obuwia. Powiedział, że trendy przestały być ważne, liczą się wygoda i praktyczność. „Moda nie jest dzisiaj ważna" – powiedział. Spostrzeżenie amerykańskie, ale mam wrażenie, że aktualne i u nas.

Podobno w czasie kryzysów ekonomicznych sukienki się wydłużają. Ale teraz, jak twierdzą biura trendów, ma być zupełnie inaczej – ma się skrócić. Czy zatem mini wróci? Nie wiadomo, wiadomo, że istotnie ostatnie lata w modzie były raczej poważne, konserwatywne, mieszczańskie. Sukienki do połowy łydki, grzeczne bluzki z wiązaniem, bufiaste rękawy, duże kołnierzyki. Natomiast jeśli mówimy o skracaniu sukienek, to należy się najpierw zastanowić, ile kobiet rzeczywiście nosi na co dzień sukienki. Obawiam się, że mniejszość... Cierpią producenci rajstop (pandemia wykończyła Gattę), spódnice są lansowane przez ostatnie dwa sezony, tyleż intensywnie, co bez sukcesu... W tym kontekście wspomnę tylko o minisukienkach z godetami z kolekcji Louis Vuitton – jedna z niewielu interesujących rzeczy, które można było obejrzeć na tym tygodniu paryskiej mody. Wirtualnym oczywiście. Może ktoś je kupi, nieodstraszony ceną.

I jeszcze jedna uwaga, zgodna z tym, o czym powyżej, czyli o duchu czasu. Otóż zgodnie z obecnymi kierunkami narracji publicznej i poprawności politycznej kobieta, czyli osoba z macicą, ma niczym nie różnić się od mężczyzny (osobnika z…). Kilka ostatnich kolekcji potwierdza ten postulat. Zimową kolekcję Uniqlo/Jil Sander prezentowało dwoje modeli – chłopak i dziewczyna. Teoretycznie, bo na oko trudno było odróżnić jedno od drugiego. W kolekcji Simone Rocha dla H&M z początku marca niektóre modele damskie prezentują mężczyźni, przynajmniej na oko nimi są. I nie piszę tu o niszowych markach lub czasopismach, gdzie różne transgresje są na porządku dziennym, a publiczność jest do nich przyzwyczajona. Nie – Uniqlo i H&M to globalne massmarketowe marki o wielkich zasięgach, z milionami klientów na całym świecie. I to one nakazują nam, klientom, przyzwyczajać się do poglądu, że mężczyzna i kobieta niczym się nie różnią. Że facet w tiulowej sukience to jest normalne. Zaraz, słowo „normalne" jest – zdaje się – już dyskryminujące...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. ADOBE STOCK

Z gen. dyw. prof. Grzegorzem Gielerakiem, dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Czwartej fali nie będzie

KATARZYNA PINKOSZ: Czekają nas trudne cztery–pięć tygodni epidemii?

GEN. DYW. PROF. GRZEGORZ GIELERAK: Tak, mamy bardzo dużą liczbę zakażonych, co przełoży się na liczbę osób przebywających w szpitalach. Będzie to wymagało od systemu ochrony zdrowia bardzo dużej mobilizacji. Liczba zakażeń jest dużo większa niż jesienią, podobnie jak zjadliwość dominującego wśród zakażonych wariantu brytyjskiego.

Nie można więc się spodziewać, że po świętach sytuacja będzie lepsza?

Sądzę, że po świętach będziemy mieli przez pewien czas stabilizację, a następnie trend zmniejszającej się liczby zakażeń.

Mówił pan, że COVID-19 to choroba ciężka i podstępna, jednak poddaje się leczeniu, pod warunkiem że zrobi się to odpowiednio wcześnie.

Trzeba trafić w „okno terapeutyczne", które zamyka się ok. siódmej–dziewiątej doby od początku wystąpienia objawów. Po tym okresie podawanie leków przeciwwirusowych czy osocza ozdrowieńców jest działaniem daremnym, na pewno przyniesie znacznie mniej korzyści, a może nawet szkodzić (jak pokazują wyniki niektórych badań). Niestety, pacjenci zbyt długo sami leczą się w domu, objawy narastają, faza wiremii przechodzi w fazę aktywacji układu immunologicznego. Z objawami masywnego immunologicznego zapalenia płuc i niewydolności oddechowej trafiają do szpitala, kiedy nie ma już możliwości leczenia przyczynowego (przeciwwirusowego).

Już na etapie opieki domowej leczenie powinno być inne?

Bardzo dobrym pomysłem było wprowadzenie Domowej Opieki Medycznej (DOM), rzecz jednak w tym, że pacjent musi do tego systemu trafić. To gwarantuje, że ma na bieżąco monitorowane parametry życiowe, w tym saturację. To bardzo ważne, szczególnie u osób młodych. Osoby starsze mają ograniczoną rezerwę oddechową, szybciej (na wcześniejszym etapie choroby) doświadczają objawów niewydolności oddechowej. Wcześniej zgłaszają się do lekarza, kiedy zastosowane leczenie ma szansę przynieść efekty. Osoby młode mają dużą rezerwę oddechową, późno zgłaszają się po pomoc, często w momencie zajęcia 60–70 proc. płuc, gdyż dopiero wtedy odczuwają duszność, która skłania je do zgłoszenia się po pomoc. Są już jednak na etapie choroby, który wyklucza możliwość leczenia przyczynowego, co pogarsza rokowanie.

Tym, że młode osoby nie zauważają niewydolności oddechowej, można tłumaczyć fakt, iż tak wiele z nich ciężko przechodzi COVID?

Zdecydowana większość młodych osób uważa, że objawy ustąpią. Jeśli temperatura powyżej 38 st. C utrzymuje się przez kolejne cztery–pięć dni, to nie ma na co czekać. Konieczne jest też sprawdzanie saturacji. Monitorując w ten sposób stan chorego, jesteśmy w stanie skuteczniej identyfikować ryzyko, jakim jest zapalenie płuc, co spowoduje mniejszą liczbę zgonów i powikłań.

Pacjenci na początku choroby nie wymagają pobytu w szpitalu. Powinni znajdować się pod opieką lekarza rodzinnego lub w systemie DOM, by określić moment, kiedy konieczny będzie pobyt w szpitalu (jeśli tak się stanie). Podstawą walki z takim rodzajem i skalą zakażeń, z jakimi mamy do czynienia, jest system POZ (podstawowej opieki zdrowotnej), a nie szpitale. Epidemia unaoczniła z całą mocą słabość polskiego systemu ochrony zdrowia, dla którego fundamentem opieki są szpitale i/lub ich jednostki organizacyjne, np. SOR, traktowane zbyt często jako punkty diagnostyki ambulatoryjnej. Ograniczenia w dostępie do lekarza oraz w nadzorze medycznym nad zakażonymi

eprasa.pl 25fbc9c3e1

w wielu wypadkach doprowadzają do progresji choroby. Gorąco polecam nasz raport z misji we Włoszech, w którym dużo miejsca poświęciliśmy sposobowi prowadzenia opieki nad zakażonymi przez tamtejszych lekarzy rodzinnych, w tym stosowaniu prostych, a jednocześnie skutecznych narzędzi oceniających stopień zaawansowania choroby. Wiele z nich, np. protokół oceny wyników badań radiologicznych płuc czy praktyka prowadzenia opieki nad chorym pozostającym w izolacji domowej, mogą służyć za standard postępowania medycznego.

Szpital WIM ma dwa szpitale tymczasowe, w tym jeden modułowy. Czym on się różni od innych tymczasowych szpitali?

Cechą placówki jest jej modułowość i mobilność, pozwalająca na multiplikację rozwiązania w każdym miejscu w kraju (bez konieczności prowadzenia dodatkowych analiz eksperckich związanych z samą inwestycją). W sytuacji wystąpienia szczytu zakażeń, a także każdego zdarzenia masowego wymagającego prowadzenia na danym terenie zabiegów medycznych ratujących życie, będziemy dysponować placówką medyczną mającą potencjał prowadzenia intensywnej terapii u 65 pacjentów jednocześnie, z możliwością jej przemieszczenia oraz uruchomienia w terminie do 10 dni. Od początku kierowaliśmy się przekonaniem, że jednostka tymczasowa powinna być zdolna do udzielania świadczeń medycznych na najwyższym poziomie, a nie pełnić rolę ogniwa pośredniego pomiędzy szpitalem stacjonarnym a ambulatorium.

Z doświadczeń misji medycznych we Włoszech i w USA wiemy, że o gotowości systemu ochrony zdrowia do walki z tą epidemią decyduje nie tyle liczba łóżek w szpitalach czy nawet liczba respiratorów, ile liczba miejsc intensywnej terapii. To braliśmy pod uwagę, przygotowując dwa szpitale tymczasowe, którymi zawiaduje WIM. Opracowaliśmy i wdrożyliśmy system etapowej kwalifikacji pacjentów do leczenia. Pacjenci covidowi trafiają do szpitala WIM przy ul. Szaserów, tu odbywa się kwalifikacja; jeśli przebieg choroby jest ciężki, to pozostają w szpitalu modułowym, gdy lżejszy, trafiają do szpitala tymczasowego na Okęciu. Obie jednostki są doskonale wyposażone i przygotowane do leczenia chorych z COVID-19, jednak bliskość szpitala klinicznego w przypadku jednostki modułowej decyduje o nadrzędnej funkcji, która została jej przypisana.

Co dziś należałoby pilnie zmienić, jeśli chodzi o taktykę walki z pandemią?

Jesteśmy w okolicach szczytu trzeciej fali, dlatego nie jest to czas na zmianę strategii. Została ona wypracowana, jest realizowana, dziś możemy ocenić jej skutki i podejmować doraźne działania korygujące. W pierwszej kolejności powinniśmy skupić się na jak najlepszym wykorzystaniu kadry medycznej, którą dysponujemy, oraz przygotowaniu dodatkowych miejsc leczenia. Przy tym tempie ubywania miejsc intensywnej opieki (respiratorowych) istnieje poważne ryzyko, że ich zabraknie, co – w mojej ocenie – jest dziś największym zagrożeniem prowadzenia skutecznej walki o zdrowie i życie chorych. Na najbliższe pięć–sześć tygodni musimy dokonać pełnej mobilizacji systemu. Uważam, że są takie możliwości: na terenie samej Warszawy mają swoją siedzibę duże szpitale kliniczne, instytuty medyczne, przy których udziale można weprzeć działania medyczne. Są zasoby sprzętu, infrastruktury medycznej, doskonale wykształconej kadry. Dysponujemy poważnymi rezerwami, trzeba ich tylko użyć w sposób celowy, adekwatny do bieżących potrzeb.

Jeśli ktoś potrzebuje motywacji, to powtórzę: to ostatnie pięć–sześć tygodni epidemii, ostatnia jej „fala". Warto dokonać wysiłku, abyśmy już niedługo mogli z dumą i satysfakcją spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć: „Sprawdziliśmy się w roli, do której fachowo przygotowywaliśmy się przez całe życie. W pełni zasługujemy na uznanie tych, którzy obdarzyli nas najwyższym zaufaniem, powierzając swoje zdrowie i życie".

Nie będzie czwartej fali jesienią?

To ostatnie pięć–sześć tygodni epidemii, jaką znamy z jej najgorszej strony. Prognozuję, że kolejnej takiej fali nie będzie. Tempo, w jakim nabywamy odporności populacyjnej, zarówno poprzez zakażenia, jak i szczepienia, gwarantuje, że do końca wakacji powinniśmy osiągnąć poziom 65–70 proc. osób uodpornionych, co radykalnie zmniejszy transmisję wirusa. Zakładam też, że – podobnie jak w przypadku innych, wcześniejszych epidemii – wirus będzie mutował w kierunku mniejszej zjadliwości. Najbliższa jesień zdecydowanie powinna należeć do nas, a nie do wirusa.

Nie zawsze szpitale chcą się przekształcać w covidowe, często bronią się przed tym lekarze...

Może mam szczęście, że dysponuję kadrą medyczną, która stanęła na wysokości zadania. Mimo że jesteśmy bardzo przeciążeni pracą, do incydentalnych należą sytuacje, aby personel odmówił włączenia się w działania związane z zabezpieczeniem potrzeb medycznych zarówno chorych z COVID-19, jak i pacjentów niezakażonych. Mam wrażenie, że sytuacja ograniczonego zaangażowania personelu medycznego, o której pani wspomina, jest częściowo spowodowana brakiem właściwej oceny sytuacji i reakcji na to, co wydarzyło się podczas pierwszej, wiosennej fali zakażeń. Masowe ograniczenia w dostępie pacjentów do systemu, zwłaszcza jego podstawowego poziomu, szybko zostały w przekazie publicznym usprawiedliwione okolicznościami. Nie wyciągnięto z tej sytuacji żadnych wniosków. Unikano rzetelnych dyskusji na ten temat i w rezultacie odstąpiono od systemowych działań chroniących chorych przed powtórką tego typu działań.

Dzisiaj w Polsce jest ok. 1,5 mln osób zakażonych koronawirusem, pozostałe 36 mln to osoby, które wymagają dostępu do systemu ochrony zdrowia. WIM ten dostęp zapewnia. Od początku epidemii nie było ani jednego dnia, kiedy ograniczyliśmy podstawową działalność medyczną. Pracujemy tak samo intensywnie jak przed epidemią, z tą różnicą, że aktualnie robimy to w warunkach podwyższonego reżimu sanitarnego. Wykonaliśmy 100 proc. kontraktu z NFZ za 2020 r., hospitalizując ok. 65 tys. chorych. To jest prawdziwa miara zaangażowania w walkę z epidemią. Mądrość tej walki wyraża się tym, że system ochrony zdrowia jest dostępny dla wszystkich; w równym stopniu zabezpiecza potrzeby zdrowotne chorych, niezależnie od ich statusu epidemicznego, gdyż każda choroba okalecza fizycznie i psychicznie, powinna więc być leczona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

gen. dyw. prof. dr hab. n. med. Grzegorz Gielerak – specjalista chorób wewnętrznych, kardiolog; dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego (WIM).

eprasa.pl 25fbc9c3e1

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tatarskie kąty i turmy

Jednym z charakterystycznych miejsc w litewskich miastach XVI i XVII stulecia były ulice, dzielnice lub całe przedmieścia zwane „tatarskimi kątami" lub „końcami". Zamieszkiwała je ludność złożona z Lipków, czyli tatarów polsko-litewskich, osiedlanych jeszcze za czasów

FOT. WIKIPEDIA

króla Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka. Miejsca takie w XVI w., jak podają Piotr Borawski i Aleksander Dubiński, występowały w Wilnie, Trokach, Augustowie, Ostrogu i Grodnie. W Mińsku na Litwie po 1506 r. osiedlono przymusowo dużą liczbę tatarskich jeńców wziętych w niewolę przez Michała Glińskiego po wygranej bitwie pod Kleckiem; mieszkali na przedmieściu zwanym Tatarskim Końcem. Pod koniec stulecia było ich ponad 400, a w 1617 r. otrzymali pozwolenie na zbudowanie drewnianego meczetu. Tatarzy miejscy trudnili się najczęściej furmaństwem, garbarstwem, ogrodnictwem i – przede wszystkim – handlem. Zamieszkałe przez nich części miast miały ciekawy, orientalny charakter i pojawiały się także w Koronie. Przykładem choćby wieś Tatary, dziś część Lublina, na której prawdopodobnie osiedlono w pierwszej połowie XV w. tatarskich zbiegów.

Lipkowie mieszkający w miastach; dziś powiedzieliśmy: „miejscy", byli najbiedniejszą i najlichszą częścią społeczności zaludniającej wschód Rzeczypospolitej. Stąd w dokumentach nazywano ich „Tatarami prostymi". W odróżnieniu od bogatych i wpływowych rodzin – potomków arystokratów Złotej Ordy, którym przysługiwał tytuł sołtanów lub kniaziów. Tych określano z kolei jako „Tatarów hospodarskich", którzy zobowiązani byli do służby wojskowej na czele wystawianych przez siebie pocztów zbrojnych. To właśnie po nich pozostały dziś wsie i osady na Podlasiu, o których teraz nie będę jednak pisał. Drugą grupę stanowili Tatarzy Kozacy – prości wojownicy osadzeni w gospodarstwach i zobowiązani nie tylko do służby wojskowej, lecz także służby na rzecz urzędników ziemskich – jako kurierzy, strażnicy, myśliwi itd.

Już na początku XVII w. cechą charakterystyczną „Tatarskich kątów" stały się meczety, które jednak, jak podaje anonimowy autor „Traktatu o Tatarach polskich" z 1558 r., były ubogie, drewniane i zupełnie niepodobne do wspaniałych świątyń w Stambule. Już w połowie stulecia znajdowały się w Wilnie, we wsi Sorok Tatary, w Wace, Trokach i Nowogródku. Na Wołyniu wzniesiono je w Ostrogu i Juwkowcach, a na Podolu – w Niemirowie.

Tatarskie kąty i oczywiście całe gromady wsi zasiedlonych przez Lipków nie były jedynymi osobliwościami związanymi z ordyńcami przebywającymi na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Kolejnymi stawały się tatarnie – czyli po prostu więzienia dla jeńców pojmanych w czasie walk z Ordą, podchodów i zasadzek. Jedna z najsławniejszych znajdowała się na zamku w Żółkwi, gdzie król Jan III Sobieski trzymał pod strażą jeńców. W odróżnieniu jednak od innych magnatów i panów traktował ich dobrze, widząc w nich raczej zakładników na wymianę za oficerów i szlachciców polskich pojmanych w czasie wojny z Turkami niż niewolników. Kolejna tatarnia znajdowała się na zamku Stanisława Lubomirskiego w Rzemieniu koło Mielca. W 1629 r., po rozbiciu pod Bursztynem zagonów tatarskich, wojewoda krakowski wziął tylu jeńców, że kazał przygotować dla nich drugą turmę.

Jak wyglądały takie więzienia? Inwentarz Żółkwi pokazuje, że niewesoło, gdyż znajdowało się tam: „kajdan troje, sztab żelaznych osiem, item sztaba żelazna przysłana ze Lwowa jedna". Stanisław Lubomirski używał Tatarów do sypania umocnień, a także budowy zamków i klasztorów. Wznosili oni, podobnie jak w XV w. Krzyżacy, kościół i klasztor Karmelitów Bosych w Wiśniczu. Jednak nie zawsze tatarscy – i tureccy – jeńcy trafiali do tak ciężkiej niewoli. Często osadzano ich po prostu w osadach albo miastach – we wspominanych już koloniach tatarskich. W Koronie zwykle osiedlano ich w Puszczy Sandomierskiej, jednak nie przetrwała do dzisiejszych czasów ani jedna wieś, w której pamiętano by o takich przodkach. Piotr Borawski i Aleksander Dubiński w „Tatarach polskich" wspominają tylko o jednej osadzie, której mieszkańcy w czasach II Rzeczypospolitej uważali się za potomków tatarskich niewolnych. Był to Ochmatków nad Styrem, jednak nie znaleziono jakichkolwiek dokumentów potwierdzających genezę wioski. Jedyną poszlaką były nazwiska mieszkańców – takie jak Dzijagierowie, Kazmanowie czy Tatarczukowie, brak było zaś nagrobków, pozostałości meczetu i innych pomników historii świadczących o tym, że wieś została założona przez wziętych w niewolę Tatarów. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

PATRYCJA KOSIARKIEWICZ WSPOMINA SMAK DZIECIŃSTWA

Kiedy myślę o moim dzieciństwie, przed oczami pojawia mi się Tatuś ugniatający ciasto drożdżowe na pizzę. W tamtych czasach nie mieliśmy dostępu do takiego bogactwa artykułów spożywczych, więc domowa pizza była rarytasem. I tak jest do dziś, bo bije ona na głowę wszystko, co dotychczas zamawiałam w pizzeriach. Kluczem do sukcesu jest rozprowadzenie ciasta na blasze. Trzeba pokombinować, pozaklejać dziury (najlepiej natłuścić ręce oliwą) i poświęcić temu parę minut – tak, by ciasto szczelnie zakryło blachę.

Składniki (dla 5 osób):

Ciasto (blacha 40 na 30 cm):

- 25 g drożdży
- łyżeczka cukru
- jajko
- 250 g mąki pszennej
- 150 g śmietany
- łyżeczka soli

Macerka:

- 70 ml oliwy (plus osobno do posmarowania blachy)
- oregano świeże lub suszone
- parę ząbków czosnku
- sól

Na wierzch:

Co kto lubi. Ja dodaję: wcześniej usmażony mrożony szpinak z gorgonzolą, ananasa, zielone oliwki, kapary, ugotowane i pokrojone w plasterki jajka, pieczarki smażone i ok. 200 g startego sera żółtego.

Przygotowanie:

Oliwę, zioła i rozgnieciony czosnek pomieszać i pozostawić, by macerka się przegryzła. Drożdże rozgnieść widelcem, dodać 2 łyżki śmietany oraz łyżeczkę cukru, zamieszać, pozostawić pod przykryciem na godzinę, by urosły. Następnie rozbełtane jajko rozmieszać z mąką, resztą śmietany oraz solą, dodać do ciasta drożdże, a następnie połowę macerki. Wyrabiać ciasto ręcznie co najmniej 10 min, oprószając dłonie mąką. Ciasto powinno odchodzić od dłoni. Natłuścić blachę oliwą i rozprowadzić ciasto. Posmarować resztą macerki, posypać połową żółtego sera i obłożyć ulubionymi składnikami. Wierzch posypać pozostałym serem. Pozostawić do wyrośnięcia. Piec 30 min w temperaturze 180 st. C (w zależności od piekarnika). ©℗

oprac. raw
Patrycja Kosiarkiewicz – autorka tekstów piosenek, kompozytorka, wokalistka.

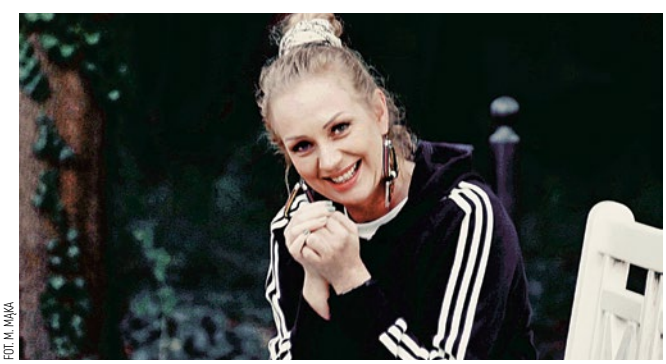

FOT. M. MĄKA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sprawy łóżkowe

FOT. ADOBE STOCK

Była tam staruszka [...], która z miłości do swojej pani nie robiła nic innego, tylko łóżko babci ścieliła" – pisze Ewa Dzieduszycka w książce „Podróżniczka", w której wspomina dzieciństwo spędzone w majątku Kozłowo na Podolu. Nawet zważywszy na znany szeroki gest polskiej szlachty na rubieżach, trzeba przyznać, że „osobna niewiasta" do ścielenia łóżek była jednak ekstrawagancją. Można było sobie na to pozwolić w dużym majątku, gdzie koszt życia był niewielki, a żywność pochodziła głównie z własnego gospodarstwa.

Zresztą ścielenie łóżek (żeby znowu zacytować wieszcza) „nie jest sztuką łatwą ani małą". Zawsze współczułam pokojowym w hotelu, które musiały codziennie podrzucić, naprężyć, podwinąć wygładzić dziesiątki łóżek. Sztukę „zachodniego" ścielenia łóżek, gdzie poszwę na kołdrę zastępuje luźne prześcieradło ściśle podwijane pod materac i wywijane na kołdrę, znamy głównie z hoteli. Taka konstrukcja jest sztywna i tak naprężona, że człowiek, kładąc się spać, musi ją całkiem rozmontować, bo inaczej nie mógłby zrobić ruchu. W Polsce – i o ile wiem, także w Niemczech – stosuje się inny system, moim zdaniem praktyczniejszy – kołdrę wsadza się do uszytej specjalnie koperty. Cóż, co kraj, to obyczaj. Systemu prześcieradłowego doświadczałam, nocując u rodziny we Francji i w Anglii, i nigdy się do tego nie przyzwyczaiłam.

Dzisiaj mało kto ma bieliznę pościelową białą. Taka była w moim domu rodzinnym, gdzie śnieżnobiałe poszwy, poszewki, prześcieradła co miesiąc szły do prania. Nie do pralni publicznej – operację wykonywała niejaka pani Stefcia w suterenie naszego domu w Milanówku. Przy użyciu drewnianej balii, cynowej tary i szarego mydła. Najpierw bielenie bielinką, potem pranie, płukanie i krochmalenie. Gdy pranie wyschło, zawijało się je w płótno zwane maglownikiem i zanosiło do magla. Czasem chodziłam tam z mamą; ciężką belę bielizny wiozłyśmy w moim dawnym dziecinnym wózku. Odbierało się śnieżnobiałą, idealnie wyprasowaną, sztywną jak blacha pościel. Musiała starczyć na długo, bo cały proces był skomplikowany, pracochłonny i wcale nietani. Dlatego wszelkie kładzenie się czy siadanie na pościelonym łóżku w ubraniu było bezlitośnie tępione. Nie znosiłam pierwszej nocy w tej sztywnej pościeli – dopiero potem stawała się bardziej miękka i delikatniejsza.

To wszystko działo się naprawdę jeszcze jakieś 50 lat temu, choć brzmi jak z kronik Jana Długosza. Magle zaginęły wraz z ich atmosferą lokalnych spotkań, rozmów i – oczywiście – plotek. Nie wiem, czy trzeba ich żałować. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Uważajcie na wyznawców

Dawno, dawno temu, kiedy ludzie używali w domu komputerów stacjonarnych, a nie laptopów, postanowiłem sobie takiego kloca zamówić. W tym celu znalazłem ogłoszenie na słupie, na którym reklamował się magik od pamięci, kart graficznych i procesorów. Oderwałem karteczkę z numerem telefonu i zadzwoniłem. Internet już wtedy był, ale w tym Internecie nie było zbyt wiele. Nawet agencje towarzyskie ogłaszały się wtedy w „Życiu Warszawy".

Facet przyszedł ze świtą. Świta, jak to świta, wpatrywała się w niego z religijną wręcz czcią. Kiedy facet poszedł się wysikać, jeden z jego przybocznych postanowił mnie oświecić, z kim mam do czynienia. Miałem do czynienia z absolutnym komputerowym geniuszem. Ucieszyłem się, że tak mi się poszczęściło, i zamówiłem u niego złożenie komputera.

Komputer trochę podziałał, a potem zaczął wyć, stękać, aż w końcu się popsuł. Zanim jednak to nastąpiło, poleciłem tego geniusza mojemu przyjacielowi, któremu ów geniusz wyrządził szkody znacznie poważniejsze niż mnie. Chyba nawet skończyli w sądzie. Nie dość zatem, że miałem dziadowski sprzęt, to jeszcze wpakowałem kumpla w kłopoty.

Nie tak dawno temu musiałem z kolei zrobić w domu remont. Znalazłem ekipę, która znowu składała się z szefuncia i zakochanych w nim wyznawców. Z czułością rzadką u malarzy i glazurników wpatrywali się oni w swego wodza i przy każdej możliwej okazji wychwalali jego niebywałe wręcz umiejętności. Sądząc z poziomu tego uwielbiania, facet nie był złotą rączką, lecz co najmniej platynową. A może nawet diamentową.

Czar prysł dość szybko. Prosiliśmy go, żeby pomalował dokładnie tak, jak było. Zostawiliśmy farby i poszliśmy do pracy. A kiedy wróciliśmy do domu, powitał nas biały sufit, który przed naszym wyjściem był ciemny i takim miał pozostać. – Panie, przecież kolory miały być takie same! – jęknęliśmy. – Ciemny sufit? Tak nie może być! Wiecie, jak się namęczyłem, żeby przykryć ten kolor bielą? Trzy razy trzeba było malować, bo przebijało – wyjaśnił swój zabieg szefuncio, po czym go zwolniliśmy. Przy czym tak naprawdę nie zwolniliśmy – tak byłoby w idealnym świecie. Przez następny tydzień męczyliśmy się z jego kolejnymi pomysłami, niedoróbkami i fuszerkami. Gość nie był platynową rączką, lecz nieudacznikiem i matołem.

Do czego zmierzam? Do tego, że absolutnie nie należy ludzi sądzić po tym, że mają zwolenników. Każdy głupek znajdzie kogoś głupszego, kto będzie w niego wpatrzony jak w obraz. Wyznawcy o niczym nie przesądzają. Nawet jeśli wystawiają swym idolom pomniki. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Co się z nami stało?

Małgośka, mówię sobie, przetrwamy. Przecież przetrwaliśmy koniec świata w 2000 r., epidemię SARS w 2002 r., świńską grypę w 2012 r., koniec świata według Majów w 2012 r., rządy PO – to przeżyjemy też koronawirusa.

Fakt, nie wszyscy wyjdą cało z tego danse macabre. I liczę, że nasz rząd, kiedy już minie okrucieństwo tej fali, uczci pamięć tych osób. W Madrycie jest monument ku czci ofiar COVID-19, jest też tablica na Puerta del Sol „Pamięci ofiar, a zwłaszcza tych, którzy zmarli w samotności". Bo też rodzaj śmierci, na jaką naraża ten bakcyl, wyrywa z objęć bliskich, czułości ostatniego dotyku, i każe umierać w izolacji, przy dźwiękach intubowania własnego, ostatniego tchnienia.

Tak, marzy mi się, że rząd godnie pożegna ofiary, a może nawet uderzy się w pierś i powie, że powinien ocalić więcej. Wszyscy mamy coś na sumieniu. Ja też informowałam rok temu, jak świetnie Polska sobie radzi na tle Hiszpanii. Tyle tylko, że wtedy zakażonych ze świecą było szukać! Ale przykrych porównań nasuwa się więcej.

Etos lekarski tu i tam. Pamiętamy zdjęcia obiegające światowe media: hiszpańscy lekarze obleczeni w worki na śmiecie z braku zabezpieczeń i maseczek. Zmarło ich 63 tylko w trzech pierwszych miesiącach wskutek stałej ekspozycji na wirusa. Chorzy lekarze hiszpańscy byli kierowani do obsługi porad telefonicznych. Jednak jakoś im nie przyszło do głowy strajkować. Nasi lekarze rezydenci (zaszczepieni, chronieni) zapowiedzieli odejście od łóżek w szczycie pandemii, próbując wynegocjować poprawę warunków pracy. Zastępy kapelanów hiszpańskich pomagających lekarzom i pacjentom. Może i u nas tak jest (?), tyle że przez skromność nie nagłaśniają swojej pracy (?), a może nie są wpuszczani na oddziały? Proboszczowie hiszpańscy łamiący zakaz zamykania kościołów do tego stopnia, że lewicowy „El Diario" dawał im za przykład posłuszeństwo polskich kapłanów, bezwzględnie stosujących się do zarządzeń. Hiszpańskie msze na dachach budynków podczas Wielkanocy, księża chodzący z Najświętszym Sakramentem po ulicach zamkniętych miast, aby dodać wierzącym otuchy i poświęcić domy. Hiszpanie oklaskujący każdego wieczoru z balkonów poświęcenie personelu medycznego, który okazał się najbardziej zakażony na świecie z powodu pracy na pierwszej linii bez zabezpieczeń.

Co z nami jest? No może jednak coś przeoczyłam, więc z góry przepraszam. Znam jednak Polaków, dla których szczytem poświęcenia jest podciągnięcie maseczki na nos. Z Polski XX w. wyszły dwie piękne idee: Miłosierdzia i Solidarności. Która idea przyświeca nam, Polakom, w pandemii? ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

Z INNEJ PERSPEKTYWY

ANDRZEJ NOWAK

Rozmowy ze starszymi wiosną 2021 r.

Związano wieniec z rzeczy przeklętych, / Lamp pogaszono tysiące świętych, / Pod jeden topór ludzkość się kładzie, / Zegary wszystkie stoją na zdradzie, / Prac przenajświętszych łamie się moc: / O! wielka noc! o! wielka noc! / Czujmy – bo kur wnet zapieje trzeci, / Ciemności wiecznych anioł przeleci…" (J. Słowacki, „Związano wieniec rzeczy przeklętych…"). Te słowa, zapisane przeszło 170 lat temu przez umierającego na gruźlicę poetę, może lepiej niż współczesne diagnozy dają odpowiedź na pytania, które dziś sobie z niepokojem stawiamy: Co się dzieje? Z nami i ze światem?

Zupełnie innym tonem pozytywista Bolesław Prus przypomina, że to przecież nic nowego. Opisuje, co się działo, kiedy Polski nadal nie było, ale wciąż byli zaborcy i byli już modernizatorzy: „Obok walki z religią katolicką biurokracja toczyła jeszcze zacieklejszy bój z narodowością i patriotyzmem polskim. Nasi szanowni cywilizatorowie zbyt mało posiadali wykształcenia, ażeby zrozumieć, iż jakikolwiek patriotyzm jest lepszy od politycznego nihilizmu. […] Patriotyzm jest specjalną formą uczuć społecznych, które ludzi spajają ze sobą, każą im zapomnieć o własnym egoizmie, czasem popychają do poświęceń, a w każdym wypadku nieco hamują dzikość i okrucieństwo człowieka, nieco wynoszą go ponad ciasny zakres jego osobistych interesów. […] Takie to uczucie tępiono u nas za pomocą drwin z historii albo jej fałszowania i za pomocą wreszcie machiny cenzuralnej" (B. Prus, „Kronika tygodniowa", 3 marca 1906 r.).

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Wtrąca się w tę wymianę myśli mędrzec starszy, który o Polsce nie miał wiele do powiedzenia, ale o ludzkości – jak najbardziej. Umarł, kiedy Słowacki się urodził, wiek przed Prusem. Nachum z Bracławia, bo o nim mowa, dwa wieki temu spogląda w tę samą otchłań, która nas dziś przeraża. Widzi ją wyraźnie przed sobą: „Zdradzę wam pewien sekret: wielki ateizm przychodzi na świat". Ale ostrzega przed pokusą lęku i beznadziei: „Wiedz, że człowiek idzie przez życie po bardzo wąskiej kładce. Najważniejsze, to się nie bać". I dodaje: „Stracić nadzieję to tak, jak stracić wolność – jak utracić własne »ja«".

Ale może rozpacz, desperacja jest potrzebna, by się zbuntować, by rzucić jednak staropolskie weto ciemnej sile, która chce nas ostatecznie wyemancypować z niewoli „przesądu religijnego i narodowego"? Jeszcze zanim Nachum dotarł w swej życiowej drodze do Bracławia, młody Jakub Jasiński zastanawia się nad tym, jak czynem odpowiedzieć na niewolę. I w wierszu „Do narodu" taką dziwną daje receptę: „Potrzeba wiele zgody, a więcej rozpaczy". Poderwał Wilno do walki o wolność, ale w końcu zarżnęli go jegrzy Suworowa na warszawskiej Pradze, 4 listopada 1794 r. Zgody w Polsce od tego nie przybyło. Rozpaczy – owszem. Wszystkie zegary jakby stały na zdradzie. Ci, którzy nie dali się zahipnotyzować ich zgodnemu tykaniu, powtarzali jednak wtedy i do nas dzisiaj mówią – słowa napisane w tym samym, 1794 r., w pierwszej polskiej operze-śpiewogrze: „Im sroższy los nas nęka, / Tym mężniej stać mu trzeba; / Kto podle przed nim klęka, / Ten nie wart względów Nieba" (W. Bogusławski, „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale").

Szyderca szepcze: to tylko operowy patos, który prowadzi nas w stronę nieszczęsnego polskiego romantyzmu. Od tej nienormalności wreszcie powinniśmy się uwolnić. Przecież dziś nie ma żadnych zaborów. Pokój i swoboda, na której przeszkodzie tylko stara Polska i religia jeszcze stają. Dobrobyt, który z naszej przynależności do Unii Europejskiej płynie, zaleje nas znowu szczęściem, kiedy tylko pandemia populizmu i wstecznictwa ustąpi.

Kiedy to słyszę, zjawia się ks. Piotr Skarga. Zabiera głos jako gniewny prorok: „Nieprzyiaciele nasi, gdy mówią: pokój, pokój, pokój, tam się najbardziej upadku bójmy. Na zabicie bydło dobrze karmią, ale dobrą strawę śmiercią przypłacają". Straszne przypomnienie: dobrobyt materialny i złuda pokoju tuczy nas tylko na śmierć, bydlęcą. Tak, kiedy się gasi święte lampy, wiąże się wieniec rzeczy przeklętych. Skarga woła z roku 1595 („Kazania na niedziele i święta"): „Nie dajmyż sobie tym czartom ust zamykać: póki woda do gęby nie dojdzie, nadzieja jest wypłynienia: ale gdy usta napełni, musim na dno. Póki kto wołać na złodzieja może, łacno się pomocy dowoła. Najszkodliwiej, gdy za gardło uchwyciwszy, dławi, jako chytry wilk owcom czyni, aby z wołania ratunek nie przychodził".

Co wołamy? I kogo? Przemawia do mnie Kornel Ujejski. Mówi słowami „Suplikacji": „I ogarnął postrach nocny, / Twój Lud niegdyś dzielny. / Zmiłuj się nad nami! / Jako kłosy wstajem z bolem / Zgłuszeni kąkolem – Zmiłuj się nad nami! […] Od bratniej niezgody, / Przy czerpaniu wody, / Wybaw nas Panie! / […] I od zelżywego / Z wrogami przymierza, / Zachowaj nas Panie! / Od pokus do grzechu, / Bluźnierczego śmiechu, / Zachowaj nas Panie!". ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

KSIĘŻYC ZAJĘTY

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Chiny oficjalnie zajęły ciemną stronę Księżyca jako swoje terytorium. Posługują się uznawanym przez cały świat prawem „morskim". Na Księżycu? Owszem – w przeszłości miały już miejsce precedensy dotyczące ziemi niczyjej, którą brał w posiadanie ten, kto tam dotarł jako pierwszy i wcale nie musiał docierać z morza. Ważne, że wbił swoją flagę w ziemię, do której nikt inny nie rościł praw.

Na ziemi nie ma już czego zajmować, choć… nie do końca. Niekiedy jakaś ziemia zostaje zajęta, ale porzucona, i wówczas może być zajęta ponownie przez kogoś innego. Tak było na Karaibach i na wyspach Pacyfiku.

Można też zbudować nową wyspę na wodach międzynarodowych i ją zająć. W ten sposób Chiny walczą o przejęcie całego Morza Południowochińskiego i innych obszarów strategicznych. Usypują niewielkie wyspy, oznaczają je jako terytorium Chin i w ten sposób przejmują pas wody dookoła jako „chińskie wody terytorialne", a to im pozwala zawłaszczyć tereny do połowów, wydobycia ropy i gazu lub szlak morski, który przed usypaniem wyspy leżał na wodach międzynarodowych, a teraz... zrobił się chiński.

Te chińskie wyspy to akcja militarna. W zasadzie akt wojenny skierowany przeciw całej reszcie świata. Każda z nowych wysp stanowi teren wojskowy. Wydobycie ropy i połowy ryb – to robi się przy okazji – a przede wszystkim chodzi o lokalizacje strategiczne dla chińskiej armii. Już teraz ta armia uzyskała przewagę na morzu. W żadnej grze wojennej Stany Zjednoczone nie mają szans wygrać z Chinami. Jeżeli USA szybko czegoś nie zrobią, to trzeba będzie uznać, że światem rządzą Chiny.

***

Przed wpuszczeniem Chin do Światowej Organizacji Handlu (głupi ruch 20 lat temu) świat mógł się bać jedynie przewagi liczebnej chińskiej armii. Dziś, po latach „współpracy", „resetu" i ogólnie rozwoju światowej kooperacji z Chinami, Chiny mają wszystko! Również najnowsze technologie wojskowe, które ukradli w ramach „pokojowej współpracy handlowej". Ich przewaga na morzu jest nie tylko liczebna – mają rakiety, latające pięć razy szybciej od dźwięku, a do tego takie, które potrafią szybko zmieniać kurs. Mogą rozwalić każdy okręt wojenny przeciwnika i ten okręt, nawet jeżeli będzie bardzo szybko skręcał i uciekał zygzakiem, to nie ucieknie. A gdyby ktoś chciał strzelić do tej rakiety, to nie strzeli, bo ona bardzo szybko zmienia kurs. A potem wraca na wcześniejszy. Gdybyśmy dzisiaj mieli wojnę z Chinami, to ją PRZEGRAMY. Nawet, gdyby przeciw Chinom stanęły razem wszystkie armie świata (minus Putin i Kim).

***

Myśmy Chińczyków zapraszali na studia, za które oni płacili pełne stawki dla studentów zagranicznych, a teraz zbieramy owoce tych studiów i współpracy naukowej. Kopiowali i kradli technologie, a teraz mają rakiety takie jak nasze, tylko więcej, i są nas w stanie rozwalić na dowolnym morzu i lądzie. Ponadto polecieli sobie (dzięki naszej technologii!) na ciemną stronę Księżyca i ogłosili, że to ich terytorium.

***

Pierwsze lądowanie na ciemnej stronie Księżyca miało miejsce za czasów Trumpa. Było to lądowanie chińskie. Jankesi i Ruscy przegapili swoją szansę. Lądowanie bezzałogowe, ale... wbicie flagi w ziemię niczyją nie musi się odbywać osobiście. Trump zorientował się, o co chodzi, i utworzył Space Force, czyli Kosmiczne Siły Zbrojne. Został wyśmiany przez resztę świata, że kretyn i megaloman. Marynarka wojenna, piechota, lotnictwo – to rozumieją wszyscy, ale siły kosmiczne… Po co?

Wszystkie gry wojenne (teoretyczne symulacje możliwych scenariuszy) pokazują, że pierwszy atak naszego przeciwnika (Chiny, Rosja, Korea, Iran...) będzie dotyczyć systemu GPS. Ten, kto rozwali satelity tworzące GPS, oślepi amerykańską armię, NATO-wskie systemy naprowadzania rakiet, systemy prowadzące kontenerowce w Kanale Sueskim…

To dlatego Rosja i Chiny podpisały stosowny układ o współpracy wojennej w kosmosie. To dlatego każde z tych państw ma własną alternatywę dla GPS, własną sieć satelitów i własny program kosmiczny. Większość programów kosmicznych świata to programy cywilne. Natomiast wszystkie programy kosmiczne Rosji i Chin to programy wojskowe – u nich nawet programy naukowe, cywilne i komercyjne są zawsze WOJSKOWE.

***

Kanał Panamski Chińczycy przejęli dyskretnie. W roku 1977 głupia decyzja prezydenta Jimmy'ego Cartera – gdy dzierżawa USA wygaśnie, to jej nie przedłużamy. W roku 1999 dzierżawa wygasła, jurysdykcję nad terenem Kanału przejęła Panama, która zaraz potem wynajęła Chiny do rozbudowy, modernizacji i odmulania. Opłaty za przejazd zbiera Panama, ale kontrolę tego, kto płynie, sprawują Chińczycy i są w stanie zamknąć kanał w minutę.

Ciemną stronę Księżyca też przejęli po cichu i też w wyniku amerykańskiego zaniechania. Ostatni załogowy lot USA na Księżyc miał miejsce w roku 1972. Pierwsze chińskie lądowanie na Księżycu to rok 2013. Pierwsze lądowanie na ciemnej stronie – rok 2019. Wbicie flagi i skuteczny powrót statku (kosmicznego) do ojczyzny – grudzień roku 2020. Prawo morskie wypełniło się – od tego czasu ciemna strona Księżyca należy do komunistycznych Chin.

Chińczycy są też od lutego br. na orbicie Marsa, a lądowanie i wbicie flagi planują w maju lub czerwcu 2021 r. A co nas to wszystko obchodzi? OBCHODZI. Bo albo światem będzie rządzić Ameryka, czyli kultura jakoś tam wciąż chrześcijańska i z zasadami, albo komunistyczne Chiny, gdzie nie istnieje coś takiego jak moralność. ©℗

eprasa.pl 25fbc9c3e1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE KSIĄŻKI

E. BERNET „PAPIEŻ GRZEGORZ WIELKI. PONTYFIKAT W CZASACH ZARAZY”
A. MANDRELA „KOŚCIÓŁ KATOLICKI WOBEC BUDDYZMU”
KS. F. COZEL „BÓG JEST! ROZUMOWE DOWODY NA ISTNIENIE BOGA”

~~906 ZŁ~~

299,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 607 ZŁ

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 25fbc9c3e1

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Przeżyłam piekło Hiroszimy. Wywiad z ocaloną

Piotr Zychowicz – **Gehenna Hiroszimy i Nagasaki**
Piotr Włoczyk – **Kulisy budowy bomby atomowej**
Asbjørn Jaklin – **Polacy pod Narwikiem**
Jacek Bartosiak – **Starcie mocarstw w kosmosie**
Maciej Rosalak – **Brawurowe ucieczki z PRL**
Sławomir Cenckiewicz – **Testament Studnickiego**
Arkadiusz Karbowiak – **Czesi na Wołyniu**
Tomasz Stańczyk – **Żydzi w polskich mundurach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 25fbc9c3e1